



Macomber Debbie

Zatoka Cedrów 05

Wiktoriańska herbaciarnia

Wszyscy mieszkańcy Cedar Cove są w szoku: restauracja Justine i Seta Gundersonów spłonęła na skutek podpalenia. Poszukiwanie sprawcy wciąż trwa. Jednak Justine ma również inne zmartwienia. Z przerażeniem obserwuje, jak Seth coraz bardziej się od niej oddala – myśli wyłącznie o odbudowaniu restauracji, a wszystkie inne sprawy spycha na dalszy plan. Dopiero gdy Justine zaczyna interesować się jej byłym chłopakiem Warrenem, zazdrosny Seth postanawia walczyć o żonę, której nigdy nie przestał kochać.

Różne szczęśliwe chwile i dramaty przeżywają też inni mieszkańcy miasteczka. Allison Cox niepokoi się o swojego chłopaka Ansona, który wyjechał w pośpiechu z Cedar Cove. Tym samym stał się głównym podejrzanym o podpalenie restauracji. Również Charlotte i Ben Rhodesowie mają powody do zmartwienia. David, syn Bena, wpadł w kolejne tarapaty finansowe. Trudne chwile przeżywają także Linette McAfee i Cal Washburn, którzy nie są już sobie tak bliscy, odkąd Cal wyjechał do Wyoming. Czy ten wyjazd oznacza koniec ich związku? W Cedar Cove jeszcze wiele pytań czeka na odpowiedź...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Justine Gunderson obudziła się z głębokiego snu z poczuciem, że wydarzyło się coś złego. Tylko co? Szybko sobie przypomniała i ogarnął ją wielki smutek. Leżała nieruchomo wpatrzona w ciemny sufit, a w jej pamięci ożywała bolesna prawda. Latarni Morskiej już nie ma. Tydzień temu ktoś podłożył ogień pod restaurację, która dla niej i Seta, jej męża, była całym życiem. Spaliła się doszczętnie. Łunę widać byłow promieniu wielu kilometrów od Cedar Cove.

Nie musiała przekreślać głowy, żeby sprawdzić, czy mąż leży przy niej. Wiedziała, że miejsce obok jest puste. Seth po tamtym strasznym telefonie sypiał po trzy, cztery godziny na dobę.

Spojrzała na budzik. Dopiero czwarta. Białe światło księżycy, sączące się przez szparę między zasłonami, srebrzyło ściany sypialni. Jeszcze noc...

Wstała z łóżka i otuliwszy się szlafrokiem, ruszyła na poszukiwanie męża. Był w salonie. I miotał się jak lew w klatce, długimi gniewnymi krokami pokonując trasę od kominka do okna i z powrotem. Na widok Justine nie przerwał wędrówki, tylko umknął wzrokiem, jakby nie potrafił stanąć przed żoną twarzą w twarz, jakby w ogóle nie chciał, żeby do niego podchodziła.

– Nie możesz spać? – spytała szeptem. Leif, ich czteroletni synek, miał bardzo lekki sen. Nie chciała go budzić, tym bardziej że dziecko też przeżywało trudny czas. Chronili go, jak mogli, ale chłopczyk wyczuwał zdenerwowanie rodziców, wiedział, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Seth, zaciskając mocniej pięści, odwrócił się do niej

i wyrzucił z siebie gwałtownie:

– Muszę wiedzieć, kto to zrobił! Muszę!

– Ja też – powiedziała cicho Justine, przysiadając w fotelu. Nie poznawała męża. Owszem, to był Seth, wysoki, rostry mężczyzna o jasnych włosach odziedziczonych po szwedzkich przodkach. Dotąd jednak nigdy nie widziała go w takim stanie.

Seth był rybakiem, ale po ślubie zdecydowali, że otwierają restaurację, spełniając tym samym marzenie Seta. Zainwestował w to przedsięwzięcie wszystko: cały kapitał, wiedzę, umiejętności, emocje. Rodzice trochę pomogli, a Justine wiernie stała u jego boku. Póki Leif był malutki, prowadziła księgowość, a gdy synek poszedł do przedszkola, zaangażowała się jeszcze bardziej. Oczywiście nadal zajmowała się finansami, lecz ponadto w razie potrzeby zajmowała się wszystkim, bywała nawet hostessą.

– Kto to mógł zrobić? – po raz tysięczny zapytał Seth, lecz jak dotąd nikt nie znał odpowiedzi.

Justine też jej nie znała. Było dla niej niepojęte, że ktoś chciał ich skrzywdzić. Nie mieli żadnych wrogów, żadnej poważnej konkurencji.

– Seth... – szepnęła cicho, wyciągając do niego rękę.

– Nie możesz się tak zadrećzać.

Jakby jej nie słyszał, a przecież tak bardzo chciała go pocieszyć. Bała się, że ogień zniszczył nie tylko restaurację. Odbierając Sethowi spokój ducha i życiowy cel, odebrał mu też wiarę w innych ludzi. I w siebie.

Justine kiedyś przeżyła coś podobnego, tę straszną chwilę, kiedy wali się cały świat. W 1986 roku, pewnego letniego popołudnia, trzymała w ramionach bezwładne

ciało swego brata bliźniaka i czekała na paramedyków, żeby udzielili mu pomocy. Az usłyszała, że trzynastoletni Jordan po beztróskim skoku do wody odszedł na zawsze, ponieważ skręcił sobie kark. Nie od razu straszna prawda do niej dotarła. Lecz gdy dotarła...

Po tej tragedii rozpadło się małżeństwo jej rodziców, bo matka i ojciec zamknęli się w swoim bólu i rozpacz. Po rozwodzie ojciec ożenił się powtórnie. Stało się to bardzo szybko, jakby uciekał przed przeszłością. Trzynastoletnia Justine musiała nauczyć się żyć z raną w sercu.

Ukończyła szkołę średnią i college, po czym rozpoczęła pracę w First National Bank. Poszło jej znakomicie, po kilku latach została szefem filii. O zamążpójściu nie myślała, ale chodziła na randki. Dość długo spotykała się z Warrenem Sagetem, deweloperem, rówieśnikiem jej matki, aż wreszcie w jej życiu pojawił się Seth Gunderson. Zнали się ze szkoły średniej. Seth był najlepszym przyjacielem Jordana. Dziwne, ale zawsze miała poczucie, że gdyby Seth był z nimi tamtego dnia, nie doszłoby do tragedii. Brat nadal by żył, a jej życie wyglądałoby inaczej, choć nie bardzo wiedziała, na czym to miałyby polegać.

W czasach szkolnych, mimo że Seth był kumplem Jordana, Justine rozmawiała z nim rzadko. Seth odnosił duże sukcesy w futbolu, lecz w nauce nie błyszczał, natomiast Justine była prymuską. Po ukończeniu szkoły w ogóle przestała go widywać, aż do zjazdu absolwentów przed sześciu laty. Wpadli na siebie, pogadali chwilę. Seth napomknął, że w czasach szkolnych podkochiwał się w Justine, a jego spojrzenie zdradzało, że nadal jest nią zauroczony.

Nim jednak się połączyli, przebyli długą i ciernistą drogę. Warren Saget nie zamierzał rezygnować z Justine, a wyczuwając zagrożenie w osobie Seta, zaproponował Justine małżeństwo. Kupił jej pierścionek z olbrzymim diamentem, obiecywał życie w luksusie i wysoką pozycję społeczną.

Seth miał do zaoferowania tylko wspólne życie na starej łajbie... i szczerą, bezwarunkową miłość. Justine, choć próbowała zagłuszyć głos serca, wreszcie poddała się uczuciu. Dotarło do niej, że dłużej już nie zdoła opierać się Sellowi.

– Dzwoniłem do komendanta straży pożarnej – powiedział Seth, ściągając Justine do rzeczywistości. – Wreszcie powinni mi przekazać jakieś informacje!

– Alez kochanie...

– Daj spokój z tym kochanie i kochanie! – krzyknął z taką złością, że Justine aż drgnęła. – Minał cały tydzień! Na pewno coś już wiesz, tyle że nic nam nie mówią! Ale dojdę, o co chodzi. W razie potrzeby wynajmę Roya McAfee!

– Kocha... Seth, wszyscy wiemy, że Roy jest świetnym i godnym zaufania detektywem, ale proszę, nie śpiesz się z tym. Przecież zarówno strażacy, jak i biegli z towarzystwa ubezpieczeniowego badają przyczynę pożaru, a szeryf wszczął oficjalne śledztwo. Poczekaj, aż każdy zrobi to, co do niego należy.

Na szczęście jej rzeczowa wypowiedź odniosła zamierzony skutek. Seth nerwowym ruchem przeczesał włosy, odetchnął głęboko, po czym odezwał się znacznie spokojniejszym głosem:

– Masz rację. Przepraszam, Justine, nie chciałem wyzywać się na tobie.

– Wiem, Seth. – Wstała z fotela, wsunęła się w ramiona męża i szepnęła: – Wracajmy do łóżka, pośpisz jeszcze trochę.

– Nie, Justine. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę, jak ten cholerny ogień zżera naszą restaurację.

– Przyjechał do pożaru kilka minut po przybyciu wozów strażackich. Mógł tylko stać i patrzeć, przerażony własną bezradnością w konfrontacji z żywiołem i tym, że niczego nie da się uratować. – Jezu... Kto to zrobił? Może faktycznie ten chłopak?

– Anson Butler? Nie wierzę, Seth.

– Bo nie chcesz uwierzyć!

Anson Butler został przyjęty do pracy w restauracji przed kilkoma miesiącami. Spalił składzik na narzędzia w parku i musiał spłacić zasądzone koszty. Seth go zatrudnił, bo Ansona polecił Zachary Cox, współwłaściciel biura rachunkowego i człowiek godny zaufania. Za Ansonem przemawiało również to, że sam zgłosił się na policję i niczego się nie wypierał.

Anson bardzo starał się udowodnić, że jest coś wart.

Zjawiał się w pracy przed czasem, pracował po godzinach, ciężką harówką zabiegał o uznanie szefa. Jednak po kilku tygodniach wszystko się popsuło. Tony, który razem z Ansonem pracował na zmywaku, poczuł antypatię do nowego kolegi. Dochodziło do kłótni, atmosfera w kuchni stała się fatalna. Seth powiedział o tym Justine, która poradziła, żeby chłopców rozdzielić, w efekcie czego Seth awansował Ansona na kuchcika. To wyróżnienie rozwścieczyło Tony'ego, który w restauracji pracował

o wiele dłużej niż Anson.

I właśnie wtedy z biura zginęły pieniądze. Do pokoju z sejfem mieli dostęp również inni pracownicy, ale tamtego dnia widziano, jak do pomieszczenia wchodzili zarówno Tony, jak i Anson. Anson twierdził, że szukał Setha, ponieważ dostawca miał jakiś problem, natomiast Tony utrzymywał, że chciał porozmawiać z szefem o grafiku. W rezultacie i Tony, i Anson stali się podejrzanymi, więc Seth nie miał wyboru i zwolnił obu. Pieniądzy nigdy nie odnaleziono, a Seth winą obarczył siebie, jako że wychodząc na chwilę z gabinetu, zostawił sejf otwarty. A po tygodniu Latarnia Morska spłonęła doszczętnie.

– Seth, przecież nie ma żadnego dowodu, że to Anson!

– Nie ma, ale się znajdzie! Wreszcie się wyjaśni, czy to on, czy też nie.

– Oczywiście. Chodź już, proszę! – Pociągnęła męża do sypialni.

Kiedy już leżeli, Justine przysunęła się do niego jak najbliżej. Objął ją ramieniem tak zarliwie, jakby już tylko ona dawała gwarancję pewności na tym pełnym chaosu, niestabilnym świecie. Wtedy pocałowała go w szyję, zaczynając grę wstępną. Miała nadzieję, że seks ukoi Setha, jednak pokręcił przecząco głową. Przełknęła gorzki zawód i powtórzyła sobie w duchu, że niebawem ten koszmar się skończy i znów będzie normalnie. Musiała w to wierzyć, nie poddawała się rozpacz, bo tylko narzucając sobie optymizm, mogła pomóc mężowi i uratować małżeństwo.

Kiedy obudziła się ponownie, za oknem było już jasno,

a na łóżko gramolili się poranni goście, czyli Leif z ukochanym misiem oraz Penny, urocza suczka, mieszanka cocker-spaniela z pudlem.

– Gdzie tata? – spytała Justine, siadając na łóżku.

– Tata... tata jest w swoim pokoju – odparł chłopczyk z powagą, oczy mu się nie śmiały. A to zły znak.

– Dobrze, niech sobie tam posiedzi, a my przyszykujemy się do przedszkola – oznajmiła Justine energicznym głosem, spoglądając na zegarek. Piętnaście po siódmej, czyli rzeczywiście pora wstawać. Mały Leif wozony był do przedszkola każdego ranka, pod tym względem nic się nie zmieniło. Chociaż świat rodziców został wywrócony do góry nogami, Justine i Seth starali się, żeby życie synka toczyło się normalnym trybem.

– Tata... tata znowu jest zły... – szepnął Leif.

Justine westchnęła. Niestety malec doskonale wyczuwał domowe nastroje, choć nie rozumiał, dlaczego tata chodzi ponury, a mama popłakuje po kątach.

– Krzyczał na ciebie? O tak? – Ryknęła groźnie jak niedźwiedź, zaciskając palce w pazury, i przy akompaniamencie radosnego poszczekiwania Penny ruszyła na czworakach w pogoń za synkiem. Leif, piszcząc przeraźliwie, zeskoczył z łóżka i zaczął uciekać. Mama za nim. Zagnała go do kąta i łypiąc złym okiem, ryknęła jeszcze raz, po czym podała ubranie, spełniając pragnienie Leifa, który niedawno oznajmił, że jest już duży i chce ubierać się sam.

Kiedy po odwiezieniu synka zajeżdżała przed dom, Seth czekał na nią w drzwiach i oznajmił, gdy tylko otworzyła drzwi samochodu:

– Rozmawiałem z komendantem straży pożarnej.

- Powiedział coś?
- Ani słowa na wiadomy temat.
- Seth, przecież takie sprawy nieraz ciągną się bardzo długo i wymagają wielkiej cierpliwości!
- A ty znowu swoje! Jakbyś nie wiedziała, że każdy dzień działa na naszą niekorzyść! No i taki drobiazg: z czego będziemy żyć?!
- Ubezpieczenie...
- Owszem, ale na pewno nie wypłacą go nam w tym miesiącu, zresztą odszkodowanie nie rozwiąże sytuacji. A rodziców zupełnie nie damy rady spłacić! Rodzice Setha sporo zainwestowali w restaurację. Seth i Justine spłacali ich w miesięcznych ratach, doskonale wiedząc, jak bardzo potrzebują tych pieniędzy.
- Wiesz co, Justine? Mam do ciebie ogromną prośbę!
- Jego głos przybierał na sile. Seth znowu był wściekły.
- Przestań wreszcie traktować to jak przejściowe trudności! Bo to coś więcej! O wiele więcej! Naprawdę nie dociera do ciebie, że Latarni Morskiej już nie ma?! Ze straciliśmy wszystko?!
- Az się wzdrygnęła na myśl, że Seth ocenia ją tak niesprawiedliwie. Przecież próbowała go wesprzeć, a on widział w niej słodką idiotkę, która nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.
- Pięć lat ciężkiej pracy poszło na marne! – ryczał dalej. – Po szesnaście godzin na dobę! Wszystko uleciało z dymem!
- Seth, przecież nie straciliśmy wszystkiego! – Naprawdę nie rozumiał, że choć przezywają koszmar, nie wszystko jest stracone? Mają siebie, mają dziecko, mają dom! Razem znajdują w sobie dość siły, żeby zacząć od

nowa... o ile Sethem przestanie rządzić gniew.

– A ty znowu swoje! – Potrząsnął bezradnie głową.

– Tak! Bo chcesz tylko jednego, zebym była tak samo wściekła jak ty.

– Bo powinnaś być wściekła, ze to wszystko się stało i ze nie udzielają nam żadnych informacji! Powinnaś...

– Nie, Seth! – Zaczynała tracić cierpliwość. – Złość to żadne wyjście! Owszem, tez strasznie mnie boli, ze straciliśmy restaurację, ale dla mnie to jeszcze nie koniec świata! Zastanów się nad tym, bo oprócz restauracji mozesz stracić również żonę i syna!

Wsunęła się z powrotem do samochodu i trzasnęła drzwiami. Ku jej uldze Seth nie próbował jej zatrzymać. Chciała pobyć jak najdalej od niego, było to po prostu konieczne.

Przejechała przez miasto, mijając przedszkole Leifa.

Synek miał być tam jeszcze dwie godziny, tyle więc czasu miała dla siebie. Po chwili zatrzymała samochód i poszła do parku na nabrzeżu. Usiadła na ławce i spojrzała na zatokę. Fale uderzały zaciekle o skały, niebo pociemniało.

Aona tak bardzo chciała się wyciszyć. Uwierzyć, ze po powrocie do domu wszystko wróci do normy. Sethowi będzie przykro, przeprosi za to, co powiedział, a ona...

– Witaj, Justine.

Nie, wcale się nie ucieszyła z tego spotkania. Pragnęła samotności, a juz towarzystwo Warrena Sageta, z którym kiedyś była związana, kompletnie jej nie odpowiadało.

Odrzuciła jego oświadczyzny, czego nie przyjął spokojnie, i do dziś przy lada okazji dawał do zrozumienia, ze wciąż coś do niej czuje.

Nie czekając na zaproszenie, Warren usiadł obok niej

i powiedział:

– Czytałem w „Chronicle” o pożarze. Bardzo mi przykro, Justine.

– Dziękuję. To było... straszne... – Poczowała, że dzieje się z nią coś złego. Przede wszystkim zrobiło się jej strasznie zimno.

– Odbudujecie restaurację?

– Oczywiście. Nie wyobrazam sobie, żeby Seth z tego zrezyg... – Zadrzała, czując na plecach lodowaty dreszcz. Wserecu też zagościł lód. I ten potworny, paniczny strach, który aż ścisnął za gardło. – Warren... – Zabrakło jej powietrza, świat zawirował wokół niej.

– Justine, co się dzieje? – Pełen niepokoju głos Warrena docierał do niej jak przez mgłę. – Źle się czujesz?

– Sama... nie wiem... – szepnęła ledwie słyszalnie.

– Justine, jedziemy do szpitala. A może wezwać pogotowie?

– Nie... ja chcę do mamy... – Czuła się jak przerażone dziecko, które tylko w ramionach matki może znaleźć obronę i ukojenie.

– Zawiozę cię do niej! – Warren zerwał się z ławki.

– Nie! – Przecież od tak dawna jest dorosła i potrafi walczyć z przeciwnościami losu. Odetchnęła głęboko, odczekała, aż serce przestanie bić jak szalone. – W porządku, Warren.

– Miałaś atak panicznego lęku – powiedział miękko, zaczesując kosmyk włosów, który jej opadł na skroń.

– Moja biedna Justine... A gdzie jest Seth?

– W domu.

– Może zadzwonię po niego?

– Nie, nie – zaprotestowała drżącym głosem. – Już mi lepiej.

- Nie martw się, Justine – szepnął, obejmując ją.
- Zaopiekuję się tobą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Allison Cox, przyciskając do piersi podręcznik, weszła do klasy na lekcję francuskiego. Gdy tylko pokazała się w progu, natychmiast zapadła cisza. Wiadomo, o czym plotkowano. O tym, że Anson puścił z dymem Latarnię Morską. A przecież to nie on! Allison wiedziała, że Anson nie jest zdolny do takiego zła, i nie tylko dlatego, że Gundersonowie okazali mu wiele zyczliwości. Po prostu nie był ani okrutny, ani mściwy, i bez względu na to, co ludzie wygadują, ona zawsze będzie wierzyć w niego. I w ich miłość.

Owszem, Anson znikł zaraz po pożarze, a przedtem zrobił coś bardzo głupiego, mianowicie podpalił składzik na narzędzia w parku. Tyle że przyznał się do wszystkiego i skrupulatnie spełniał sądowy nakaz, to znaczy chodził do szkoły i płacił odszkodowanie. Tyle że ten składzik naprawdę podpalił, nic więc dziwnego, że ludzie i za ten pożar go obwiniają. Mylą się jednak, bo ze spaleniem Latarni Morskiej nie miał nic wspólnego! Dla Allison był to niezbity fakt i wciąż powtarzała sobie w duchu, że Anson wkrótce powróci do Cedar Cove, zjawi się czwartego czerwca podczas uroczystego wręczania dyplomów ukończenia szkoły. Tak to sobie wymyśliła.

Nie widziała się z nim już cały tydzień – najdłuższy tydzień w jej życiu. Często wspominała tamtą noc, kiedy przyszedł do niej Anson. Spała już, gdy zapukał do okna. Nie po raz pierwszy zjawiał się u niej o tak późnej porze, jednak tym razem nie chciał wejść do środka. Powiedział, że przyszedł tylko po to, żeby się pożegnać. Oczywiście zaczęła z nim dyskutować, ale pozostał nieugięty. Mówił, że musi wyjechać. Nie powiedział dokąd, nie wiedział,

kiedy wróci. Pocałował Allison na pożegnanie i znikł w ciemnościach, a następnego dnia Rosie, jej matka, obudziła ją bardzo wcześnie, ponieważ szeryf, Troy Davis, miał do niej kilka pytań. Wtedy dowiedziała się o pożarze Latarni Morskiej.

W obecności rodziców odpowiedziała szeryfowi na wszystkie pytania, choć zataiła część prawdy. Przecież nawet ojciec nie znał jej całej, a gdyby tak się stało, mógłby przestać ufać Ansonowi, choć tak wiele mu pomógł, nawet po spaleniu składziku w parku nie odwrócił się do niego plecami, w przeciwieństwie do Cherry Butler, matki Ansona. W ogóle nie przejmowała się synem, po rozprawie sądowej stwierdziła, że Anson dostał to, na co sobie zasłużył, a kiedy znikł, w ogóle się nie zaniepokoiła, powiedziała tylko, że chłopak wróci, kiedy uzna to za stosowne, więc czym tu się martwić?

Innymi słowy, matka po prostu machnęła na niego ręką. Allison wiedziała, jak zachowaliby się jej rodzice, gdyby to ona uciekła z domu. Szaleliby z niepokoju i poruszyliby niebo i ziemię, by ją odnaleźć.

Wreszcie dzwonek oznajmił koniec lekcji francuskiego. Allison wybiegła z klasy, śpiesząc się do biura rachunkowego Smith, Cox i Jefferson. Współwłaścicielem tej firmy był Zachary Cox. Pracowała tam po kilka godzin dziennie, wdzięczna ojcu za to zajęcie, dzięki któremu mogła oderwać się od niewesołych myśli. W holu było tak samo jak co roku o tej porze. Zbliżała się połowa kwietnia i kłębił się dziki tłum podatników czekających z zeznaniami do ostatniej chwili.

– Allison, ktoś czeka na ciebie w kuchni – jak zwykle z miłym uśmiechem poinformowała ją recepcjonistka

Mary Lou.

W pierwszej chwili poczuła dziką radość. To na pewno Anson! Zaraz jednak dotarło do niej, że to niemożliwe. Gdyby tu się pokazał, jej ojciec lub ktokolwiek z pracowników biura musiałby powiadomić szeryfa Davisa. Taki był obowiązek, jako że Anson był poszukiwany.

Pomieszczenie zwane kuchnią było tak naprawdę niewielką jadalnią, w której pracownicy spożywali lunch. Znajdowały się tu mikrofalówka, lodówka, stół, cztery krzesła oraz szafka, w której Allison chowała podręczniki i torbę.

A na środku stołu stał fotelik samochodowy z dzidziusiem w środku.

– Cecilia! – Allison z radosnym okrzykiem rzuciła się w objęcia swojej serdecznej przyjaciółki, asystentki Zacha Coksa. Przed trzema laty rodzice Allison, Zach i Rosie Cox, rozwiedli się. Allison bardzo to przeżywała i zaczęła się buntować. Wpadła w bardzo nieciekawe towarzystwo, oceny w szkole poszły w dół. Kiedy Zach zaproponował jej pracę w swojej firmie, doskonale wiedziała, w czym rzecz. Ojciec chciał mieć na nią oko, gdy kończyła lekcje. Zgodziła się, choć bez entuzjazmu, okazało się jednak, że nie będzie współpracować z ojcem, lecz pomagać jego asystentce, Cecilii Randall, młodej żonie oficera marynarki wojennej. Szybko wyszło na jaw, że Cecilia ma za sobą podobne przeżycia, bo jej rodzice rozwiedli się, kiedy miała dziesięć lat, jak nikt inny rozumiała więc dylematy i stan ducha Allison. Co więcej, wkładając w to mnóstwo serca, taktu i rozumu, pomogła jej wyjść z dołka.

Allison bardzo tęskniła za przyjaciółką. Maleńki Aaron miał dopiero trzy tygodnie, nieobecność Cecylia w pracy nie trwała więc od wieków, jednak Allison tak właśnie to odbierała, pewnie dlatego, że tyle się w tym czasie wydarzyło.

– Cześć, Allison! Jak miło cię widzieć! Jesteśmy z Aaronem na spacerze, bo pogoda taka piękna... Allison...

– Cecilia uważnie przyjrzała się przyjaciółce. – Och, jesteś taka blada, oczy podkrążone...

– Wiem. Wyglądam okropnie. – Przed wszystkimi, łącznie z rodzicami, mogła nadrabiać miną, ale przed Cecilią nie musiała niczego udawać. A prawda była taka, że prawie nie spała po nocach, tak bardzo bała się i martwiła.

– No tak, Anson... – mruknęła Cecilia.

Skinęła głową i podeszła do Aarona, który znudzony brakiem zainteresowania zaczął popłakiwać. Na pierwszy rzut oka wydał się Allison bardzo podobny do Iana, kiedy jednak przyjrzała mu się dokładniej, zauważyła, że ma mnóstwo również po matce.

– Jest słodki – szepnęła, kiedy maciupeńkie paluszki zadziwiająco mocno zacisnęły się na jej palcu.

– I rozpieszczony do granic możliwości! – powiedziała Cecilia, z czułością spoglądając na synka. – Owinął nas wokół małego paluszka! Jesteśmy tacy szczęśliwi, Allison. Znow zaświeciło nam słońce...

Córeczka Cecylia i Iana zmarła zaraz po urodzeniu, dlatego Allison doskonale rozumiała zdanie o słońcu, które znow zaświeciło.

Maleństwo kaprysiło coraz energiczniej, więc Cecilia wyjęła je z fotelika.

– Nakarmię go – powiedziała, przysiadając na krześle.

– A my sobie pogadamy.

– Och, Cecilio! Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam się z tobą zobaczyć!

Choć roboty nie brakowało, nikt nie zaglądał do kuchni w poszukiwaniu Allison. Pewnie domyślano się, jak bardzo potrzebowała rozmowy z przyjaciółką.

– Przecież zawsze możesz do mnie zadzwonić!

– Wiem, ale rozumiesz, to nie to samo... Cecilio, pamiętasz, że kiedy poznałyśmy się, chodziłam z Ryanem Wilsonem?

– Tak. Głównie pamiętam ten jego kolczyk w kształcie spinacza.

Ryan był beznadziejny. Allison umawiała się z nim tylko na złość rodzicom, by odpłacić im za ich egoizm. Dziś była mądrzejsza, dlatego patrzyła na to inaczej. Nie egoizm, a chwilowe zaćmienie umysłu. Rodzice zresztą szybko się pogodzili i jeszcze przed końcem lata ponownie wzięli ślub.

– Anson jest całkiem inny niż Ryan. Zdolny, miły i lojalny... A Ryan to głupek, przestał chodzić do szkoły, nawet nie wiem, co robi. – Niestety, nie miała również pojęcia, co robi Anson.

– Anson na pewno jest wartościowym chłopakiem

– stwierdziła Cecilia. – Gdyby było inaczej, twój ojciec na pewno by mu nie pomagał. A pomaga, czyli ufa mu, wie, że Anson nigdy ciebie nie zrani...

– Już mnie zranił! – krzyknęła z rozpaczą Allison.

– Nie ma go! Uciekł! I po co to zrobił? Po co?! – Rozumiała

tylko tyle, że skoro uciekł, z pewnością musiał to zrobić. Niemniej uciekł, a ona została i sama musiała walczyć z całym światem, który sprzysiągł się przeciwko niemu.

– Czasami życie nas przerasta... – powiedziała cicho Cecilia wpatrzona w synka. – Nie radzimy sobie z tym, co nas boli, i ucieczka wydaje się jedynym rozwiązaniem.

– Przez co tylko pogarsza się sytuację!

– Oczywiście, ale Anson pewnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Poczł się skrzywdzony i odtrącony, więc uciekł.

– Ale dokąd? Dokąd mógł pojechać? – Z tego, co wiedziała, oprócz beznadziejnej matki i ojca, którego wogóle nie znał, nie miał żadnych krewnych. Dokąd więc pojechał? Gdzie się schował? Allison na próżno łamała sobie nad tym głowę, zamartwiając się, czy ma gdzie spać i co jeść. – Rodzice powiedzieli mi, że jeśli skontaktuje się ze mną, mam natychmiast zadzwonić do szeryfa Davisa.

– I słusznie! – Cecilia skończyła karmić. Zapięła bluzkę, przyłożyła sobie maluszka do ramienia i zaczęła delikatnie poklepywać go po plecach. – Prędzej czy później wszystko się wyjaśni, a jeśli Anson jest niewinny...

– Oczywiście, że jest niewinny!

Zabrzmiało to bardzo pewnie. Chyba za bardzo, bo Cecilia nagle poderwała głowę, spojrzenie jej ciemnych oczu dosłownie przewiercało Allison na wylot.

– Chyba jest coś, o czym mi nie powiedziałaś, czy tak?

– Gdy Allison przełknęła nerwowo, Cecilia dodała: – Widzę to w twoich oczach! Już się z nim skontaktowałaś, prawda?

– Nie, skąd!

– Allison!

– No dobrze. Powiem ci coś. Ale obiecaj, że...

– ...nikomu nie powiem. Obiecuję.

– Bo widzisz, boję się, że kiedy się dowiesz, to pomyślisz, że to Anson podłożył ogień.

– Chwileczkę! – Cecilia spojrzała na nią czujnie.

– Masz jakiś dowód? Coś ukrywasz?

– Nie.

– Chwała Bogu! Zdajesz sobie sprawę, że wtedy stałabyś się współnikiem?

– Szeryf dokładnie mi to objaśnił, gdy mnie przesłuchiwał. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam na wszystkie jego pytania, chociaż...

– No tak. – Cecilia pokiwała głową. – Nie skłamałaś, tyle że coś przed nim zataiłaś...

– Nie powiedziałam mu, że tamtej nocy, kiedy spaliła się restauracja, Anson przyszedł do mnie. Rozmawialiśmy zaledwie kilka minut. Powiedział, że wyjeżdża. Wpadłam w rozpacz, prosiłam, żeby został, ale upierał się, że musi zniknąć z Cedar Cove. A kiedy już poszedł sobie, coś do mnie dotarło. Coś strasznego. Od Ansona czuć było dymem! Dymem, rozumiesz? Ryczałam pół nocy, zanim zasnęłam...

– Dym, Allison? – spytała szeptem Cecilia. – Poczulaś od niego dym?

– Tak... Jakby Anson stał blisko ogniska.

– O Boże... – szepnęła Cecilia.

Czyli stało się to, czego tak bardzo obawiała się Allison. Cecilia, podobnie jak całe Cedar Cove, doszła do wniosku, że Latarnię Morską podpalił Anson.

ROZDZIAŁ TRZECI

Maryellen Bowman, sapiąc i postępując, po raz kolejny zmieniła pozycję na sofie, rozglądając się po swoim więzieniu. W każdym razie tym właśnie w ostatnich miesiącach ciąży stał się dla niej pokój dzienny. Jon zabrał trzyletnią córeczkę Katie na popołudniowy spacer, więc w domu panowała cisza, czyli wymarzone warunki do drzemki. Jednak Maryellen wiedziała doskonale, że nie zmruży oka, miała przecież tak wiele zmartwień. Dręczyła ją myśl, że ciąża z komplikacjami może odbić się na zdrowiu dziecka, niepokoiła się też o męża, który był w wielkim stresie. Latarnia Morska, w której Jon pracował jako szef kuchni, spłonęła, utrzymywali się więc tylko z jego artystycznych fotogramów. Prace wystawiane były w jednej z galerii w Seattle. Sprzedawały się dobrze, lecz i tak nie wystarczało na życie, tym bardziej że Maryellen nie miała już ubezpieczenia zdrowotnego. Jak więc miała się zrelaksować, mimo że jednym z podstawowych zaleceń lekarza była pogoda ducha?

Po raz kolejny zmieniła pozycję na sofie i zamknęła oczy, czując, jak ogarnia ją coraz większe przygnębienie. Kiedy nosiła pod sercem Katie, wszystko przebiegało prawidłowo, jednak druga ciąża zakończyła się poronieniem. Była pewna, że to bolesne przeżycie w jakiś sposób wpłynęło na przebieg trzeciej ciąży. A ona i Jon tak bardzo pragnęli tego dziecka i czekali na nie z utęsknieniem. Ona – przykuta do łóżka, dlatego jej matka, Grace, zjawiała się dwa razy w tygodniu. Przynosiła obiad i zajmowała się Katie, co było nieocenioną pomocą. Maryellen była bardzo jej wdzięczna, jednocześnie jednak złościło ją, że swoimi problemami obarcza pracującą

zawodowo matkę, na dodatek świeżo upieczoną mężatkę. Przecież Grace i Cliff dopiero zaczynali wspólne życie. Kiedy zadzwonił telefon, chwyciła za słuchawkę. Wreszcie z kimś sobie pogada i oderwie się od niewesołych myśli.

– Halo?

– Mówi Ellen Bowman, dzień dobry! Co u was słychać, kochanie? Dajecie sobie radę?

Miły, ciepły głos teściowej wzruszył Maryellen prawie do łez.

– Dziękuję. Jakoś sobie radzimy.

– A jak Jon? – spytała Ellen po sekundzie wahania.

– Z nim nie jest dobrze – wyznała szczerze Maryellen.

– Pod żadnym względem.

– Wciąż myślimy o was, choć wiemy, że Jon sobie tego nie życzy – powiedziała ze smutkiem teściowa.

– Jesteśmy ci wdzięczni, że próbowałaś wpłynąć na Jona, by choć trochę inaczej zaczął się do nas odnosić.

Za swoją interwencję Maryellen zapłaciła wysoką cenę. Jej próby pogodzenia ojca z synem spełzły na niczym, na dodatek ona i Jon tak bardzo się skłócili, że przez jakiś czas byli w separacji. A potem poroniła.

W rezultacie stanęło na tym, że jak ognia unikali drażliwego tematu. Tak było do chwili, gdy lekarz zalecił jej leżenie w łóżku. Wtedy Jon wydusił wreszcie z siebie, że nie mają wyboru i trzeba będzie poprosić o pomoc jego rodziców. Niestety, skończyło się tylko na deklaracji, co bardzo zmartwiło Maryellen. Przecież nie radzili już sobie z ciągłym stresem, co w końcu mogło doprowadzić do poważnych scysji.

– Jon miał zamiar do was zadzwonić, Ellen. Mówił mi

o tym.

– Naprawdę?!

– Tak, tyle że ostatecznie tego nie zrobił. Myślę, że nie pozwoliła mu na to duma.

– Pod tym względem jest taki sam jak ojciec. Maryellen, bardzo zauję, że nie zadzwonił. Dobrze wiemy, w jakiej sytuacji się znaleźliście. Zaprenumerowaliśmy „Cedar Cove Chronicle”, przesyłają nam ją do Oregonu pocztą elektroniczną. Czytaliśmy o pożarze Latarni Morskiej, a Jon ostatnio tam pracował... Z czego żyjecie?

– Ze zdjęć Jona. Dobrze się sprzedają. Jon ma wielki talent.

Dzięki temu Maryellen go poznała, kiedy prowadziła Harbor Street Gallery. Jon przyniósł do galerii swoje zdjęcia, które zrobiły furorę.

W przeciwieństwie do wielu innych artystów, był bardzo skryty. Dopiero kiedy na świat przyszła Katie, trochę się otworzył. Maryellen dowiedziała się wtedy, że człowiek, którego pokochała, spędził jakiś czas w więzieniu. Jego ojciec i macocha, by chronić młodszego syna, posłużyli się kłamstwem, w efekcie czego Jon został skazany za przestępstwo, którego nie popełnił.

– Joseph i ja bardzo chcemy wam pomóc – powiedziała Ellen. – Powiedz, kochanie, co możemy dla was zrobić?

– Sama nie wiem... – bąknęła Maryellen, czując się

bardzo niepewnie. Głupio przecież tak walnąć prosto z mostu, ze rozpaczliwie potrzebuje się kogoś do pomocy, bo Jon, chociaż dwoi się i troi, nie jest w stanie w szystkiemu podołać. – To znaczy... są pewne komplikacje z moją ciążą. Muszę leżeć.

– Mój Boże... Przecież w tej sytuacji nie mozesz się zajmować dzieckiem!

– Nie mogę. Ot, choćby teraz Katie poszła na spacer z tatą.

– Rozumiem... A czy Jon ze w szystkim sobie radzi?

– spytała zaniepokojona Ellen.

– Nie bardzo – odparła szczerze Maryellen, pragnąc zmiany tematu.

– W takim razie przyjeżdżamy – oświadczyła Ellen.

– Tylko nie mów, że na nic wam się nie przydamy!

Maryellen pomyślała, że życie jest jednak piękne, bo ludzie są cudowni, zaraz jednak poczuła niepokój. Jak zareaguje na taką nowinę Jon?

– Ellen, może zastanów się nad tym.

– Nie ma nad czym, przecież chodzi o dobro całej waszej rodziny. Przyjeżdżamy! Wiesz co, Maryellen?

Widzę w tym palec boży. Właśnie w ten sposób Najwyższy daje nam szansę na pojednanie.

– Może i tak... Ellen, jednak najpierw porozmawiam z Jonem.

– Zrobisz, jak uważasz, ale Joseph i ja przyjeżdżamy do Cedar Cove, nieważne, jak na to zareaguje Jon. Pa, kochanie. Do zobaczenia.

Ta rozmowa podniosła Maryellen na duchu, choć miała twarde orzech do zgryzienia. Musi przekazać mężowi wiadomość o przyjeździe Josepha i Ellen... Tylko kiedy to

zrobić i jakich słów użyć? A może nic nie mówić? Miała już serdecznie dość tych rodzinnych animozji. Zawsze problem. Ot, choćby to: Jon najpierw mówi, że poprosi ich o pomoc, a potem nabiera wody w usta.

Kiedy usłyszała samochód podjeżdżający pod dom, była pewna, że to Jon z Katie. Mieli przecież wrócić o tej porze. By zaprezentować się jako pogodna, zrelaksowana żona i matka, przykleiła do twarzy promienny uśmiech i wlepiała oczy w drzwi.

A drzwi wcale się nie otworzyły. Ktoś zadzwonił.

Goście? W środku dnia?

Aż wreszcie drzwi się otworzyły i do domu wraz z powiewem świeżego wiosennego powietrza wtargnęły Rachel Pendergast i Teri Miller z salonu Get Nailed, który Maryellen odwiedzała co jakiś czas.

Kiedyś...

– Rachel? Teri? Jakim cudem?!

– Przyjechałyśmy tu z pewną misją, którą można określić jako misję miłosierdzia. – Rachel postawiła na stoliczku przed sofą dużą białą torbę, po czym uścisnęła serdecznie Maryellen, lustrując bacznie jej paznokcie.

– Masakra! – krzyknęła ze zgrozą.

– Z włosami też koniecznie trzeba coś zrobić! – zdecydowanie oświadczyła Teri. – Przywiozłyśmy też lunch.

– Naprawdę? – Zachwycona Maryellen nie wiedziała, czy z tej radości śmiać się, czy płakać. – Skąd wiedziałyście, że spełnicie moje najskrytsze marzenia?

– Od wróbelków, co ćwierkają na mieście! – zawołała wesoło Rachel w drodze do kuchni.

– Jak tu ładnie – stwierdziła Teri, rozglądając się dookoła. – Rachel mówiła, że Jon prawie wszystko zrobił

sam. Trzeba przyznać, że masz wyjątkowo uzdolnionego męża!

Uśmiech Maryellen był już prawdziwym uśmiechem od ucha do ucha. Co do męża to owszem, był wyjątkowo utalentowany, ale ta wizyta... Darzyła Rachel i Teri wielką sympatią. Nadzwyczaj sympatyczna Rachel od lat zajmowała się jej paznokciami, natomiast tryskająca humorem, trochę ekscentryczna i obdarzona złotym sercem Teri dbała o fryzurę.

– Przyniosłyśmy grillowanego kurczaka w sosie teriyaki, do tego ryż i jarzyny – zakomunikowała Rachel, wyjmując z torby pojemniczki.

Apetyt Maryellen od dawna był w zaniku, Jon musiał ją bardzo gorąco namawiać, by cokolwiek przełknęła. A teraz nagle poczuła wilczy głód.

– Cudownie!

Rachel podała jej talerz i pałeczki. Maryellen usiadła na sofie po turecku, Rachel i Teri ulokowały się na miękkich wyściełanych stołkach po drugiej stronie stoliczka i zajęły się konsumowaniem lunchu, zakupionego, jak poinformowała Teri, w nowo otwartej knajpce z jedzeniem na wynos na obrzeżach Cedar Cove. Cała trójka orzekła, że jedzenie jest pyszne i warto do owej knajpki zaglądać.

– A teraz wracamy do kwestii zasadniczej – powiedziała po chwili Teri. – Myślę, Maryellen, że najlepiej na krótko. Będzie ci o wiele wygodniej.

– Na krótko? Całkiem na krótko? Nie wiem, czy Jonowi to się spodoba.

– Trudno! Będzie musiał się przyzwycząić!

Oby! Ostatni raz taką krótką fryzurkę Maryellen

miała zaraz po urodzeniu Katie, potem znów zapuściła włosy. Proste, czarne, lśniące, długie aż do połowy pleców. Jon nigdy nie krytykował włosów krótkich, ale długimi się zachwycał. Mówił, że są przepiękne. Niemniej jednak...

– Dobrze, Teri. Raz kozie śmierć. Tylko zaraz... chwileczkę... czy zdajecie sobie sprawę, że nie stać mnie ani na fryzjera, ani na manikiur?

– Wiemy! – zawołała radośnie Rachel. – Ale o to niech cię głowa nie boli. Ktoś już to uregulował...

– I naprawdę nie możemy narzekać – dodała z uśmiechem Teri.

– Tak? Ale kto?

– Twój ojciec chrzestny. Albo czarodziej. Tylko tyle wolno nam powiedzieć.

– Już wiem! Cliff!

Oczywiście, że Cliff. Od niedawna ojczym Maryellen, wyjątkowo dobry, czuły i wrażliwy człowiek.

– To ty powiedziałaś! Ja milczę jak grób! – Rachel dla większego efektu przycisnęła dwa palce do ust, a potem wzięły się do roboty. Teri umyła Maryellen głowę i kiedy zaczęła strzyć, Rachel zabrała się do paznokci.

– Powiedźcie, co nowego w Cedar Cove – poprosiła Maryellen. – Przecież na tej sofie umieram z nudów!

– Co nowego? – Teri na moment przestała szcząkać nozyczkami, rzucając wymowne spojrzenie Rachel.

– Wyobraź sobie, że Nate Olsen wrócił do Cedar Cove! Nate, młody oficer marynarki, z którym spotykała się Rachel. Przedtem przez długi czas łączono ją z wdowcem Bruce'em Peytonem, chociaż nikt nie wiedział, jakiego rodzaju była to znajomość. A potem w życiu Rachel pojawił

się marynarz i Maryellen – na pewno nie tylko ona! – była bardzo ciekawa, którego ostatecznie wybierze Rachel.

– Och, przestań, Teri! – krzyknęła Rachel. – Owszem, spotykam się z Nate’em, ale to jest znajomość absolutnie... niezobowiązująca.

Niezobowiązująca? Może tak, może nie, jednak Maryellen nie zamierzała tego komentować. Spytała tylko mimochodem:

– A jak tam Bruce?

– Jak zawsze. Nadal się przyjaźnimy, choćby ze względu na Jolene.

Przyjaciele? Hm... Maryellen podejrzewała, że Rachel mimo wszystko darzy Bruce’a głębszym uczuciem, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Wiecie, czego ja nie rozumiem? – Teri efektownie zakręciła nozyczkami, trzymając je na jednym palcu.

– Dlaczego Rachel ma dwóch facetów, a ja ani jednego!

– Bo jesteś skąpiradło! Nie wzięłaś udziału w licytacji na aukcji kawalerów, to i teraz masz. To znaczy nie masz! Fakt, przecież Rachel kupiła sobie randkę z Nate’em podczas imprezy dobroczynnej.

– Niestety, ci faceci byli nie na moją kieszeń. – Nozyczki znów szcęknięły, na podłogę sfrunęły długie pasma pięknych włosów. Teri nachyliła się i ostrożnie podniosła je z podłogi. – Maryellen, a może byś podarowała swoje włosy na peruki dla kobiet chorych na nowotwory?

– Alez oczywiście! Wspaniały pomysł.

– Dzięki. Czy mogę włączyć na chwilę telewizor?

Ciekawa jestem, jaka pogoda będzie podczas weekendu.

– Jasne.

Teri ustawiła się przed telewizorem i pilnie wysłuchiwała

wiadomości.

– Czy wiecie, że w Seattle odbędą się mistrzostwa w szachach? – spytała, wracając w poblize sofy.

– Nie wiedziałam. Czyżbyś grała w szachy? – spytała Maryellen.

– Co ty! Nie mam o nich zielonego pojęcia. To coś jak warcaby, prawda?

Maryellen zachichotała, natomiast Rachel wyjaśniła, próbując zachować powagę:

– Niby tak, choć szachy są bardziej skomplikowane.

Wkrótce po ich wyjściu do domu wrócili Jon i Katie.

Byli zmęczeni po spacerze. Jon spojrzał przelotnie na Maryellen, zaraz jednak wrócił do niej wzrokiem, po prostu wlepił gały.

– Podoba ci się? – spytała trochę niepewnie, po czym opowiedziała o niespodziewanej wizycie. Na koniec dodała:

– Oddałam moje włosy, zrobią z nich perukę dla jakiejś kobiety chorej na raka.

– Oczywiście. – Jon ze zrozumieniem pokiwał głową.

– To ważna sprawa. Bardzo lubiłem cię w długich włosach, ale w krótkich też ładnie wyglądasz. I na pewno będzie ci wygodniej.

Maryellen uśmiechnęła się. Usłyszała to, co chciała usłyszeć. Jak miło... Katie wgramoliła się jej na kolana, przytuliła się, po chwili zasnęła. Maryellen ułożyła ją obok siebie i spojrzała na męża. Nie musiała pytać, jak minął dzień. Wystarczyło spojrzeć na jego zmęczoną twarz. Cały dzień w biegu – zakupy, robienie zdjęć, biblioteka.

– Usiądź z nami na chwilę, Jon.

– Nie mogę. Mam coś do zrobienia.

– Jon, proszę...

Był rozdarty. Katie zasnęła, mógł więc spokojnie popracować, a zarazem chciał побыć z żoną. Dlatego żona pomogła mu podjąć decyzję. Uśmiechnęła się wyjątkowo słodko. To wystarczyło, żeby Jon usiadł obok niej i objął ją ramieniem.

– Bardzo cię kocham – szepnęła.

– Ja ciebie też. – Pocałował ją w czoło.

– Te ostatnie tygodnie są okropne, ale potem będzie łatwiej.

– Damy radę.

– Też tak myślę... Aha, Jon, dzwoniła twoja macocha.

Czuła, jak natychmiast cały zeszywniał.

– Ona zadzwoniła czy ty do niej?

– Na pewno nie ja! Joseph i Ellen prenumerują „Chronicle”.

Czytali o pożarze Latarni Morskiej, dlatego Ellen zadzwoniła do nas. Pytała, jak dajemy sobie radę.

– Czyli wiedzą, że nie mam już tej roboty...

– Powiedziałam też o komplikacjach z ciążą. Jon, to był pomysł Ellen. O nic nie prosiłam, przysięgam.

– Jaki pomysł?

– Ellen i Joseph przyjeżdżają do Cedar Cove, chcą nam pomóc. – Zapadła długa cisza. – Jon, powiedz coś!

– Bała się okropnie, bo zdawała sobie sprawę, że jest już u granic wytrzymałości. Jeśli Jon teraz wybuchnie gniewem, ona po prostu się załamie.

– Ale nie będą u nas mieszkać! – oznajmił wreszcie.

– Na pewno nie.

– Dobrze. I pamiętaj, kiedy jestem w domu, mają się tu nie kręcić.

– Powiem im, Jon.

- Wcale mi się to nie podoba – powiedział znudzonym głosem. – Godzę się tylko ze względu na ciebie i nasze dzieci.
- Dziękuję.
- Mój stosunek do nich pozostaje bez zmian.
- Wiem. – Wtuliła głowę w jego ramię. Czuła, że Jon powoli zaczyna się odprężyć.
- No cóż... jak człowiek kocha... – Ustąpił tylko dla dobra żony i córki, lecz czyż nie na tym polega miłość, że dobro tych, których kochamy, stawiamy na pierwszym miejscu?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Justine, stojąc przed żółtą taśmą ogradzającą miejsce przestępstwa, wpatrywała się w czarne zgliszcza, które na tle pięknego błękitu zatoki wyglądały wyjątkowo upiornie. Tylko to pozostało z Latarni Morskiej. Choć od pożaru minęły dwa tygodnie, nadal czuć było gryzący zapach dymu i spalonego drewna.

Razem z nimi na pogorzelnisko przyjechał Robert Beckman z towarzystwa ubezpieczeniowego. Starszy pan przyglądał się pogorzelnisku i sporządzał notatki.

– Jak długo będzie trwało dochodzenie? – zawołał za nim Seth, nie kryjąc złości.

Justine wzięła go pod rękę, przekazując prośbę bez słów, choć nie bardzo wierzyła, by zdołał się uspokoić. Był w fatalnym stanie psychicznym, przepelniony goryczą, miotany wściekłością. Chciał jak najprędzej znów otworzyć restaurację, stało się to jego obsesją. Nieustannie był rozdrażniony, dręczyła go bezsenność.

– Rozumiem, że dla państwa trwa to bardzo długo

– łagodnie powiedział Beckman – ale...

– Ale to trwa już dwa tygodnie! – przerwał mu Seth.

– Co tu jeszcze można badać?!

– Panie Beckman – odezwała się półgłosem Justine

– proszę wybaczyć, ale przezywamy z mężem bardzo trudne chwile.

– Oczywiście, pani Gunderson. Zdaję sobie sprawę, że czas dłuży się wam w nieskończoność, ale proszę mi wierzyć, wszyscy zaangażowani w tę sprawę pracują najszybciej i najskuteczniej, jak to tylko możliwe.

– Przepraszampana... – Seth bezradnie wzruszył ramionami.

–Cóż, znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia,

a największym naszym wrogiem jest czas. Nasi klienci zapominają o Latarni Morskiej, przyzwyczajają się do innych lokali, z takim trudem zgromadzony i wyszkolony personel zatrudnia się gdzie indziej... – Jak choćby Dion, perfekcyjny kierownik sali, pomyślał Seth. Nie mógł mieć o to pretensji, przecież trzeba z czegoś żyć.

– Towarzystwo ubezpieczeniowe ma to na uwadze, panie Gunderson, niestety, nie możemy podjąć żadnych konkretnych działań na rzecz państwa bez dokładnego zbadania spalonego obiektu, a będziemy mogli tu wkroczyć dopiero wtedy, gdy uzyskamy zezwolenie komendanta straży pożarnej. Przecież wiecie państwo, że prowadzone jest dochodzenie w związku z podejrzeniem celowego podpalenia.

– Tak, wiemy – mruknął Seth, który niezliczoną już ilość razy dzwonił do komendanta straży pożarnej, prosząc o szybsze działania. – Ale to wszystko trwa i trwa.

– Nic na to nie poradzimy, panie Gunderson. Ponieważ wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z przestępstwem, strażacy muszą przeprowadzić swoje dochodzenie, a policja swoje. Na koniec towarzystwo ubezpieczeniowe po uzyskaniu zezwolenia przyśle biegłego, który dokona tych samych czynności co straż i policja, by ustalić źródło pożaru i inne okoliczności. Owszem, wygląda to na powielanie tego samego, ale takie są procedury.

– Czego można się dowiedzieć z kupy popiołu?!

– spytał opryskliwie Seth.

– Bardzo dużo, proszę pana. Zadziwiające, ile nasi eksperci potrafią odczytać z pogorzeliśka, nawet wytypować sprawcę podpalenia. Pamiętam, kiedyś...

- Wszystko pięknie ładnie, tylko ze ciągnie się to w nieskończoność! A ja już skontaktowałem się z architektem...
- Co...?! – Justine spojrzała na niego zdumiona. Rozmawiał z architektem, ale nie uznał za stosowne, by ją o tym poinformować?!
- Rozmawialiśmy na temat projektu – ciągnął Seth.
- Powinien już powstać wstępny projekt, to jednak niemożliwe, dopóki komendant straży nie zezwoli na wejście na teren budowy.

Justine miała dość. Ruszyła przez parking ku zatoce, a z każdym krokiem furii w niej narastała. Ciekawe, kiedy Seth skontaktował się z tym architektem! Bez słowa zniknął z domu, a ona o nic nie pytała, zadowolona z tych chwil samotności. Bo Seth stał się po prostu nieznośny. Nie robił nic konstruktywnego, tylko miotał się po całym domu, niezdolny skupić się na czymkolwiek. Zatrzymała się dopiero na samym końcu, gdzie rozciągał się widok na całą zatokę. Bezkresna panorama zwykle kołała jej nerwy, miała więc nadzieję, że i tym razem serce powróci do normalnego rytmu, choć miała nader poważny powód do zdenerwowania. Restauracja była wspólną sprawą jej i męża, lecz to się zmieniło. Seth bierze sprawy w swoje ręce, a ona idzie w odstawkę. Niestety żarłoczny ogień nie tylko unicestwił Latarnię Morską. W pewnym sensie również zabrał jej męża, bo ta nowa wersja Setha Gundersona była absolutnie nie do przyjęcia. Dlatego pokusa, by spakować torbę i zniknąć na jakiś czas, stawała się coraz silniejsza. W końcu miała dokąd pojechać, chociażby do letniego domku Warrena nad kanałem Hood. Warren proponował, żeby trochę tam pomieszkała i wypoczęła w przepięknej, spokojnej okolicy.

Cudownie byłoby pojechać tam z Leifem, który uwielbia biegać po plaży, brodzić w wodzie, buduje zamki z piasku...

– Justine... – Poczowała na ramieniu ciepłą dłoń Setha.

– Nie martw się, kochanie, na pewno wszystko odmieni się na lepsze. Ja też. Przecież wiem, że jestem teraz... trochę uciążliwy.

Trochę! Przytuliła policzek do dłoni męża.

– Powiedziałaś, że rozmawiałaś już z architektem...

– Oczywiście. Chcę jak najszybciej odbudować Latarnię Morską. A ty nie chcesz?

– Mówiąc szczerze, sama już nie wiem.

– Zartujesz! Przecież zjemy z tej restauracji, to nasze jedyne źródło dochodu. Naprawdę chcesz, żebyśmy znów zaczął łowić ryby?! Przecież razem podjęliśmy decyzję, że kończę z tym raz na zawsze.

– Wiem, Seth, lecz nie w tym rzecz. – Mocno go objęła.

– Po prostu nie wiem, czy nadal chcę być współwłaścicielką restauracji.

– Chyba nie mówisz serio! – wykrzyczał, łapiąc ją mocno za ramiona.

– Jak najbardziej serio. Uważam, że zabraliśmy się do tego biznesu, nie mając bladego pojęcia, jak wiele będzie nas to kosztowało.

Według statystyk osiem na dziesięć nowo otwartych biznesów pada. Restauracje pod tym względem plasują się na czołowej pozycji. Oni przetrwali, ale tylko dlatego, że oddali się temu biznesowi i ciałem, i duszą. No i dopisało im szczęście.

– Przecież każdy interes...

– Seth, chodzi mi o całą naszą trójkę! – przerwała

mu gwałtownie. – W restauracji trzeba było być i w dzień, i w noc. Nasze życie rodzinne właściwie nie istniało.

– Czyli co? Uważasz, że jestem złym mężem i ojcem?

– To nie tak, Seth. – Spojrzała mu w pełne niepokoju i rozzalenia oczy. – Nie robię ci żadnych wyrzutów.

Kocham cię, a ty mnie, co do tego nigdy nie miałam wątpliwości. Ale ja... ja się boję, Seth.

– Mój Boże, czego?

– Sama nie wiem, ale w zeszłym tygodniu ni stąd, ni zowąd wpadłam w panikę. Czulałam przerażający lęk, brakowało mi powietrza, miałam wrażenie, że za chwilę stracę przytomność.

– Justine! – Był przerażony. – Kiedy to się stało?

Gdzie? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Mało masz zmartwień?

– Justine... – Mocno przytulił ją do siebie. – Tak mi przykro, kochanie.

– Mnie też, Seth, i to z wielu powodów. Przede wszystkim dlatego, że zupełnie sobie nie wyobrazam powrotu do naszego poprzedniego życia. Wiem, ile znaczy dla ciebie Latarnia Morska, ale ja nie chcę, żeby znów było tak jak przedtem. Ciebie nigdy nie ma w domu, ja też każdego dnia pracuję w restauracji, chociaż zakładaliśmy, że będę prowadziła księgi i w wyjątkowych sytuacjach kogoś zastępowała. Czasami, a nie codziennie! W rezultacie nasz synek wszystkie wieczory spędzał z opiekunką. Wychowują go obcy ludzie, a ty dla żony i dziecka nigdy nie miałaś czasu! – Wszystkie zale wylewały się z niej szeroką strugą, ale trudno. Prędzej czy później Seth musiał się o tym dowiedzieć.

- Nigdy dotąd o tym nie mówiłaś...
- Bo i kiedy? Zyliśmy w takim pędzie, że prawie nie rozmawialiśmy z sobą, a jeśli już, to wyłącznie o restauracji! Wyłącznie! A podobno chcemy mieć jeszcze jedno dziecko... Tyle że ja głęboko się zastanawiam, czy ma to sens, skoro nasze życie rodzinne obumiera, właściwie już go nie ma. – Przerwała na moment, tłumiąc szloch. – Seth, wiem, co teraz myślisz. Rodzina rodziną, ale ty nie masz zamiaru dopuścić, żeby tyle lat ciężkiej pracy poszło na marne. Rozumiem to doskonale, uważam jednak, że powinniśmy się zastanowić, co dla nas jest ważniejsze. Czy praca po trzynaście, czternaście godzin dziennie, czy nasze małżeństwo i nasze dziecko!
- Wiesz, co myślę? Ze grubo przesadzasz.
- Nie, Seth. Oczywiście, że nie było tylko źle, ale dobrego znacznie mniej. Więc czy warto dalej tak się poświęcać? – Jej oczy lśniły już od łez. – Przecież kocham cię, Seth, i właśnie dlatego chcę cię z powrotem, chcę, żeby wróciło to, co nas kiedyś łączyło. Boję się jednak, czy nie jest już za późno...
- Justine! – Głęboko poruszony jeszcze mocniej przytulił ją do siebie. – Nie wiedziałem, że tak na to wszystko patrzysz.
- Dotarło to do mnie dopiero po pozarze.
- Rozumiem... W takim razie jak twoim zdaniem powinno wyglądać nasze życie?
- Jeszcze nie wiem, uważam tylko, że powinniśmy poważnie się zastanowić, czy odbudować Latarnię Morską, czy nie.
- Widziała, jak znów się spał, czyli decyzję już podjął.

Jak buldozer będzie parł do przodu z odbudową, bo z tego, co właśnie mu wyłuszczyła, niewiele do niego dotarło.

– No cóż... pogadać zawsze można... – mruknął enigmatycznie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Ian, pamiętasz? Rosewood Lane 204 – rzuciła przez ramię Cecilia, spoglądając na malutkiego Aarona. Malec spał słodko w foteliku na tylnym siedzeniu, nieświadomy, jak ważna jest dla rodziny ta wyprawa samochodem. Jechali obejrzeć dom zgłoszony do agencji nieruchomości Cedar Cove Real Estate. Cecilia i Ian niechętnie zdecydowali się na wynajem, jako że comiesięczny czynsz uniemożliwi im odłożenie odpowiedniej kwoty, by pomyśleć o kredycie na zakup własnego domu, uznali jednak, że przynajmniej na razie to jedyne wyjście, a ta oferta wydawała się szczególnie pociągająca, dlatego postanowili przyjrzeć się jej w pierwszej kolejności.

Cecilia była bardzo podekscytowana. Po rozwodzie rodziców mieszkały z matką w kolejnych wynajmowanych mieszkaniach, natomiast Cecilia marzyła o domku z dużym ogrodem w miłej okolicy z życzliwymi, zaprzyjaźnionymi sąsiadami na pobliskich posesjach. Ian, który wychował się w takim właśnie domu, nie podchodził do tego tak emocjonalnie. Był gotów przeczekać w tanim wynajętym mieszkaniu, aż będzie stać ich na kupno własnego domu.

Już sama ulica bardzo się Cecylii spodobała. Rosewood Lane wysadzona była po obu stronach wiązami, na których pojawiły się już pierwsze liście, a przed każdym domem widać było barwne kępki tulipanów i zonkili. Poza tym cisza i spokój. Tu dzieci mogą bez obaw jeździć rowerami po jezdni, a na chodnikach skacze się przez skakankę czy gra w klasy.

Kiedy zauważyła z daleka prześliczny drewniany płótek

pomalowany na biało, pomodliła się w duchu, by właśnie za tym płotkiem kryła się posesja numer 204. Jej prośba została wysłuchana, a już sam dom przerósł najśmielsze marzenia Cecilii. Biały, piętrowy, z wielkim mansardowym oknem nad dużą werandą z ceglanymi filarami. Zbudowano go dość dawno, co dla Cecilii było dodatkowym plusem.

– Dom jak dom – stwierdził Ian, podjeżdżając do krawężnika.

– Hej! – Cecilia klepnęła go po ramieniu. – Tylko nie mów, że ci się nie podoba!

Ledwie zdążył zahamować, wyskoczyła z samochodu i pobiegła do drzwi, gdzie czekała agentka Judy Flint. Właściciele mieli pojawić się później. Zwykle osoby korzystające z usług agencji tego nie robią, ci jednak nalegali na spotkanie z kandydatami na lokatorów.

Ian wyjął z samochodu fotelik z Aaronem i wszedł na werandę.

– Jaki słodki! – Agentka z rozczeniem spojrzała na śpiące maleństwo. – Przyjechali państwo co do minuty. Zapraszam do środka. – Otworzyła szeroko drzwi.

Cecilia pierwsza przekroczyła próg i znalazła się w przestronnym pokoju dziennym o białych ścianach, lśniącej dębowej posadzce i z ceglanym kominkiem. Pokój był pusty, bez mebli, ale i tak sprawiał wrażenie przytulnego.

– Cecilio! – zawołał Ian. – Jestem w kuchni! Trochę tu ciasno!

– Już idę! – krzyknęła, nie odrywając oczu od kominka.

Cudny ten kominek! Już widziała przy nim bujany fotel, w którym karmi Aarona, czyta, marzy, wpatrując się w złociste płomienie...

– Cecilio! – W drzwiach ukazał się Ian. – Pamiętaj, że to dopiero pierwszy dom na naszej liście.

– Pamiętam, pamiętam... – Jednak decyzję już podjęła. Bo to właśnie było to, musi tylko przekonać męża, zanim ktoś inny sprzątnie im sprzed nosa ten cudowny dom.

– Idę do garażu – oznajmił Ian.

Pewnie spenetrował już cały parter, a ona nawet się nie ruszyła z tego pokoju.

Poszła do kuchni. Ian miał rację, rzeczywiście mogłaby być trochę większa, jednak po bliższych oględzinach Cecilia uznała, że wcale nie jest tak źle.

W kuchni były drugie drzwi prowadzące na tyły domu.

Byływnich drzwiczki dla psa. Kiedyś przygarnął nieduzego, wesołego pieska, rozmarzyła się Cecilia. Będzie przez te drzwiczki wybiegał do ogrodu...

Do kuchni przylegał niewielki pokój mogący służyć za sypialnię, w którym zrobiono jednak pralnię, a idąc dalej korytarzem, natrafiła na dużą sypialnię, zapewne państwa domu. Ściany pomalowane były na jasnozółto, obok znajdowała się garderoba, raczej niewielka, jednak Cecilia uznała, że taka wystarczy.

– Na górze są jeszcze dwie sypialnie – poinformowała Judy, pojawiając się w korytarzu. – W sumie więc mamy cztery.

– Cztery sypialnie... – powtórzyła zachwycona Cecilia.

– Prawie jak w pałacu!

– Suterena jest niewykończona.

– Jest tu jeszcze suterena?

– Tak, ale służyła właścicielom jako składzik.

– Garaz jest rewelacyjny! – zawołał rozpromieniony Ian. – Cecilio, chcesz zobaczyć?

– Jasne! – Nim ruszyła za nim, wymieniła z Judy znaczące uśmiechy. Mężczyźni i ich garaże! Zamierzała jednak kuć zelazo, póki gorące.

Usytuowany blisko domu garaz był wystarczająco obszerny, by swobodnie podłubać wsamochodzie, a także przechowywać w nim narzędzia, sprzęt turystyczny czy cokolwiek tylko się zamarzy.

– Ianie, nie zapominaj, że to dopiero pierwszy dom na naszej liście – zacytowała go Cecilia z kpinką w głosie.

– W naszej ofercie to najlepszy dom za tę cenę

– oznajmiła Judy.

– Więc jak? – spytał Ian, spoglądając na zonę.

– Myślę, że zrezygnowanie z takiej okazji to grzech

– odparła Cecilia.

Ian z uśmiechem uścisnął jej dłoń.

– Czy mam skontaktować się z właścicielami? – spytała Judy.

– Tak – odparli unisono.

Agentka wyszła z garazu, by porozmawiać przez komórkę, a gdy wróciła do garazu, powiedziała:

– Właściciele są już w mieście, dotrą tu za dziesięć minut.

I faktycznie po dziesięciu minutach do domu wkroczył starszy pan w kowbojskim kapeluszu i kowbojskich butach w towarzystwie pani w średnim wieku.

– Państwo Grace i Cliff Hardingowie – dokonała prezentacji Judy. – Państwo Cecilia i Ian Randallowie.

Mały Aaron przedstawił się sam, oczywiście płaczem.
Cecilia wyjęła synka z fotelika i utuliła.

– Wiem, że kiedy korzysta się z pośrednictwa agencji, właściciele na ogół nie proszą o spotkanie z przyszłymi lokatorami – powiedziała Grace.

– Alez nam bardzo miło poznać państwa – zapewniła ją Cecilia. – Choć panią miałam już przyjemność poznać. W bibliotece.

Cecilia, zanim sprawiła sobie komputer, robiła wycieczki do biblioteki, by kontaktować się pocztą elektroniczną z mężem, który pływał po morzach i oceanach na lotniskowcu, i tam poznała miłą i uczynną kierowniczkę o imieniu Grace.

– Grace mieszkała w tym domu ponad trzydzieści lat.

– Mąż objął ją ramieniem. – Chce być pewna, że oddaje go w dobre ręce.

– W najlepsze! – oświadczyła zarliwie Cecilia. – Będziemy o niego dbać, obiecuję.

Doskonale rozumiała, dlaczego Grace chciała poznać swoich lokatorów. Niełatwo wpuścić obcych ludzi do domu, w którym spędziło się mnóstwo lat, nawet gdy rozpoczęło się nowe życie u boku kochającego i zapatrzonego w zonę męża. Było to oczywiste, jako że pan Harding uczucia miał wypisane na twarzy.

– Pan służy w marynarce wojennej? – spytał Cliff Iana.

– Tak, na lotniskowcu.

– Czyli w każdej chwili mogą pana odkomenderować

– powiedziała Grace, zerkając niepewnie na męża.

– Pani Harding chce wynająć na cały rok – wyjaśniła Judy.

– Czyli mamy problem – stwierdził Ian. – „George

Washington’’ ma stałą bazę tutaj, to znaczy w Bremerton, krążą jednak pogłoski, że ma być przerzucony do San Diego. To nic pewnego, jednak może się zdarzyć, dlatego możemy jedynie zapewnić, że będziemy bardzo dbać o pani dom, jednak zawarcie umowy na cały rok jest niemożliwe.

Cecilia wstrzymała oddech, natomiast Cliff Harding lekko wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że decyzję pozostawia żonie.

Cecilia, głaszcząc po pleckach przysypiającego synka, wiedziała, że musi jakoś przerwać tę ciszę, podtrzymać rozmowę, nawiązać empatyczny kontakt z właścicielką domu, bo inaczej odejdzie stąd z kwitkiem.

– A jak wygląda sytuacja w ogrodzie? – spytała.

– Rosną tam róże – odparła Grace. – Mnóstwo róż, poza tym sporo roślin cebulkowych i bylin, niebawem się pokażą. Ale jest jeszcze mnóstwo miejsca na nowe rośliny. Aha, słońce jest tu po południu.

W rezultacie wszyscy poza agentką wyszli do ogrodu.

Panowie nawiązali między sobą ożywioną rozmowę, natomiast Cecilia wypytywała Grace o ogród, wreszcie spytała niepewnie:

– Czy podjęła pani decyzję?

– Oczywiście! – Grace uśmiechnęła się promiennie.

– Miałam nadzieję, że powierzę swój dom młodemu, solidnemu małżeństwu z dzieckiem. Pasują państwo do tej okolicy, na pewno będzie się wam tu dobrze mieszkać. Cecilia z wielkiego szczęścia omal się nie rozpląkała.

– Och, dziękuję! – entuzjasmowała się. – Bardzo pani dziękuję. I pani mężowi.

– Chwileczkę! – zawołał wesoło pan Harding. – To

decyzja mojej zony! Wyłącznie!

Z domu wyszła Judy Flint.

– W takim razie zabieram się do sporządzania dokumentów

– oznajmiła. – Panie Randall, czy może pan wypisać czek?

– Oczywiście. – Wyjął z kieszeni książeczkę czekową.

– Kiedy możemy się wprowadzić? – spytała promieniejąca radością Cecilia.

– Jeśli chodzi o mnie – Grace spojrzała na agentkę – to zaraz po podpisaniu dokumentów.

– Oczywiście – potwierdziła Judy Flint.

– Dziękuję. – Cecilia z tej wielkiej radości była bliska płaczu, tak dla odmiany.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na spotkanie z Calem Linnette McAfee czekała cały długi tydzień, praca w Ośrodku Zdrowia w Cedar Cove miała bowiem to do siebie, że z dniami wolnymi bywało różnie. Na szczęście Cal z kolei miał wyjątkowo wyrozumiałego szefa, dzięki czemu mógł dostosować swój grafik do grafiku Linnette. Gdyby Cliff Harding nie był człowiekiem pełnym zalet, Cal i Linnette mieliby ogromne trudności z umówieniem się na randkę.

Wszystko zaczęło się od aukcji psów i kawalerów, charytatywnej imprezy na rzecz schroniska dla zwierząt, kiedy to matka Linnette, Corrie, wylicytowała dla córki za horrendalną jej zdaniem cenę randkę z Calem Washburnem. By było sprawiedliwie, dla syna Corrie wylicytowała wystawioną w pakiecie z Calem suczkę. Oba prezenty okazały się strzałem w dziesiątkę. Lucky stała się nieodłączną towarzyszką Macka, natomiast Linnette oddała Calowi Washburnowi swoje serce. Chociaż wcale nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, jako że Linnette w tamtym czasie miała chrapkę na doktora Chada Timmonsa. On jednak, ku rozpaczy Linnette, ignorował jej sygnały.

Dlatego Corrie wymusiła na córce randkę z kimś innym. O dziwo, Linnette wróciła z kolacji z Calem cała w skowronkach.

I tak zaczęły się ich zaloty. Właśnie zaloty. Nie był to szybki nowomodny romans, tylko wzorem z ubiegłych wieków wzajemnie zabiegali o swoje względy, z niczym się nie śpiesząc. Calowi raczej to odpowiadało, a jej nawet bardzo, ponieważ uważała siebie za osobę dość konserwatywną. Poza tym, choć już dobrze po dwudziestce,

w sprawach damsko-męskich była kompletnie zielona, bo jak dotąd z nikim jeszcze nie była naprawdę blisko.

Podczas studiów, kiedy to obok zdobywania wiedzy na ogół gromadzi się bogate doświadczenie we wspomnianej dziedzinie, Linnette bez reszty skoncentrowała się na nauce.

Dopiero Cal poruszył w niej dotąd uśpione czułe struny. Gdy Linnette wreszcie stała się tego świadoma, powolne tempo rozwijania się związku zaczęło ją frustrować, wciąż jednak uważała, że tak właśnie powinno

być. Przecież nie byli taką zupełnie zwyczajną parą.

Staromodna panna i zacinający się, nieśmiały kawaler...

To oczywiste, że przyśpieszenie akcji wszystko by zepsuło.

Do stadniny Cliffa Hardinga w Olalla, na południe od Cedar Cove, jechało się dwadzieścia minut. Cal przywitał Linnette radosnym uśmiechem, odpowiedziała tym samym.

Cal był taki zgrabny! Wysoki, szczupły, i te cudne niebieskie oczy...

– Cześć, Cal!

– Czczęść! – Uznawszy, że dalsze słowa są zbędne, objął Linnette i pocałował.

Od gorącego powitania aż zawirowało jej w głowie.

Pocałunki Cala działały na nią jak opium.

– Stęskniłeś się za mną, Cal?

– Bardzo.

– Ja też. Dostałam twoją wiadomość. Tak jak prosiłeś, przywiozłam lunch. Co będziemy dzisiaj robić?

– Zoobaczysz. – Wziął ją za rękę i poprowadził do szopy, w której stały dwa osiodłane konie, gniadosz i znacznie większy kasztan.

Linnette poczuła się nieswojo.

– Cal, czy przypadkiem ci nie mówiłam, że nigdy jeszcze na czymś takim nie siedziałam?

– Mówiłaś, ale nie przejmuj się.

– Mam się nie przejmować? Skłamałam, siedziałam kiedyś na koniu, na kucyku, kiedy miałam pięć lat. Było to na festynie w Puyallup. Bałam się tak strasznie, że tata musiał cały czas trzymać kuczka za uzdę, kiedy robiliśmy kółko.

Rozbawiony Cal wskazał na gniadosza.

– Ale teraz nie bój się. Sheba to stara klacz. Jest bbardzo łagodna.

– Przysięgasz?

Przecież ta klacz była z pięć razy większa od tamtego kuczka! No i niby taka stara i taka łagodna, a jak łypnęła, jak parsknęła! Jakby chciała przekazać Linnette, że pozałuje każdej minuty spędzonej na jej grzbiecie.

– Przysięgam, jest łagodna – zapewnił Cal. – Pojedziesz na Shebie, a ja na Websterze.

Trudno, raz kozie śmierć. Linnette za nic w świecie nie chciała zepsuć wspólnych chwil, by jednak trochę zyskać na czasie, powoli podeszła do samochodu i równie powoli wyjmowała torby z wiktuałami.

Cal pieszczotliwie położył rękę na jej karku.

– Nie bój się.

– Niczego się nie boję! – oświadczyła dziarskim głosem, choć umierała ze strachu.

Cal przepakował zawartość toreb do juków przytroczonych do siodła Webstera.

– No to hop! – zawołał. – Ppamiętaj, Sheba jest wyjątkowo łagodna.

– Miejmy taką nadzieję. – Linnette z duszą na ramieniu podeszła do gniadej klaczy. Na moment znieruchomiała, kiedy Sheba spojrzała na nią ciekawie, a potem pokiwała łbem, jakby zapraszała na siodło. Czując się trochę pewniej, Linnette bardzo delikatnie pogłaskała klacz po aksamitnych chrapach, co przyjęte zostało nader łaskawie.

Wreszcie dosiadła klaczy z pomocą Cala, który dopasował długość strzemion i wręczył Linnette wodze. Wsunęła stopy w strzemiona, cały czas z poczuciem, że znalazła się w bardzo ryzykownej sytuacji. Przede wszystkim daleko do ziemi, więc upadek grozi poważnymi konsekwencjami.

Oczywiście nadrabiała miną. Za zadne skarby świata nie zdradziłaby Calowi, że w środku trzęsie się jak galareta. Kiedy zapytał, czy jest jej wygodnie, skwapliwie pokiwała głową. Wtedy dosiadł Webstera i ruszył przodem. Linnette nie musiała wykazywać zadnej inicjatywy, ponieważ Sheba doskonale wiedziała, co ma zrobić, to znaczy podążyła za Websterem.

Zbliżało się południe, słońce było wysoko, niebo bez jednej chmurki. Niestety Linnette nie było dane rozkoszować się piękną pogodą, ponieważ jazda okazała się koszmarem. Cal udzielił jej kilku wskazówek, na pewno bardzo cennych, ale i tak okropnie obijała się o siodło. Na szczęście jechali bardzo wolno. Po jakimś czasie rady Cala odniosły jednak skutek i sytuacja zaczęła się poprawiać. Linnette poczuła się pewniej do tego stopnia, że odważyła się podnieść głowę i spojrzeć na Cala. Boże, jak wspaniale trzymał się w siodle! Nie bez kozery Cliff powtarzał wszystkim, że Cal to urodzony

jeździec.

– A co słytyhać u Glorii? – spytał.

Czyli, jak niedawno się okazało, u rodzonej siostry Linnette. Gloria była owocem studenckiej miłości. Corrie zaraz po zająściu w ciążę rozstała się z Royem. Wystraszona i upokorzona wróciła do rodzinnego domu. Po siedmiu miesiącach urodziła córkę, którą oddała do adopcji, i wróciła na studia. Roy, który nie miał pojęcia, że został ojcem, odszukał Corrie i znów byli razem, jednak dopiero po zaręczynach wyznała mu, że urodziła jego dziecko. Co się stało, to się nie odstanie, uznali i postanowili nigdy nie wracać do sprawy. Az wreszcie wytropiła ich Gloria.

Wiadomo, że dla Linnette był to szok. Raptem dowiadujesz się, że masz siostrę! Czuiła się zszokowana i zagubiona, ale tez i bardzo podekscytowana. Zawsze chciała mieć siostrę, a tu proszę, jest, i to pod ręką, bo Gloria mieszkała w tym samym domu co Linnette. Mało tego, nim prawda wyszła na jaw, zdążyły się zaprzyjaźnić.

– U niej wszystko w porządku. W poniedziałek po pracy wyskoczyłyśmy na obiad. Wielkanoc Gloria spędzi u nas. Zawsze spędzamy święta w rodzinnym gronie.

Dla rodziny będzie to powazny test. Oczywiście wszyscy cieszyli się takim biegiem wypadków, nie wiadomo jednak, jak to wspólne życie się ułoży. Przedtem Gloria funkcjonowała w całkiem innej rzeczywistości, nikogo i niczego jej nie brakowało, dopiero kiedy przybrani rodzice zginęli w katastrofie lotniczej i została sama, zaczęła szukać prawdziwych korzeni. Corrie i Roy starali

się nadrobić stracony czas, okazywali Glorii wiele czułości i szczerego zainteresowania, zachęcali, by opowiadała o sobie jak najwięcej.

Konie klusem wbiegły w las pachnący jodłami i oceanem. Jechali wąską ścieżką, jedno za drugim, co utrudniało konwersację. Linnette było to na rękę, zamierzała bowiem porozmawiać z Cal'em o czymś bardzo istotnym i wielce delikatnym zarazem, dlatego chciała przygotować się psychicznie.

Po kwadransie dojechali do brzegu oceanu. Była pora przyływu, fale uderzeniowe docierały do kamienistej plaży. Na horyzoncie widać było ośnieżony szczyt góry Rainier, a przed nimi, jak skrzący się w słońcu szmaragdowy koc, rozpościerała się Zatoka Pugeta z wyspą Vashon, z pozoru tak bliską, jakby można było dotrzeć do niej bez trudu wplaw.

– Ppodoba ci się tutaj? – spytał Cal, spoglądając na nią roziskrzonym wzrokiem.

– Bardzo. Tu jest cudownie!

Zeskoczył z konia, pomógł Linnette przy zsiadaniu, wyjął z juków lunch i puścił konie wolno. Zaczęły spacerować po bezludnej plaży, a Cal i Linnette usiedli na kocu, opierając się plecami o gruby pień drzewa wyrzuconego na brzeg przez ocean. Gdy zaspokoili głód, przez jakiś czas w milczeniu napawali się pięknym widokiem, wreszcie Cal objął Linnette ramieniem i zaczęli się całować. Zrobiło się tak cudownie, że Linnette zaczęła się zastanawiać, czy warto psuć romantyczną randkę, poruszając tak ważną, a zarazem delikatną sprawę.

Może jednak warto.

– Cał, chciałam się ciebie o coś zapytać. Mogę?

– Jjasne.

– Czy zawsze się jąkałeś? – Niestety, stało się to, czego się obawiała. Cał cały zeszywniał. Linnette oderwała plecy od pnia, przyklękła przed Calem i objęła jego twarz. – Proszę, tylko się nie obrażaj. Mam ważne powody, by spytać cię o to. Nie kieruje mną głupia ciekawość.

Spojrzał jej głęboko w oczy, jakby chciał dotrzeć do najdalszych zakamarków jej duszy i przekonać się, czy naprawdę może zaufać Linnette.

Wytrzymała jego wzrok.

– Zawsze – powiedział wreszcie. – Przez całe życie.

Wynagrodziła go całą serią powolnych, słodkich pocałunków.

– Cał, czy wiesz, że gdy się całujemy i tak dalej, to w ogóle się nie jąkasz?

– Mówisz serio?

– Oczywiście. Tak samo kiedy rozmawiasz z końmi.

A teraz zadam ci następne pytanie. Czy byłeś choć raz u logopedy?

– Nie. – Spojrzenie Cala zdecydowanie stwardniało.

Linnette wiedziała jednak, że skoro zaczęła, musi dokończyć tę rozmowę. Patrząc mu w oczy, oznajmiła delikatnie, lecz i stanowczo zarazem:

– Tak przypuszczałam, musisz jednak wiedzieć, że w hrabstwie Kitsap jest znakomity logopeda. – Wiedziała to na sto procent, zrobiła przecież dokładne rozpoznanie.

– Chcesz, zebym do niego pooszedł?

– Nieważne, czego ja chcę, nie wywieram na ciebie żadnej presji. Po prostu przekazuję ci informację, że jest ktoś, kto może ci pomóc, a co z tym zrobisz, to już twoja

sprawa.

Po długim milczeniu Cal objął ją ramieniem.

– A ty pójdiesz zze mną?

– Na pierwszą wizytę na pewno, jeśli będziesz chciał.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Ty wsiaadłaś na Shebę.

Czyli zaryzykowała, choć trzęsa się ze strachu. On też podejmie ryzyko. Pójdzie do logopedy, choć uważa to za zamach na swoją prywatność.

I jak tu nie kochać Cala Washburna?

– Mojej matce winna jestem dozgonną wdzięczność

– szepnęła, przytulając się do niego mocniej.

– Dla...dlaczego?

– Bo to ona podczas tamtej aukcji wybuliła mnóstwo kasy za randkę z tobą. No i wychodzi na to, że zrobiła interes stulecia. Chociaz nie! To ja go zrobiłam!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rachel Pendergast właśnie wkładała uprane ręczniki do suszarki, gdy zadzwonił telefon. Rzuciła się do niego jak zbik, dzięki czemu chwyciła słuchawkę przed piątym sygnałem, kiedy to włącza się automatyczna sekretarka. Przecież na telefon od Nate'a czekała cały dzień!

– Halo!

– Rachel, to ty?

Zamiast Nate'a usłyszała Jolene Peyton, z którą przyjaźniła się od czterech lat, kiedy to owdowiały Bruce Peyton przyprowadził do salonu Get Nailed swoją córeczkę do ostrzyżenia. Jolene podjęła tamtego dnia nadzwyczaj ważną decyzję, a mianowicie ze jej nową mamą będzie Rachel, a gdy to oznajmiła, powstała dość kłopotliwa sytuacja.

Zona Bruce'a zginęła w wypadku samochodowym, kiedy jechała odebrać Jolene z przedszkola. Bruce nie mógł się pogodzić z tą bolesną stratą, dlatego nie w głowie mu były żadne romanse. Oczywiście Rachel zaakceptowała ten fakt i przez następnych kilka lat, spotykając się regularnie z małą Jolene, z jej ojcem po prostu się zaprzyjaźniła. Od czasu do czasu wyskakiwali gdzieś razem na obiad, rozmowa przy stole oscylowała zwykle wokół Jolene. Bruce często zwracał się o poradę do Rachel, która, podobnie jak Jolene, wcześniej straciła matkę, miała więc podobne doświadczenia. Krótko mówiąc, w ich relacjach nie było ani odrobiny romantyzmu.

Zresztą Rachel miała gorące randki z Nate'em Olsenem, co prawda dość rzadkie, jako że Nate'a bardzo ograniczała czasowo służba na lotniskowcu.

– Rachel, tata powiedział, że na Wielkanoc mogę

sobie kupić nową sukienkę. Pójdiesz ze mną na zakupy?
– Oczywiście, kochanie, z wielką przyjemnością.
– Och, dziękuję! A tata chce jeszcze z tobą porozmawiać...
– Rachel... – przejął słuchawkę Bruce – nie sprawi ci to kłopotu?
– Skądże. Już się cieszę na łazenie po sklepach z Jolene.
– Tak było naprawdę, poza tym mogła też coś upolować dla siebie. – Wielkanoc mamy już w następny weekend, więc trzeba się pośpieszyć. A dziś nie pracuję. Może więc po południu? – Rzadko miała wolną sobotę, lecz kiedy już się zdarzyła, siedziała w domu, bo a nuz się okaże, że Nate też ma wolne? Jednak południe dawno minęło, a Nate nie odezwał się i pewnie już dziś nie zadzwoni. Wiedziała, że pracował nad bardzo ważnym projektem realizowanym na pokładzie lotniskowca, dlatego też nie widzieli się przez ponad tydzień.
– Świetnie – powiedział Bruce przy akompaniamencie radosnych okrzyków Jolene. – Czy mogę przywieźć ją do ciebie za godzinę?
– Naturalnie.
Podał maksymalną cenę nowej kreacji dla Jolene i zakończyli rozmowę. Rachel jak zwykle cieszyła się tym babskim wyjściem z małą Jolene. Przez te cztery lata bardzo się do niej przywiązała. Kiedyś Jolene, już uczennica czwartej klasy, poprosiła Rachel, żeby poszła z nią do szkoły, gdzie zorganizowano tak zwany otwarty dzień. Rachel porozumiała się z Bruce'em, który nie miał nic przeciwko temu, poszła więc do szkoły z Jolene, która potem wręczyła jej piękną laurkę z podziękowaniami. Rachel przechowywała ją jak największy skarb, tak samo jak i inne dzieła Jolene, które zwykle dziecko daje

rodzicom. Rachel czuła się dumna, że w jakimś stopniu zastępuje Jolene zmarłą matkę.

Kiedy kończyła szczotkowanie włosów, telefon znów zadzwonił. Jak przeczuwała, tym razem był to Nate.

– Jesteś wolna, Rachel?

– Później tak.

– Byłem pewien, że dziś nie pracujesz.

– Bo nie pracuję, ale przez kilka godzin będę zajęta.

Nie gniewaj się, Nate, ale tak długo nie dzwoniłeś, byłam pewna, że nie masz wolnej soboty.

– Nie możesz tego odwołać?

– Nate, jestem umówiona z Jolene, nie mogę jej zawieść. Idziemy kupić dla niej sukienkę na Wielkanoc.

– No tak... – mruknął po chwili Nate. – Niestety nie mogłem zadzwonić wcześniej.

– Przecież wiem – powiedziała Rachel rozczarowana równie mocno jak on. – Może spotkamy się później? Na przykład o szóstej?

– Za późno. Jestem zaproszony na wieczór kawalerski. Najpierw kolacja, potem trochę rozrywki. Nie wypada odmówić.

Zaczęli gadać o tym i owym, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Rachel pożegnała się z Nate'em i pobiegła otworzyć.

Za progiem czekała, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, Teri Miller.

– Włącz telewizor! Szybko! – krzyknęła, wpadając do środka.

– A po co? – zdumiała się Rachel.

Teri złapała pilota, zaczęła przerzucać kanały, wreszcie zawołała:

– O! Już mam!

Rachel spojrzała najpierw na ekran, potem na przyjaciółkę.

– Teri, od kiedy interesujesz się szachami? – spytała podejrzliwie.

– Przecież to turniej w Seattle! Jeden z najważniejszych na świecie!

– A, pamiętam. Mówili o tym turnieju, kiedy byliśmy u Maryellen. Tyle ze...

– To Bobby Polgar! – Podekscytowana Teri wskazała palcem jednego z szachistów. – Ścisła czołówka w Stanach. Właśnie gra z gościem z Ukrainy, ale nazwiska nie jestem w stanie powtórzyć.

– I to ciebie interesuje? Szachy?

– Tak. No, przede wszystkim Bobby. Prawdziwy megamózg, mówię ci! Chociaż ten mecz przegrywa. A ja wiem dlaczego!

– Ty?! – Rachel nie wierzyła własnym uszom. – O ile mi wiadomo, nie masz o szachach zielonego pojęcia. Mówiłaś, że to coś jak warcaby.

– Zgadza się. Ale... – Teri spojrzała na zegarek – Rachel, pędzę, muszę złapać najbliższy prom. Jadę do Seattle pomóc Bobby’emu.

– Teri... Na pewno dobrze się czujesz? Chcesz udzielić porady mistrzowi?

– Czemu nie, jeśli może okazać się skuteczna? Aha, Rachel, możesz pożyczyć mi dwadzieścia dolców?

– Jasne. – Przyjaciółki często pomagały sobie w po-

trzebie. Rachel poszła po torebkę i wręczyła Teri banknot.

– Wiem, że się śpieszysz, ale błagam, powiedz, o co tu chodzi.

– Dziś podcinałam taką jedną profesorkę z college’u, straszną snobkę – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Strzygłam ją, a ona cały czas przez komórkę słuchała komunikatów z tego turnieju. Nie mogła uwierzyć, że Bobby Polgar przegrywa. Tak się wściekała, że aż mnie tym zaraziła. Kiedy wyszła, włączyłam telewizor w naszym salonie i znalazłam stację, która pokazywała ten pierwszy mecz, który Bobby przegrał!

– No i co?

– No i wiadomo. Jego też trzeba podstrzyc! Bo ma za długie włosy. Dawno powinien pójść do fryzjera. Włosy opadają mu na czoło, wciąż je odgarnia i to go rozprasza. Dlatego muszę działać! Robię to dla naszego kraju, rozumiesz?

Rachel mogłaby wymienić mnóstwo najrozmaitszych przeszkód, które będzie musiała pokonać Teri, by dotrzeć do uczestnika światowego turnieju, Bobby’ego Polgara, tyle że nie miało to sensu. Jak zwariowana Teri wbije sobie coś do głowy, to po prostu koniec, za nic nie ustąpi. Dlatego tylko z uśmiechem pogłaskała szaloną przyjaciółkę po ramieniu i powiedziała:

– Jestem z ciebie dumna! I jesteś mi winna dokładną relację.

– Jasne! Cześć!

Kiedy machała Teri na pożegnanie, przed domem pojawił się Bruce z córeczką. Jolene pomknęła ku Rachel jak strzała, Bruce zbliżył się w tempie umiarkowanym.

– O której mam ją odebrać? – spytał.

– Trudno powiedzieć, Bruce, przecież musimy upolować coś super ekstra. Ale nie martw się, odwiozę małą do domu.

– To może zrobimy inaczej. Jak już załatwicie sprawę, dzwoniemy się i pójdziemy na obiad.

– Tak, tak! – entuzjasmowała się Jolene. – Rachel, zgódź się, zgódź! Proszę!

– Oczywiście, że się zgadzam – powiedziała Rachel z uśmiechem.

Po trzech godzinach zajęły na parking koło Pancake Palace, gdzie dobrze karmiono za rozsądną cenę. Był to ulubiony lokal Jolene, bo na przykład można było najeść się frytek, maczając je w gorącej czekoladzie z bitą śmietaną, na co zresztą Rachel nie mogła patrzeć.

Bruce już czekał na nie. Jolene rzuciła się do niego, jakby nie widziała go co najmniej od tygodnia.

– Tatusiu! Kupiliśmy różową sukienkę! Na wyprzedazy! Wystarczyło nam jeszcze na rajstopy i torebkę!

Bruce przyjął to spokojnie, a nawet obojętnie, dlatego Rachel poczuła się w obowiązku udzielić małej przyjaciółce pewnych wyjaśnień:

– Jolene, musisz wiedzieć, że mężczyźni generalnie nie są aż tak bardzo zainteresowani nawet pięćdziesięcioprocentową obniżką cen. Chyba że chodzi o elektronikę.

Gdy złożyli kelnerce zamówienie, Jolene wzięła jedną z kredek z dużej szklanki ustawionej na środku stolika i zaczęła coś rysować na papierowej podkładce, natomiast Rachel i Bruce zajęli się rozmową. Choć nie widywali się zbyt często, zawsze mieli o czym pogadać. W ciągu tych kilku lat zżyli się z sobą, zdarzało im się nawet od czasu do czasu pocałować, ale nie mieli żadnych złudzeń.

Bruce nadal kochał zmarłą żonę, a Rachel spotykała się z Nate'em.

– Nie spodziewałem się, że w sobotę będziesz miała wolny wieczór. Zwykle umawiasz się z Nate'em, prawda?

– Bruce swoim zwyczajem był szczery aż do bólu.

– Owszem. Bardzo chciałam się z nim spotkać, ale przegrałam w konkurencji z marynarką wojenną.

Kiedy po deserze poszli na spacer po nabrzeżu i wpadli na lody, Rachel opowiedziała o najnowszym wyskoku Teri.

– A ja w nią wierzę – oznajmił rozbawiony Bruce.

– Kto jak kto, ale Teri Miller na pewno przedrze się przez kordon ochroniarzy, żeby podstrzyc Bobby'ego Polgara.

Do domu Rachel dotarła po ósmej. Kiedy otwierała drzwi, usłyszała telefon, rzuciła więc torby na podłogę i pognęła do pokoju, z nadzieją że dzwoni Nate.

Nie zawiodła się. Nate dzwonił z lokalu, gdzie bawił się na wieczorze kawalerskim, o czym świadczyły wesole odgłosy w tle. Jednak Nate wcale nie był rozbawiony.

– Gdzie byłaś, Rachel?

– Mówiłam ci. Na zakupach razem z Jolene.

– Do ósmej?! Mówiłaś, że wrócisz do domu o szóstej.

– Po zakupach pojechałyśmy do Pancake Palace, gdzie byłyśmy umówione z Bruce'em na obiad.

– Nie wiedziałem, że chadzasz na obiady z Bruce'em!

– Bo nie chadzam. Przyjmij do wiadomości, że jadłam ten obiadek nie tylko w towarzystwie Bruce'a, lecz i jego córki. Nate! Czyzbyś był zazdrosny?

– Jestem! Przecież nie widziałem się z tobą już cały tydzień!

– Też bardzo się stęskniłam za tobą. A co do tego

obiadu... Bruce po prostu był mi wdzięczny, że zabrałam małą na zakupy.

– Powiedzmy...

– Nate!

– Dobrze, już dobrze... Rachel, jutro po południu będę miał wolne. Czy mimo swojego bujnego życia towarzyskiego znajdziesz dla mnie chwilę?

– Może da się coś zrobić... Oczywiście, że tak, Nate!

Umówili się na nabrzeżu, pożegnali czule i Rachel pomaszerowała do łazienki. Wzięła prysznic, włożyła koszulę nocną, po czym rozsiadła się przed telewizorem z wielką nadzieją, że w wiadomościach o dziesiątej powiedzą coś o turnieju szachowym, a jako sensacyjkę pokażą zakutą w kajdanki niejaką Teri Miller, którą uzbrojeni faceci wyprowadzają z budynku.

Niestety, ograniczono się tylko do przekazania informacji, że znakomity szachista Bobby Polgar po zaskakującej porażce w pierwszym meczu wygrał drugi mecz, potem trzeci i zdobył mistrzostwo.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wściekły jak diabli Seth Gunderson po raz kolejny przemierzył korytarz, po czym tłumiąc przekleństwo, opadł na ławkę w pobliżu drzwi wiodących do gabinetu szeryfa. Jak długo można czekać! A trzeba. Szeryf Troy Davis na pewno ma już jakieś konkretne informacje na temat pożaru. Już! Przecież od pożaru minął prawie miesiąc!

Seth nadal nie potrafił pogodzić się z faktem, że ponieśli z Justine taką stratę. Na szczęście dotarło do niego, że swoje frustracje wyładowuje na najbliższym otoczeniu, przede wszystkim na żonie, więc szczerze ją przeprosił. I co z tego? Dziś rano znów się pokłócili. Justine wciąż nie jest przekonana o konieczności odbudowy restauracji, a to dowód, że coś jej padło na mózg.

Seth nie miał najmniejszego zamiaru dopuścić, żeby jakiś łajdak podpalacz decydował o jego życiu, a jego ukochana żona usilnie stara się go przekonać, by zastanowił się nad innymi możliwościami! Naprawdę padło jej na mózg. Efekt był taki, że im bardziej próbowała przekonać go do swoich racji, tym głośniej na nią wrzeszczała...

Wreszcie drzwi się rozwarły i w progu ukazał się szeryf Troy Davis.

– Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać, panie Gunderson.

Podali sobie ręce i szeryf szerokim gestem zaprosił Seta do środka, wskazując krzesło przed biurkiem. Sam zasiadł w fotelu z drugiej strony.

– Rozmawiałem z komendantem straży pożarnej

– oznajmił Troy. – Jest coś, co może okazać się ważne, ale o tym za chwilę. Najpierw chciałem pana poinformować, że biegły z towarzystwa ubezpieczeniowego potwierdził

tylko to, do czego sami już doszliśmy. Mamy do czynienia z podpaleniem. Najprawdopodobniej użyto benzyny.

Ogień rozniecono w pobliżu kuchni, potem zajęło się pana biuro, skąd płomień błyskawicznie rozprzestrzenił się na dużą salę restauracyjną i wybuchnął z taką siłą, że...

– Macie jakichś podejrzanych? – przerwał mu niecierpliwie Seth.

– Jak pan wie, przesłuchujemy wszystkich pańskich pracowników, także byłych.

– Chodzi o Tony'ego Philpotta?

– Tak. Został zwolniony z pracy stosunkowo niedawno, prawda?

– Zgadza się. Musiałem zwolnić i Tony'ego, i Ansona Butlera. Zginęły pieniądze z sejfów, a widziano, jak obaj tamtego dnia wchodzili do mojego biura, kiedy nie było tam nikogo. Nie mam żadnego dowodu, ale podejrzewam, że pieniądze wziął Tony. Niestety to tylko intuicja, dlatego, jak już mówiłem, zwolniłem ich obu. Cóż, wytworzyła się paskudna sytuacja, a widzę teraz, że nie potrafiłem jej dobrze rozegrać.

– Kiedy wybuchł pożar, Philpotta nie było w mieście

– powiedział Troy. – Sprawdziliśmy to. Ma alibi.

Seth westchnął. Bardzo mu się nie podobało, że być może Anson jest zamieszany w ten pożar. Latarnia Morska spłonęła niedługo po jego zwolnieniu, no i ma już na sumieniu ten składzik w parku, więc poszlaki świadczą przeciwko niemu, tyle że...

– Widział już pan to? – Troy położył przed nim zdjęcie przedstawiające krzyż ze stopu cyny z ołowiem. – Właśnie o tym wspominałem na początku naszej rozmowy.

Seth po chwili pokręcił przecząco głową.

– Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział ten krzyż. – Zadumał się na moment. – Tyle, szeryfie, że nie zwracam zbyt wielkiej uwagi na bizuterię czy inne ozdoby. Hm, jest częściowo stopiony. Skąd go macie?

– Inspektorzy znaleźli go w zgliszczach niedaleko pańskiego biura. Jeszcze nie wiemy, czy ten krzyż ma jakieś znaczenie dla sprawy, ale... Jeśli dowiemy się czegoś, natychmiast pana powiadomimy.

– Dziękuję, szeryfie. – Seth wstał. – Jestem wdzięczny za wszystko, co dotychczas zrobiliście.

Wychodząc na zewnątrz, zerknął na zegarek. Dziesiąta, czyli przed nim następny pusty, bezsensowny dzień.

Od chwili, gdy kupili starą knajpkę Kapitański Kambuz i zaczęli przerabiać na Latarnię Morską, nigdy nie miał wolnego czasu, a od miesiąca miał go w nadmiarze, co go dobijało.

Powinien wrócić do domu, była tam jednak Justine, a ostatnio wciąż dochodziło między nimi do spięć. Kochał żonę, w tym nic się nie zmieniło, lecz wolał побыć sam, posiedzieć, pomyśleć...

Gdzie? Wiadomo, nad wodą. Tam głowa pracuje najlepiej. Szybkim krokiem ruszył ku nabrzeżu, pełną piersią wdychając czyste, rześkie powietrze. Po chwili doszedł do cichej przystani, gdzie na ciemnozielonej wodzie kołysało się mnóstwo przycumowanych zagłówek i motorówek. Jedna z nich należała do Setha. Niestety, kołysała się tak od bardzo dawna. Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio zeglował po morzu...

– Seth!

Odwrócił się z uśmiechem. Był bardzo zżyty z rodzicami, a z ojcem, który właśnie zbliżał się do niego,

kiedyś łączyły go interesy. Byli współwłaścicielami firmy rybackiej i z tego to powodu kilka miesięcy w roku spędzali na Alasce. Zarabiali niezłe pieniądze, była to jednak praca ciężka i niebezpieczna, dlatego, kiedy w życiu Setha pojawiła się Justine, uznał, że nadszedł czas na zmiany nie tylko w sferze prywatnej, ale i zawodowej.

– Rozmawiałeś z szeryfem? – spytał Leif Gunderson, zatrzymując się przed synem.

– Tak. – Nie mówił ojcu, że wybiera się do szeryfa, musiał więc rozmawiać z Justine. – Wiadomo już na sto procent, że chodzi o podpalenie, ale kto jest sprawcą, nadal pozostaje tajemnicą. Szeryf pokazał mi też zdjęcie krzyża ze stopu cyny z ołowiem. Ten krzyż znaleziono w zgłiszczach. Nigdy go przedtem nie widziałem. I na tym koniec, żadnych rewelacji.

– Ajak tam sytuacja w domu, Seth? – Leif przysiadł na ławce.

Czyli wszystko jasne. Justine musiała mu coś tam naopowiadać. Tyle że z natury nie była skora do zwierzeń.

– Dlaczego pytasz? – Z chmurną miną przysiadł obok ojca.

– Nie mam zamiaru wtrącać się w wasze sprawy, Seth. Po prostu pytam, bo wyglądasz na kogoś, kto ma ochotę pogadać.

Do Setha nagle dotarło, że taka jest prawda. Musi porozmawiać z kimś, komu bezwzględnie ufa i kto, choć dobrze go zna, potrafi spojrzeć obiektywnie na całą tę sytuację. Tym kimś na pewno był ojciec.

– Dziś rano znów pokłóciliśmy się z Justine. Nieważne o co. Ważne, że oboje jesteśmy już u kresu

wytrzymałości.

– To niedobrze...

– Problem polega na tym, że kompletnie nie wiem, co z sobą zrobić. Chcę jak najszybciej odbudować restaurację, jednak Justine kilka dni temu oznajmiła, że wcale nie jest pewna, czy to dobry pomysł. Dla mnie to był szok.

– Powiedziała ci, dlaczego tak myśli?

Niestety, akurat to Sethowi umknęło. Był zbyt zszokowany samym oświadczeniem żony, by w skupieniu wysłuchać uzasadnienia.

– Justine plecie bzdury – oznajmił stanowczo. – Przecież restauracja to nasze jedyne źródło utrzymania! Owszem, zgadzam się z żoną, że prowadzenie lokalu to bardzo ciężka i potwornie absorbująca praca, a zyski są mniejsze, niż zakładaliśmy, ale przecież źle nam się nie wiodło. Czyli wniosek jest oczywisty, że Latarnię Morską trzeba odbudować.

– A do tego czasu co masz zamiar robić?

– Nie mam pojęcia... – Gdyby było inaczej, nie włączyłby się po nabrzeżu. I to była tragedia, bo wychowany został w etosie pracy, zarabiał od trzynastego roku życia, przeznaczając na to wolne popołudnia, weekendy i wakacje. W rezultacie kiedy nie pracował, kompletnie nie wiedział, co z sobą zrobić.

– Seth... Nadal kochasz Justine, prawda?

– Jasne! Nad życie!

Zakochał się w niej w szkole średniej, lecz nie zdradzał się z tym. Kiedy Justine wyjechała do college'u, Seth był pewien, że pozna tam zamożnego faceta i wyjdzie za

niego, jednak po studiach wróciła do Cedar Cove i podjęła pracę w banku. Seth nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie przewidywał takiego finału, a mianowicie ze Justine zostanie jego żoną.

– W takim razie może jej wysłuchaj, synu.

– Przecież jej wysłuchałem, ale mówi same głupoty.

– Nie sądzę... Sądzę natomiast, że nic z tego, co Justine mówi, nie dociera do ciebie. – Ojciec milczał przez chwilę, rzucając kamyczki do wody. – Wiesz, kogo spotkałem? Larry'ego Boone'a. Pamiętasz go?

– Jasne. – Przecież to od Larry'ego ojciec kupił łódź.

To znaczy zapłacili za nią po połowie, lecz kiedy ją sprzedali, wszystkie pieniądze zostały zainwestowane w restaurację.

– Larry szuka sprzedawcy. Proponował, bym zrezygnował z emeryckiego życia i zatrudnił się u niego, jako że tyle lat poświęciłem łodziom i rybom. Larry sprzedaje też łodzie rekreacyjne. Od każdej sfinalizowanej transakcji proponuje taką prowizję, że aż mnie zatkało, kiedy jednak powiedziałem o tym twojej matce, natychmiast stanęła okoniem. Tak długo czekała, kiedy wreszcie będziemy mieli czas dla siebie i spełni swoje marzenia. Wiesz, co sobie wymyśliła? Mamy kupić wóz kempingowy i zjechać całe Stany wzdłuż i wszerz. I tak będzie, znasz przecież swoją matkę. Nie odpuści! Mnie to podróżowanie w pancerniku na kółkach nie bardzo się podoba, ale skoro matka chce... Mam nadzieję, że w końcu nauczę się parkować to monstrum tak samo gładko, jak wprowadzałem łódź do przystani! W każdym razie dziś rano zadzwoniłem do Larry'ego i powiedziałem, że się nie decyduję.

– Był bardzo rozczarowany?

– Tak, ale podsunąłem mu, żeby zadzwonił do ciebie.
Dałem mu twój numer telefonu.

– Myślisz, że dałbym sobie radę?

– Jeszcze pytasz? Na rybołówstwie znasz się tak samo jak ja, a o łodziach rekreacyjnych szybko wszystkiego się dowiesz. Larry dobrze ci zapłaci, a ty będziesz miał zajęcie.

Pomysł wygląda obiecująco, pomyślał Seth. Oczywiście musi go obgadać z Justine, ale chyba gra warta jest świeczki.

Gdy Seth wrócił do domu, zona zajęta była odkurzaniem, mógł więc, sam pozostając niezauważony, przyglądać się jej przez chwilę. Długie włosy Justine powiewały, zgrabne, gibkie ciało poruszało się z ogromnym wdziękiem.

Jaka śliczna... Głupio, że dziś rano znów się pokłócili.

Seth nie mógł sobie wybaczyć porywczych słów.

Justine wreszcie zauważyła męża, wyłączyła odkurzacza i spytała:

– Kiedy wróciłeś?

– Przed sekundą. – Podszedł do niej. – Gdzie Leif?

– W przedszkolu. Za pół godziny jadę go odebrać.

– Odgarnęła włosy z twarzy. – Czy szeryf powiedział coś waznego?

– Pokazał mi zdjęcie krzyża ze stopu cyny z ołowiem.

Nigdy go nie widziałem. Został znaleziony w zgliszczach, mógł więc należeć do podpalacza. To tyle, czyli niewiele.

Owszem, szukają, ale moim zdaniem idzie to bardzo opornie. Myślę, że już czas, by włączyć w to Roya McAfee.

– Może... – Spojrzała mu w oczy. – Seth, przepraszam.

Rano jakoś tak głupio wyszło...

– To ja ciebie przepraszam. – Objął czule zonę. – Justine, muszę z tobą coś obgadać. Pójdźmy razem po Leifa, wstąpmy na lunch, a przy okazji coś omówimy. Na nabrzeżu spotkałem ojca. Coś mi zaproponował...

Nie wypuszczał jej z objęć. Wreszcie dotarło do niego, że karmiąc się goryczą i złością, naraził na szwank swoje małżeństwo. Jeszcze trochę, a... A przecież tak bardzo kocha zonę i synka. I co, miałby ich stracić?! Ta myśl przeraziła go jak nic nigdy dotąd.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Olivia Lockhart-Griffin do praktyk, które mają zapoznać uczniów z różnymi zawodami, podchodziła sceptycznie, ale kiedy przed kilkoma tygodniami zadzwonił do niej doradca ze szkoły średniej, w chwili słabości zgodziła się spełnić jego prośbę. No i dała się zrobić. Z tym że uczennica, którą do niej przysłano, wywarła na niej jak najlepsze wrażenie. Była pełna zapału, bez reszty zainteresowana

swoim zadaniem. Olivia, kiedy była w jej wieku, też wierzyła w wymiar sprawiedliwości. Tej wiary nie straciła do dziś, choć przez te wszystkie lata poznała także i jego słabe strony.

– Czyli chcesz być prawnikiem... – zerknęła do dokumentów

– Allison, tak? Allison Cox. To nazwisko wydaje mi się znajome.

– Tak, pani sędzino. Chcę zostać prawnikiem. – Allison wyprostowała się na krześle.

– Są ku temu jakieś szczególne powody?

– Tak – odparła bez wahania. – Chcę nauczyć się, jak prawo może pomóc komuś, kto... kto nie ma zbyt wielu możliwości.

Olivia spojrzała na nią uważnie. Było jasne, że dziewczynie przyświeca jakiś konkretny cel. Jaki dokładnie, musiało jak na razie pozostać niewiadomą, ponieważ obowiązki wzywały.

– Zapraszam na salę, Allison. Możesz usiąść na ławie przysięgłych, obok dziennikarza sądowego. W południe będzie przerwa na lunch. Umówiłam się z moją matką, jeśli masz ochotę dołączyć, to zapraszam. Do sądu wracam o wpół do drugiej. Zwykle mam rozprawy do czwartej,

czasami się przedłużają. Po czwartej teoretycznie jestem już wolna, ale zazwyczaj zostaję tu jeszcze trochę, żeby przejrzeć akta dotyczące rozpraw następnego dnia.

Allison zanotowała coś szybko w żółtym notesie.

– Dziękuję, pani sędzino, za możliwość zapoznania się z rozprawą sądową.

– Nie ma za co. A może chciałabyś o coś zapytać?

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

– Chciałam tylko powiedzieć... że ubłagałam doradcę, by koniecznie przysłał mnie do pani. Pani sędzina może już tego nie pamięta, ale trzy lata temu to pani orzekała rozwód moich rodziców.

– No właśnie! – Olivia też się uśmiechnęła, bo przypomniała sobie tamtą sprawę, a także skłóconych państwa Coksów.

– Mama i tata zamierzali po rozwodzie wspólnie opiekować się mną i bratem. Chcieli, żebyśmy kilka dni mieszkali u mamy, potem kilka u taty i tak na zmianę. Pani sędzina powiedziała, że to zły pomysł, i zdecydowała, że ja i brat zostajemy w naszym domu, a tata i mama będą na zmianę wprowadzać się i wyprowadzać.

– Pamiętam doskonale tę sprawę, ale etyka zawodowa nie pozwala mi na rozmowę o danym przypadku, jeśli istnieje możliwość, że strony mogą ponownie stawić się przede mną.

– Rozumiem. Ale moi rodzice znów wzięli ślub. Słyszała pani o tym?

– To wspaniale! – wykrzyknęła uradowana Olivia.

Cóż, po cichu na to liczyła, wydając niekonwencjonalne orzeczenie. Coksowie wprawdzie ostro atakowali siebie nawzajem przed sądem, czuła jednak, że mają jeszcze

szansę. No i proszę!

Spojrzała na zegarek, włożyła czarną togę i ruszyły do sali rozpraw. Na korytarzu Olivia przedstawiła Allison dziennikarzowi sądowemu i poprosiła, by zaprowadził ją do ławy przysięgłych.

Rozprawy, które Allison miała okazję zobaczyć, otworzyły jej oczy o wiele szerzej niż wszystko, co dotychczas przeczytała czy obejrzała w telewizji. Patrzyła, jak ludzie potrafią sami spaprać swoje życie. Zauważyła też, że pani sędzina Lockhart-Griffin bardzo wnikliwie podchodzi do kwestii opieki nad dzieckiem.

Z zasady dziecko zostawało u rodzica, z którym mieszkało dotychczas, w większości przypadków u matki, chyba że były jakieś specjalne okoliczności. Olivia, choć sędzina z wieloletnim stazem, przeżywała każdą rozprawę, w której chodziło o dobro dziecka. Często miała ochotę wygarnąć młodym ludziom, czy zdają sobie sprawę z tego, co tak naprawdę robią i sobie, i swoim dzieciom. Niestety, zdarzało się, że młodzi rodzice stawiali się w sądzie odurzeni narkotykami albo alkoholem, więc i tak nic do nich nie docierało. Nie było to rzecz jasna regułą, jednak takie właśnie przypadki, najtrudniejsze i społecznie najboleśniej, najmocniej utrwalają się w pamięci.

W pewnej chwili do sali sądowej weszła jeszcze jedna osoba, usiadła w ławce na samym końcu i wyjęła z torby robótkę. Olivia uśmiechnęła się. Jej matka, Charlotte

Jefferson-Rhodes, była pasjonatką robienia na drutach. W tej dziedzinie wykazywała się wielką pomysłowością, nie tylko zresztą w tej. Była osobą wyjątkową. W Olivii z biegiem lat matka wzbudzała coraz większy podziw. Bo weźmy na przykład sprawę ośrodka zdrowia. Powstał tylko dzięki determinacji Charlotte i jej przyjaciół.

Zorganizowali

demonstrację seniorów i spory tłumek niepokornych emerytów, na czele z Charlotte, aresztowano.

Cały aparat władzy przeciwko bezbronnym staruszkom! Miejskowa społeczność murem stanęła po ich stronie, co zmusiło oporną radę miejską do ustępstw, w konsekwencji czego powstał ośrodek zdrowia z prawdziwego zdarzenia.

I chwała Bogu. Równy rok temu Jack, mąż Olivii, miał atak serca. Ratownicy medyczni powiedzieli Olivii, że gdyby nie było ośrodka i trzeba było wieźć Jacka do Bremerton, najpewniej doszłoby do tragedii.

Olivia przywykła do widoku matki w sądzie, chociaż odkąd w życiu Charlotte pojawił się Ben Rhodes, pokazywała się rzadziej.

Wpołudnie Olivia ogłosiła przerwę. Allison i Charlotte przyszły do jej pokoju, gdzie Olivia dokonała prezentacji i ponownie zaproponowała Allison wspólny lunch. Tak jak się spodziewała, dziewczyna grzecznie się wymówiła, uzgodniły więc, że spotykają się o wpół do drugiej.

– Jakaz to miła, świetnie ułożona młoda osoba – zachwyciła się Charlotte po wyjściu Allison.

– Tez ją polubiłam. Mamo, gdzie chcesz zjeść lunch?

– Ulubionym lokalem Olivii była Latarnia Morska. Nie spodziewała się, że tak bardzo odczuje jej brak.

– Moze Wok and Roll? – zaproponowała Charlotte.

- Maryellen poleciła ją Grace, a Grace mnie. Ponoć podają rewelacyjnego kurczaka w pikantnym sosie z makaronem.
- Więc idziemy na kurczaka! – Była zadowolona, że matka nie zaproponowała Taco Shack. Mąż Olivii, Jack, zajadał się tam tortillami i innymi specjałami kuchni meksykańskiej, ona natomiast twierdziła, że czasami warto spróbować azjatyckich przysmaków, które serwowano na przykład w Wok and Roll.
- A co tam u Grace? – spytała Charlotte, kiedy już wyszły z gmachu sądu. – Gdy wpadłam do biblioteki, pogadałyśmy tylko chwilę. Wygląda na bardzo załataną.
- Tak bardzo, że na jakiś czas zrezygnowała z aerobiku.
- Co?! Przecież na ten aerobik chodzicie od lat, zawsze w środę wieczorem. Co się stało? Cliff jej zabronił? Jest taki zaborczy?
- Alez mamoo... – Wsiadły do samochodu i ruszyły w stronę Harbor Street, przy której była chińska restauracja.
- Grace brakuje czasu, bo pomaga Maryellen, której ciąża jest zagrożona. Aha, Grace wynajęła swój dom przy Rosewood Lane. Nie uwierzysz komu. Randallom! Musisz ich pamiętać, byłaś wtedy w sądzie, kiedy nie udzieliłam im rozwodu. Młodzi ludzie, on służy w marynarce wojennej, mają już dzidziusia. Szukali domu do wynajęcia i los ich zetknął właśnie z Grace!
- Jaki ten świat mały... Olivio, a jak Maryellen to znosi? Mój Boże, zagrożona ciąża...
- Odpukać, ale wszystko pomyślnie posuwa się do przodu. Przyjechali rodzice Jona, by im pomóc. Grace mówi, że to prawdziwy dar niebios.
- Olivio, a jak się miewa Jack? Mam nadzieję, że nie

przesadza z pracą. Chyba nie jest aż tak lekkomyślny, by zbierać punkty na następny atak serca.

– Niestety, mamó, to nieuleczalny pracoholik. Wyobraź sobie, że wrócił do pracy w pełnym wymiarze! Nie miałam na to żadnego wpływu. Choć wreszcie ma zastępcę, więc jest mu łatwiej i stara się wracać do domu koło piątej. No i schudł, zrzucił piętnaście kilo, a to wielki sukces. Po tym, jak wylądował w szpitalu, zrezygnował z podwójnych cheeseburgerów. Czasami pozwala sobie na lody czy ciasteczko, ale panuje nad sytuacją. Mamó, a co u was? Co u Bena?

– Jak zwykle. Kłopoty z synem – odparła Charlotte, wysiadając z samochodu, ponieważ dojechały już na parking przed Wok and Roll. – Pamiętasz Davida?

– No tak... – Olivia miała z nim na pieńku, kiedyś bezczelnie ją namawiał, by spowodowała anulowanie mandatu, który zarobił za nieprawidłową jazdę po Cedar Cove. Oczywiście stanowczo odmówiła, a on nie krył złości.

Weszły do restauracji, rozsiadły się przy stoliku i zamówiły, jakż' eby inaczej, kurczaka w sosie pikantnym, oraz herbatę, którą od razu podano.

– Mamó, wspomniałaś o Davidzie Rhodesie.

– A tak, tak... – Dla Charlotte też' nie był to miły temat.

– Ciągłe są z nim problemy, czym dobija ojca. Kiedy Ben dowiedział się, że David nachodził ciebie w związku z tym mandatem, omal nie dostał zawału.

– Biedny Ben... – Sprawa z mandatem to było nic w porównaniu z licznymi grzechami Davida Rhodesa. Chociażby próba wyłudzenia od Charlotte kilku tysięcy dolarów. Gdyby nie przytomna interwencja Justine, zdobyłby

te pieniądze. Nagadał Charlotte różnych bzdur, w rezultacie wypisała mu czek. Działo się to podczas lunchu w Latarni Morskiej. Na szczęście w sytuacji zorientowała się Justine i dosłownie wyrwała czek z rąk Davida. Było to tego samego dnia, kiedy wlepiono mu mandat. Olivia przypuszczała, że David jechał jak wariat nie tylko dlatego, że był wściekły. Obawiała się, że się czymś odurzył, choć policja na to nie wpadła.

– Z tym że David stara się zmienić na lepsze. Oddał Benowi tysiąc dolarów, które pozyczył od niego parę lat temu. Wypisał ojcu czek.

– Aha...

– Ben, jak to mężczyzna, nie komentuje sprawy, ale widzę, że bardzo go to ucieszyło.

– Mamo, wybacz, ale radziłabym nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. David jest dorosły i raczej już się nie zmieni, chyba że dozna prawdziwego wstrząsu.

– Może i tak... – Charlotte wypila łyczek herbaty, a potem, siląc się na obojętny ton, powiedziała: –W końcu twój brat też ma... dość skomplikowaną osobowość. I też raczej się nie zmieni.

– Juz sama nie wiem, mamo... – Will mieszkał w Atlancie. Był zony z Georgią, dzieci nie mieli. Z pozoru było to wzorowe małżeństwo, ale Olivia wiedziała, że mają problemy. Wygląda na to, że Will nałogowo zdradza żonę. Olivia miała podstawy do takich przypuszczeń. Kiedy w tragicznych okolicznościach owdowiała jej przyjaciółka Grace, Will zadzwonił do niej. Raz, drugi, potem zaczęli pisywać do siebie mejle. Will skłamał, że jego małżeństwo się rozpadło. Chociaż Grace też nie była bez winy. Przede wszystkim wykazała się kompletną

naiwnością, ulegając urokowi Willa, w rezultacieomal nie straciła Cliffa.

– Will nie jest dobrym mężem. Mówię to z ciężkim sercem, ale tak jest, Olivio. Dostałam list od Georgii. Píše, że ma dość, bo Will znów ma romans, tym razem z koleżanką z pracy. Georgia zdecydowana jest wystąpić o rozwód. Zadzwoiłam więc do Willa i starałam się przemówić mu do rozsądku. Powiedział, że Georgia się wyprowadziła, ale on ma nadzieję, że wróci. Coś mi mówi, że takie sytuacje już się u nich zdarzały.

Do stolika podeszła kelnerka, przynosząc zamówione danie. Makaron skąpany w sosie przyprawionym chili, upiękaszony kawałkami kurczaka i brokułów. Pachniało smakowicie, ale Olivii nagle odechciało się jeść. Nielojalność, zdrada... Wiedziała, jak smakuje ten zatruty owoc, jej były mąż bardzo się o to postarał.

– Pewnie tak, mam... – powiedziała cicho. Nie miała ochoty bronić swego braciszka. Tak bardzo ją rozczarował. Nie tylko zresztą ją.

– Wygląda jednak na to, że Georgia tym razem nie odpuści – ciągnęła Charlotte. – Wiem to, bo po rozmowie z Willem zadzwoniłam do niej. Jest pełna determinacji. Powiedziała, że to koniec. Szczerze mówiąc, nie mam do niej żadnych pretensji. – Westchnęła ciężko.

– Mamo, dość o tym! – zdecydowała Olivia.

Z ulgą przeszły do przyjemniejszego tematu, a mianowicie do zbliżającej się Wielkanocy. Olivia chciała zaprosić wszystkich do siebie, jednak Charlotte twardo postawiła na swoim. Śniadanie wielkanocne spożyją u niej, potem pójdą do kościoła. Już zaplanowała, że upiecze bułeczki z cynamonem, które tak uwielbiają i Jack, i Ben.

Nadeszła pora, by wracać do sądu. Allison czekała pod drzwiami do pokoju Olivii. Potem czekała, aż sędzina sprawdzi pocztę w telefonie, czego nie miała okazji zrobić wcześniej. Jedną z wiadomości bardzo sędzinę uradowała:

– Kochana, tu Grace. Dziś wieczorem spotykamy się na aerobiku!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Allison była pewna, że Anson wróci przed uroczystym rozdaniem dyplomów, a skontaktuje się z nią jeszcze przed Wielkanocą. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że innej opcji nie ma.

Dzień spędzony w sądzie skłonił ją do refleksji, że głupota ludzka nie zna granic, jej konsekwencje bywają okropne, a już na pewno zenujące! Człowiek najpierw narobi idiotyzmów, a później jest zszokowany, gdy musi publicznie, przed sądem, tłumaczyć się z nich. Jednak Anson absolutnie nie był taki. Ciężko pracował, żeby się zrehabilitować, a potem nagle wszystko runęło jak domek z kart. Nikt nie wierzy, że jest niewinny. To oczywiste, że był zły na Gundersonów, przecież wywalili go z pracy, ale to wcale nie czyni z niego podpalacza.

Siedziała na łóżku i przeglądała notatki z rozpraw.

Kiedy usłyszała telefon, nawet nie drgnęła. Spokojnie, Eddie choć raz może odebrać. Ubzdurał sobie, że to jej obowiązek! Ogólnie rzecz biorąc, był bratem do rzeczy, czasami jednak potrafił porządnie wkurzyć.

No właśnie! Zaczął się wydzierać, jakby była kompletnie głucha:

– Allison! Allison! To do ciebie!

– Kto dzwoni?

– Jakiś facet! Nie przedstawił się!

Podniosła słuchawkę w swoim pokoju.

– Eddie! Odlóż! – Dopiero kiedy usłyszała charakterystyczny dźwięk, który zaświadczał, że Eddie wykonał polecenie, rzuciła obojętnie: – Cześć.

– Allison...

– A... Anson... – wykrztusiła, kurczowo zaciskając

palce na słuchawce. – Gdzie się podziewasz?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Boże, Anson... Jak ci tam jest?

– Da się wytrzymać. Dzwonię, bo musiałem usłyszeć twój głos. Wiem, co się stało z Latarnią Morską. Wszyscy myślą, że to ja, prawda?

– Tak, Anson.

– Allison, to nie ja! Przysięgam! Ja tego nie zrobiłem!

– Wierzę ci. – Niełatwo mówić, kiedy wzruszenie ściska za gardło, a ona była wprost nieprzytomna z radości.

– Jak to zrobiłeś, że Eddie ciebie nie poznał?

– Najpierw to był kumpel, potem dał mi telefon.

Dzwonię z komórki na kartę, nie można mnie namierzyć. Nie chcę, żebyś przeze mnie miała przerąbane.

– Może czegoś ci potrzeba?

– Nie, dzięki... chciałem tylko ciebie usłyszeć.

– Ja też. Jestem taka szczęśliwa, że możemy rozmawiać.

– Szeryf cię przesłuchał?

– Tak. Słuchaj... powiedziałaś mu, że byłeś u mnie tamtego wieczoru.

– W porządku. Dobrze, że powiedziałaś mu prawdę.

– Coś jednak zataiłam. Anson, nie powiedziałaś mu, że czuć było od ciebie dym! Słyszysz? Dym!

Pominał to milczeniem, tylko spytał:

– Chcą mnie aresztować? Mają nakaz?

– Nie... – Allison znizyła głos, bo kto wie, może Eddie jednak podsłuchuje. – Ale szeryf powiedział, że jesteś podejrzany.

– Nieważne. Pamiętaj, Allison, bez względu na to, co wygadują o mnie, ja tego nie zrobiłem. Przysięgam!

– Wiem. Słuchaj, może wysłać ci pieniądze?

– Dzięki, nie trzeba.

Nie trzeba... Serce Allison znów zabiło szybciej. Przecież z sejfu Latarni Morskiej tuż przed pozarem ukradziono sporą kwotę. Po drugie, Anson nie miał żadnych oszczędności, bo wszystko, co zarobił w restauracji, szło na spłatę szkód po spaleniu składziku w parku.

Chciała spytać, skąd ma pieniądze, ale bała się. Bała się prawdy.

– Anson, proszę, wróć – powiedziała błagalnym tonem.

– Mój ojciec na pewno ci pomoże.

– Allison, nikt mi nie może pomóc. Twojemu ojcu jestem wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobił, lecz sprawa stała się zbyt poważna. Skończyłem już osiemnaście lat, podlegam pod sąd dla dorosłych.

– Przecież wiem, ale proszę, wróć. Dłużej tego nie wytrzymam. Nie wiem, gdzie jesteś, nie wiem, co się z tobą dzieje. Wróć...

– Przykro mi, Allison, ale nie mogę. Wykonałem pewien ruch i na odwrót jest już za późno. Przepraszam, jednak źle zrobiłem, dzwoniąc do ciebie...

– Anson, dlaczego tak mówisz?! Jestem szczęśliwa...

– Muszę już kończyć.

Była bliska łez. Chciała błagać, żeby jeszcze się nie rozłączał, czuła jednak, że byłoby to bez sensu. Spytała więc tylko:

– Będziesz do mnie dzwonić?

– Nie wiem.

– Proszę! – Zawarła w tym słowie całą swoją miłość.

– Postaram się... a ty postaraj się uwierzyć we mnie.

To dla mnie bardzo ważne. Jak dotąd nic dobrego w życiu mnie nie spotkało. Tylko ty, Allison.

– Przecież wierzę w ciebie! Wierzę głęboko. Wierzę w nas...

Rozłączył się.

Przez długą chwilę siedziała na łóżku, zaciskając powieki z całej siły, żeby nie dać popłynąć łzom. Po jakimś czasie usłyszała, jak zamykają się drzwi garażu. Mama wróciła z pracy.

– Allison? – Matka zatrzymała się w uchylonych drzwiach. – Mogłabyś obrać ziemniaki do obiadu?

– Jasne! – Starła się, by zabrzmiało to normalnie.

Jednak się nie udało, bo matka otworzyła szerzej drzwi, zajrzała do środka i spytała zaniepokojona:

– Kochanie, wszystko w porządku?

– Oczywiście! – Allison wzruszyła ramionami. – Dlaczego miałyby być inaczej?

Rose weszła do pokoju, przysiadła na brzegu łóżka i powiedziała coś, co jej córka słyszała już milion razy:

– Kiedy miałaś trzy latka, podjęłaś decyzję, że będziesz sama sobie robić płatki na mleku. Postawiłaś talerz na podłodze w kuchni i wsypałaś do niego wszystkie płatki z torby. Kiedy tam weszłam, spojrzałaś na mnie tak jak teraz. W oczach miałaś wypisane: „Sama nie wiem, jak to się stało...”.

– Przecież nic nie zrobiłam, mamo!

– Coś jednak musiało się stać, kochanie. – Pogłaskała córkę po ręku.

Allison wiedziała, że dalsze zaprzeczanie nie ma sensu.

– Dzwonił do mnie – wyznała cicho.

– Kto? Anson?! Teraz?!

– Tak...

– Trzeba natychmiast powiadomić szeryfa!

– Mamo! Nie! Proszę! Anson przysiągł mi, że jest niewinny. To nie on podpalił restaurację. Wierzę mu!

– Dziecko, zrozum... – Objęła ją ramieniem. – Jeśli naprawdę jest niewinny, nie ma się czego obawiać.

Wszyscy przecież chcemy, żeby to jak najszybciej się wyjaśniło i Anson wrócił do Cedar Cove.

Rose zadzwoniła do szeryfa, który zjawił się błyskawicznie.

Do domu wrócił również Zach. Usiedli przy kuchennym stole i szeryf drobiazgowo przesłuchał Allison, notując każdy szczegół rozmowy z Ansonem.

Ktoś zadzwonił do szeryfa na komórkę. Wyszedł na chwilę, a gdy wrócił, powiedział:

– Jego numeru nie da się namierzyć, nie wiemy, gdzie jest Anson Butler. Allison, myślisz, że znowu do ciebie zadzwoni?

– Nie... nie wiem. – Choć błagała niebiosa, by tak się stało.

– Domyślasz się, gdzie on może być?

– Nie.

– A jak u niego z pieniędzmi?

– Mówił, że nie potrzebuje. Szeryfie, prosiłam go, żeby wrócił do Cedar Cove, ale powiedział, że nie może.

– Allison, mam do ciebie prośbę. Jeśli znów do ciebie zadzwoni, przekaz mu, że człowiek, który ma czyste sumienie, nie musi się ukrywać.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Dobrze, szeryfie. Powiem mu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W przeddzień Wielkanocy w Get Nailed zawsze był prawdziwy młyn. Mnóstwo klientek, wybierając sięw niedzielę do kościoła, chciało zaprezentować się jak najlepiej.

Teri naturalnie wiedziała, że Wielkanoc to bardzo ważne święto kościelne, jednak traktowała to z dystansem.

Wyniosła to z domu. Jej matka, samotna kobieta obarczona trójką dzieci, z trudem wiązała koniec z końcem i na niedzielne wizyty w kościele z trójką berbeci nie miała siły. Teri, najstarsza z rodzeństwa, w wieku lat szesnastu zrezygnowała z liceum i poszła do szkoły zawodowej, gdzie uczono wizazu, makijazu, fryzjerstwa i tego typu rzeczy. Po dwóch latach zaczęła pracować. Szło jej całkiem nieźle, choć nie był to jej wymarzony zawód. Bo Teri ponad wszystko kochała książki. Czytała zachłannie, jej mieszkanie zawałone było romansami, SF, fantasy, biografiami i książkami popularno-naukowymi. Najchętniej pracowałaby w bibliotece albo w księgarni, ale z tego, że jest fryzjerką, nie robiła tragedii. Praca jak praca, poza tym miała czym zapłacić za rachunki. A ponieważ fryzjerką była dobrą i znała wszystkie najnowsze trendy, na brak klientek nie mogła narzekać.

Tego dnia jej pierwszą klientką była Justine Gunderson, która przyszła się podstrzyc.

– Słyszałam o twoim ostatnim wyczynie – zakomunikowała, gdy tylko usadowiła się na krześle przed lustrem.

Teri westchnęła. W takiej miejscinie jak Cedar Cove nic się nie ukryje, dlatego w kółko ją wypytywano, jak naprawdę było z tym Bobbym Polgarem.

Przyjrzała się włosom Justine, opadającym na plecy.

Piękne, zdrowe, lśniące, właśnie takie pokazują w reklamach.

Włosy Teri, bez przerwy podcinane i farbowane, wyglądały przy nich raczej kiepsko. Właściwie już nie pamiętała, jaki jest ich naturalny kolor. Chyba mdła blondynka. Aktualnie miała pofarbowane na brąz ze złocistymi refleksami, bardzo krótkie i nastroszone za pomocą zelu. W przyszłym tygodniu, kiedy w salonie będą miały trochę luzu, zamierzała poprosić Jane, by ufarbowała ją na czarno.

– Teri, słyszałam, że ostrzygłaś samego Bobby'ego Polgara!

A i owszem. Została gwiazdą, pokazano ją przecież w telewizji. Wszyscy pytali, jak udało jej się przedrzeć przez ochronę i dotrzeć do samego mistrza. Ze względów ambicjonalnych mówiła, że problemu z tym nie miała, co może tak do końca nie oddawało sytuacji. Bo było z tym trochę problemu. Trochę więcej niż trochę. Najpierw ci nadęci ochroniarze. Kiedy zobaczyli, że ma z sobą nożyczki, potraktowali ją jak niebezpieczną wariatkę, ale narobiła takiego rabanu, że w końcu pojawił się sam Bobby Polgar, by sprawdzić, co się dzieje. Wyłuszczyła mu więc, o co chodzi, i Bobby oznajmił, że może go ostrzyc.

W asyście kilku ochroniarzy zaprowadził ją do apartamentu, gdzie, jak się okazało, czekał już spory tłumek.

Ludzie najprzeróżniejsi, ale monotematyczni. Wszyscy rzucili się do niego, każdy z gotową receptą, co Bobby ma zrobić, żeby pokonać Ukraińca.

Kiedy do pokoju wkroczyła Teri Miller, Bobby podniósł rękę, nakazując ciszę. I faktycznie, wszystkim usta się zamknęły. Bobby spojrział na Teri, Teri spojrziała na Bobby'ego i poprosiła, żeby usiadł. Gdy to uczynił,

zarzuciła mu na ramiona ręcznik i od ochroniarza odebrała nożyczki.

– Jak już mówiłam, długie włosy rozpraszają pana, panie Polgar. Tylko to, bo żadnych rad pan nie potrzebuje. Pan najlepiej wie, jak zagrać.

Teraz, z perspektywy kilku dni, przyznawała w duchu, że wykazała się wielką śmiałością, o ile nie bezczelnością. I do dziś nie wiedziała, co ją podkusiło do tego szalonego kroku, skoro i Bobby Polgar, i szachy były jej obojętne. Po prostu poczuła gwałtowną potrzebę ostrzyżenia Bobby'ego Polgara. Tylko to. A ponieważ była osobą impulsywną, poszła za ciosem.

I poskutkowało. Jakim cudem?

Oczywiście każdy chciał wiedzieć, o czym Bobby z nią rozmawiał. I to był wyjątkowo delikatny fragment całej tej historii. Bobby, zanim zaczęła go strzyc, kazał wszystkim wyjść. Zostali tylko we dwoje, mogłaby więc serwować wszystkim jakąś fantastyczną opowieść o tym, co się potem działo. Ale po co? Tym bardziej że nie działo się nic nadzwyczajnego. Podstrzygła go i wyszła, zamieniwszy z Bobbym nie więcej niż kilkanaście słów.

– Czy on po tym wszystkim odezwał się do ciebie?

– spytała Justine, kiedy Teri przykrywała jej ramiona pelerynką.

– Nie. Przecież nawet nie zna mojego imienia.

Bobby Polgar nie zwracał sobie głowy zapłatą za usługę, co nie bardzo było po myśli Teri. W końcu przyjechała do Seattle za pozyczonego dwudziestaka.

– A jaki ten Bobby jest?

Ręka Teri obarczona grzebieniem na moment zawisła w powietrzu. Jaki ten Bobby jest? To pytanie słyszy od

tygodnia i wciąż nie wie, jak na nie odpowiedzieć.

– Skąd mam wiedzieć, skoro tak słabo kontaktuje? Ale na pewno ma bardzo silną osobowość. Jest taki trochę... inny niż wszyscy.

– Nic dziwnego. Mówią o nim, że to jeden z największych szachistów naszych czasów!

– Bo to prawda – zdecydowanie oznajmiła Teri.

– Jesteś jego fanką?

– Po prostu uznaję wielkość Bobby'ego Polgara, chociaż go nie znam, a o szachach nie mam bladego pojęcia.

Tego w szkole fryzjerskiej nie uczą.

– W takim razie kompletnie nie rozumiem, co cię skłoniło do tej niesamowitej akcji – powiedziała Justine, kiedy szły do umywalki.

– Sama nie wiem – wyznała Teri. – Zobaczyłam go w telewizji, pomyślałam, że facet niczego sobie, i na tym koniec. Ale potem dowiedziałam się, że ten pierwszy mecz przegrał. Od razu zaskoczyłam dlaczego, i postanowiłam mu pomóc. To naturalny odruch, prawda?

Moja świętej pamięci matka zawsze pomagała innym.

Teri odziedziczyła po niej nie tylko chęć niesienia pomocy potrzebującym, lecz także dziwny talent do wiązania się z nieodpowiednimi partnerami. W każdym razie za żadnego ze swoich byłych facetów – sztuk cztery – nigdy by nie wyszła. Każdy jej związek trwał krócej niż pół roku i po każdym rozstaniu Teri miała ochotę sprać siebie za swoją głupotę. Owszem, lubiła myśleć o sobie pozytywnie, jaka to jest inteligentna i rozsądna. Niestety

zycie co i rusz podsuwało jej dowód, że prawda wygląda dokładnie na odwrót.

Kiedy Teri odkręcała wodę, Justine na moment przechwyciła jej wzrok.

– Dziękuję, Teri.

– Hm... a za co?

– Za to, że nie wypytujesz mnie o ten pożar, a wszyscy bez przerwy o tym mówią, zasypują mnie pytaniami.

W rezultacie zaczęłam unikać ludzi. Wychodzę z domu tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne.

Szczerze mówiąc, Teri wciąż przeżywała przygodę z Bobbym Polgarem, dlatego widok Justine nie skojarzył jej się z pożarem Latarni Morskiej.

– A jak sobie teraz dajecie radę, Justine? – spytała, przystępując do mycia głowy.

Justine przymknęła oczy, jakby wcale jej nie słuchała, jednak Teri była pewna, że zaraz odzyska mowę. Bo coś w tym było. Kiedy myje się głowę kobiecie i kombinuje przy jej włosach, wpływa to na nią niesamowicie odprężająco.

Wszystkie stają się skłonne do zwierzeń, gotowe wygadać się z czymś, co w innych warunkach byłoby nie do pomyślenia. Teri już dawno rozgryzła przyczynę tego zjawiska. Fryzjerka manipuluje przecież przy głowie klientki, czyli za jej zgodą wkracza do sfery największej prywatności. Poza tym skupia na klientce całą swoją uwagę, czyli jest niezwykle wdzięcznym słuchaczem. A poza tym sprzyja temu miła, kojąca atmosfera panująca w salonie.

Nagle Justine otworzyła oczy.

– Seth i ja mamy pewne problemy – wyznała ze smutkiem. – To zaczyna nas przerastać, dlatego oddaliśmy się od siebie. Nie żyjemy z sobą. Po tym pożarze... ani

razu, rozumiesz? Seth jest ciągle podminowany... – Znów zamknęła oczy.

Teri delikatnie uścisnęła ją za ramię.

– Nie martw się, Justine. Czas robi swoje. Powolutku wszystko się ułoży. – Moze i były to frazesy, ale mówiła szczerze. Przecież wiele razy była świadkiem małżeńskich kryzysów. Wydawało się, że to koniec, a tu proszę, wszystko wraca do normy. Bo związek tych dwojga ludzi w najgłębszej swej istocie był bardzo silny. – Kiedy ostatnio ciebie podcinałam, Justine? Chyba bardzo dawno temu!

– O tak! Z sześć, siedem lat temu.

– Tak właśnie myślałam. Spotykałaś się wtedy z Warrenem Sagetem, prawda? Przyznam się, że trochę się dziwiłam, co widzisz w tym starym dziwaku, ale w końcu to ty decydowałaś, z kim się umawiasz. A potem pojawił się Seth. Pamiętam, jak kiedyś natknęłam się na was na nabrzeżu. Do dziś mam was przed oczami! Jak wyście na siebie patrzyli. Zakochani do szaleństwa!

Po twarzy Justine przemknął uśmiech.

– To były piękne, zwariowane dni. Nie mogliśmy się od siebie oderwać...

– I wróca, Justine. A tak w ogóle to jestem pewna, że Seth nadal tak na ciebie patrzy. Kocha ciebie, ty jego, to nie ulega wątpliwości.

– Obyś miała rację, Teri!

Kiedy kończyła mycie, koło umywalki pojawiła się Denise, recepcjonistka zatrudniona w salonie na godziny.

– Przepraszam, ale ktoś koniecznie chce się z tobą widzieć.

– Kto? – spytała Teri, zajęta owijaniem głowy Justine ręcznikiem.

– Nie wiem. Nie przedstawił się.

– Facet?!

Joan, Jane, wszystkie pracownice salonu jak na komendę spojrzwały na Teri.

– Idź zobaczyć, kto to taki! – zawołała Rachel, podnosząc głowę znad paznokci pani majorowej.

– Justine, przepraszam... – sumitowała się Teri.

– Idź! Idź!

– Dziękuję. Zaraz wracam.

Facet, który czekał na Teri przy drzwiach wejściowych, był bardzo wysoki, nieprawdopodobnie chudy i nad wyraz speszony. Jak każdy facet, który wtargnie do królestwa kobiet.

– Dzień dobry. Jestem Teri Miller – oświadczyła, odruchowo biorąc się pod bok. Była pewna, że to jakiś akwizytor, i tak samo pewna, że niczego od niego nie kupi. Nie miała czasu na takie pogawędki.

– Dzień dobry pani – przywitał ją grzecznie chudzielec.

– Przychodzę z polecenia pana Polgara. Chciałby z panią porozmawiać. Czeka w samochodzie.

– Och...

Niemozliwe, żeby pierwszą reakcją Teri nie było zdumienie. Po prostu aż zaniemówiła.

– Panno Miller, pan Polgar nie lubi, kiedy ktoś kaze mu na siebie czekać!

– Trudno... – Wreszcie poznała chudzielca. Widziała go na meczu szachowym. Był przy Bobbym. Dobry znajomy albo zaufany pracownik. – Bo widzi pan, tak się składa, że jestem w pracy, a w pracy zwykle jestem bardzo zajęta. Proszę przekazać panu Polgarowi, że jeśli chce się ze mną zobaczyć, niech uzgodni termin, tak jak to robią

wszystkie klientki...

Nie dokończyła, bo zagłuszył ją rozpaczliwy krzyk

Joan:

– Teri! Nie bądź idiotką! Może pan po prostu chce ci podziękować!

– I powinien! – krzyknęła Teri w stronę Joan. Bo przecież jej się należało! Tak się starała i tyle jej zysku, że po postrzyżynach została wyprowadzona przez ochroniarzy. I wcale nie chodziło jej o pieniądze, tylko o to jedno krótkie słowo: dziękuję.

– Panno Miller? – spytał znów chudzielec.

Wszyscy w salonie wlepiali oczy w Teri, ona zaś przez jedną sekundę optowała na tak. Pójdzie do tego samochodu i wysłucha uprzejmie, co Bobby Polgar ma jej do powiedzenia. Ale kiedy sekunda minęła, wiatr powiał z drugiej strony. Niby dlaczego ma lecieć do tego jakiegoś tam szachisty, który wyobraza sobie, że wystarczy pstryknąć palcem...

– Bardzo mi miło, że pan Polgar raczył się osobiście pofatygować – powiedziała elegancko. – Niestety, mam dziś bardzo napięty dzień, będę wolna dopiero o szóstej.

– Odwróciła się.

Cały salon nadal wlepiał w nią oczy.

– Nie sądzę, żeby pan Polgar był z tego zadowolony

– powiedział chudzielec.

Teri tylko potrząsnęła głową. Dla zbyt wielu osób jedynym wyznacznikiem było to, co lubi lub nie lubi pan Polgar. Najwyższy czas to zmienić, uznała.

Kiedy wracała do Justine, panowała cisza jakwkościele.

– No i co się tak gapicie? – krzyknęła Teri i cały salon ożył.

Do Teri znów podeszła Denise i wręczyła jej banknot studolarowy.

– Ten chudy prosił, żeby ci to przekazać.

Teri wetknęła banknot do kieszonki, myśląc sobie, że z tych szachów Bobby musi mieć niezłe pieniądze. Sto dolców to cztery razy tyle, ile bierze się za ostrzyżenie. Czyli coś już wiadomo o Bobbym Polgarze. Jest bardzo przyzwoitym klientem.

Drugą klientką Teri była Grace Harding. Przyszła zrobić sobie trwałą. Grace zawsze umawiała się na sobotę, ponieważ pracowała w bibliotece w pełnym wymiarze godzin. Potem Teri miała jeszcze dwie klientki, też z trwałą, kiedy więc zbliżała się szósta, nogi ją bolały, a w brzuchu burczało. Nie miała przecież kiedy zjeść lunchu. Była głodna, zmęczona i poirytowana. Tak, poirytowana na pewnego szachistę, który żyje sobie jak król, przywykł, że wszyscy tańczą, jak on zagra. Doceniała jednak fakt, że zadał sobie trud i ją odszukał, choć nie podała swojego nazwiska, nawet imienia. Chociaż nie! Teraz przypominała sobie, że któryś z tych nadętych ochroniarzy sprawdzał jej tożsamość.

Teri wychodziła z salonu ostatnia. Włożyła do suszarki wyprane ręczniki, pogasiła światła i zamknęła drzwi. Czowała się wykończona, dlatego marzenie miała bardzo skromne: gorąca kąpiel, pizza z mikrofal, na koniec dobra książka.

Kiedy wyszła z centrum handlowego, jej uwagę zwrócił pewien pojazd, który wyróżniał się spośród innych. Wyjątkowo luksusowa i wyjątkowo długa limuzyna, która, jakby tego było mało, zaczęła przemieszczać się w jej stronę. I zatrzymała się przed znieruchomiałą Teri. Drzwi

otwarły się, niewątpliwy sygnał, że jest zaproszona do środka.

Teri tam zerknęła i zobaczyła Bobby'ego Polgara. Siedział sam w ogromnej limuzynie, w której zmieściłoby się co najmniej dziesięć kobiet. Lub osiem, gdyby miały rozmiar Teri.

– Dlaczego nie chciała się pani ze mną spotkać?

– spytał Bobby.

– Powiedziałam już pańskiemu kierowcy. Przez cały dzień miałam umówione klientki.

– Ale teraz jest już pani wolna, prawda? Zapraszam!

– Wskazał miejsce obok siebie.

Bobby Polgar, zadne tam ciacho. Wzrost przeciętny, zbudowany przeciętnie, okulary w ciemnej oprawce. Wyglądał po prostu jak szachista.

– Ale dlaczego? – spytała wielce zaintrygowana.

– Będziemy mogli porozmawiać.

– O czym?

– Zawsze pani tak wszystko utrudnia?

– Nie – odparła zgodnie z prawdą – ale miałam ciężki dzień i jestem wykończona.

– A w zeszłą sobotę nie była pani tak zajęta?

– Nie miałam tak napiętego grafiku, poza tym udało mi się przerzucić dwie klientki na inny dzień, dzięki temu mogłam wybrać się do Seattle.

O tym, że za pożyczone pieniądze, oczywiście nie wspomniała.

– I bardzo dobrze, bo pani diagnoza okazała się prawidłowa.

Czy pani wie, że wygrałem następny mecz?

– Wyciągnął rękę, by pomóc damie przy wsiadaniu, o ile dama się zdecyduje.

Skapitulowała. Wsiadła, choć bez entuzjazmu. Nigdy dotąd nie widziała tak ogromnego auta, tak luksusowego. Pogłaskała mięciutkie obicia i spojrzała w górę. Nad głową miała światła co kilka sekund zmieniające kolor na inny, równie jasny i subtelny.

– Napije się pani czegoś? – spytał Bobby.

– Co pan może mi zaproponować?

– A na co pani ma ochotę?

– Na przykład... na piwo.

– Piwo... – powtórzył Bobby i zabrzmiało to tak, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszał to egzotyczne słowo.

– Jeśli można, to zimne – dodała Teri.

Bobby nacisnął przycisk.

– Dla pani zimne piwo, James – przekazał przez interkom.

Teri omal nie wybuchnęła śmiechem.

– Pański kierowca nazywa się James?

– Tak. A dlaczego panią tak to rozbawiło? – spytał, znów sprawiając wrażenie ogromnie zaskoczonego.

– Bo to takie... banalne. – Gdy samochód ruszył, zawołała, znów czując się niepewnie: – Ej, chwileczkę! A dokąd my jedziemy?

– Po piwo. Proszę się nie denerwować, James jest człowiekiem godnym zaufania.

– Jamesowi ufam. Ale pan... pan mnie zastanawia.

Bobby Polgar prawie się uśmiechnął.

– Podoba mi się pani. Może ma pani troszkę za dużo kilogramów...

– A pan troszkę za dużo powiedział! Chcę wracać do mojego samochodu.

– Jeszcze nie teraz, droga pani. Czyżbym się mylił?

Ale odnoszę wrażenie, że nie cieszy się pani ze spotkania ze mną.

– Na pewno nie skaczę z radości. – Z satysfakcją zauważyła, że Bobby spochmurniał. No cóż... wielki Bobby nie jest przyzwyczajony, że ktoś nie ulega jego gigantycznemu ego. – Chociażby dlatego, że tamtej soboty pan nie zapłacił. Oczywiście nie była to tragedia, ale za usługę zwykle płaci się od razu.

– Rozumiem, ale przecież dostała pani pieniądze.

– Tak. Dziękuję. Trzeba przyznać, ma pan gest.

– Należało się pani.

– Owszem, ale pan mi nie podziękował.

– Ma pani rację, tyle że, mówiąc szczerze, myślę tylko o szachach. O czymś innym zdarza mi się bardzo rzadko. Jakby już tego nie wiedziała!

Samochód zatrzymał się, a po chwili drzwi limuzyny otworzyły się i James, czyli znany już Teri chudzielec, wręczył jej zimne piwo.

– Dziękuję, James – powiedziała uprzejmie, starając się przy tym nie ryknąć śmiechem.

Kierowca zaczął zamykać drzwi.

– James – odezwał się Bobby – dla mnie też piwo.

Chudzielec spojrział na niego zdumiony.

– Pan, proszę pana?

– Tak, ja.

– Już przynoszę, proszę pana.

Drzwi zamknęły się.

– Pan lubi ludzi, którzy znają tylko słowo „tak” i jego synonimy, prawda?

Bobby znów prawie się uśmiechnął.

– Kiedy człowiek jest znany i bogaty, zwykle wszyscy

mu przytakują.

Teri otworzyła puszkę i wypila solidny łyk człowieka spragnionego po ciężkim dniu pracy.

– Ale nie ja.

– Zauważyłem.

Drzwi znów się otwarły i James podał szefowi puszkę.

Bobby przyjrzał jej się dokładnie i zaczął ją otwierać.

Oczywiście, absolutnie mu to nie wychodziło.

– No nie... – Teri wyrwała mu nieszczęsną puszkę.

– Pan po prostu jest fujara!

Tym razem Bobby uśmiechnął się zupełnie otwarcie.

– Zgadza się, jestem fujarą, i to na wielu polach, a pani jest pierwszą osobą, która to dostrzegła, panno Miller.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W niedzielę wielkanocną Linnette z wielkim zapałem pomagała matce w kuchni, potem zaczęła nakrywać do stołu. Wykonywała to jednak etapami, bo co chwilę podbiegała do okna.

– Cal już jest! – oznajmiła radośnie za którymś podejściem.

– Mamo, tato, tylko bardzo was proszę, nie zwracajcie na to uwagi, bo on będzie okropnie skrepowany! Ojciec podniósł głowę znad gazety – gazety z Seattle, w sobotę zawsze czytał ją od deski do deski – i spojrzał na córkę trochę nieprzytomnym wzrokiem.

– O co chodzi?

– Przecież mówiłam! On się jąka, ale chodzi już do logopedy. W każdym razie błagam, nie zwracajcie na to uwagi.

– Nie widzę żadnego problemu. – Roy wrócił do czytania gazety.

– Nic się nie martw, kochanie! Będzie dobrze! – zawołała z kuchni Corrie.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

Linnette otworzyła, do środka wszedł Cal. Naprawdę wyszykował się na tę wizytę, wyglądał super. Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę, wyglansowane buty błyszcząły jak lustro, dzinsy uprasowane na kant. Przepiękne niebieskie oczy spojrzały na Linnette pytająco, ona uśmiechnęła się z promienną aprobatą.

– Cześć – powitał go po męsku Roy, ponownie na ułamek sekundy odrywając się od gazety.

Z kuchni doleciał dźwięczny głos jego małżonki:

– Witaj, Cal! Miło cię widzieć!

– Dzień dobry! Jak tu smakowicie pachnie! – powiedział

gładziutko, bez najmniejszego zajknięcia się.

Linnette aż pękała z dumy.

– Szynka – oznajmiła. – Mama robi z niej coś genialnego.

Posypuje brązowym cukrem, goździkami i polewa syropem klonowym. Pyszne!

– Domyślam się.

– Jak zostanie, zapakuję ci i zjesz sobie w domu.

– Hej, hej, nie pozwalam wynosić mojej szynki! – zawołał wesoło ojciec.

Wszyscy roześmieli się, po czym Linnette poinformowała Cała:

– Mack już jedzie do nas. Dzwonił, że stoi w korku na moście. Podobno koszmar.

– A Gloria?

– Ma być koło czwartej.

– Biedna dziewczyna nawet w Wielkanoc musi pracować

– wyjaśnił Roy. – Niestety, nie dochrapała się jeszcze z żadnego stanowiska.

Niedawno odnaleziona siostra Linnette była zastępcą szeryfa w Bremerton. Bystra, wykształcona i bardzo energiczna, odnosiła liczne sukcesy jako śledczy, wciąż jednak czekała, aż jej kariera przyspieszy. Roy, zanim osiadł w Cedar Cove, pracował w policji w Seattle, tak więc Gloria poszła w jego ślady, co wielce intrygowało Linnette.

Gloria, po namierzeniu biologicznych rodziców, zaczęła przysyłać im anonimowe pocztówki i wiązanki kwiatów. Trochę to trwało, zanim znakomitemu detektywowi Royowi McAfee udało się rozwikłać zagadkę i Gloria została z radością przyjęta do rodziny. Oczywiście do prawdziwej zazłoty byłoby jeszcze daleko, ale obie

strony były pełne najlepszych chęci.

Roy spędzał z Glorią sporo czasu. Na początku Linnette obawiała się, że dzielenie się ojcem okaże się trudnym doświadczeniem, tym bardziej że była z nim bardzo zżyta, okazało się jednak, że wcale jej to nie przeszkadza. Może dlatego, że miała Cala. Dzwonili do siebie, spotykali się, ostatnio częściej, odkąd Cal zaczął przyjeżdżać do miasta do logopedy i łączył to z randką. Pomysł z logopedą okazał się zresztą rewelacyjny, bo Cal robił zdumiewające postępy.

– Skończę nakrywać do stołu – oznajmiła Linnette.

– Cal, pomozesz mi?

– Linnette, nie przesadzaj. Cal jest naszym gościem!

– skarcił ją ojciec.

– Tak, tatusiu – mruknęła Linnette, uśmiechając się do ukochanego.

Gdy rozbawiony Cal rozsiadł się na sofie, Roy dał mu część gazety. Cal podziękował i posłusznie zajął się lekturą.

Linnette poszła pozalić się do kuchni.

– Mamo, dlaczego tata z nim nie porozmawia?

– Dobrze wiesz, jaki jest ojciec – bezradnie odparła Corrie.

– Tak, ale prawdopodobnie jest to mój przyszły mąż!

– Miała wielką nadzieję, że tak się stanie. Cal co prawda nie poruszył jeszcze tematu małżeństwa, ale zdaniem Linnette wyraźnie zmierzali w tym kierunku.

Znów rozległ się dzwonek i do środka wkroczył Mack z trzema liliami w pełnym rozkwicie na długiej łodydze.

Linnette zauważyła, że brat się ostrzygł i w ogóle wyglądał przyzwoicie. Tylko ta koszula! Obrzydlistwo

w wielkie kwiaty! Szkoda, że Mack wciąż jest sam, bo żadna kobieta nie pozwoliłaby swojemu facetowi włożyć czegoś tak koszmarnego.

Za Mackiem pojawiła się oczywiście Lucky, jego suczka, i natychmiast ułożyła się przed kominkiem.

– Wesołego alleluja! – wykrzyknął. – Kiedy zaczynamy szukać pisanek?

– Oj, synku, synku! Myślałam, że już z tego wyrosłeś!

– Roześmiana Corrie wyszła z kuchni, ucałowała Macka w policzek, podziękowała za lilię i wstawiła ją do wazonu.

Gdy Cal wstał, by przywitać się z Mackiem, Linnette poczuła niepokój. Nie wspominała bratu o problemie Cala i obawiała się, że może nieświadomie doprowadzić do niezręcznej sytuacji.

– Co na obiad? – spytał niecierpliwie Mack. – Konam z głodu.

– To dobrze – powiedziała Corrie. – Czekamy tylko na Glorię i zaczynamy.

– Mamo, może zrobiłaś te małe bułeczki z serem w środku? – spytał z nadzieją w głosie. – Moglibyśmy...

– Oczywiście! – Roy wreszcie złożył gazetę. – Możemy już coś przegryźć, żeby nabrać apetytu.

– Mack uwielbia te bułeczki – wyjaśniła półgłosem Linnette Calowi. – Tobie też na pewno będą smakować, ale konsumuj oszczędnie, bo zapchasz się przed obiadem.

– Dobrze.

– Mack domaga się ukochanych bułeczek w każde święta. I na Wielkanoc, i w Dzień Dziękczynienia, i na Boże Narodzenie...

– W Dzień Świstaka też – uzupełnił braciszek.

Roy wstał i zaproponował drinki.

– Ja piwo, tato – poprosił Mack.

– To może ja też, panie McAfee – wtrącił Cal.

– Mack, pomóż mi w kuchni, dobrze? – Linnette pociągnęła go za sobą, a kiedy uznała, że nikt ich nie dosłyszy, wyszeptała: – Cal trochę się jąka, chodzi do logopedy. Pamiętaj, nie zwracasz na jego jąkanie uwagi, żadnych komentarzy...

– Rany, masz mnie za debila? Ale co się tak nad nim trzęsiesz? Faceci tego nie lubią. Uważaj, bo przedobrzysz i Cal pójdzie sobie w siną dal.

W tym momencie zjawiała się Gloria. Była w mundurze.

– Przepraszam, nie miałam czasu się przebrać. Mam nadzieję, że nikomu to nie będzie przeszkadzać.

– Oczywiście, że nie. A gdzie Chad? – Linnette pytała o doktora Chada Timmonsa, z którym pracowała, a który był bardzo zainteresowany Gloria.

Ona zaś odparła, zdejmując kurtkę od munduru:

– Wcale go nie zapraszałam.

– To co, może już siądziemy do stołu? – niecierpliwiał się Roy.

– No właśnie. – Mack również był u kresu wytrzymałości.

– Ojej, czekaliście na mnie – sumitowała się Gloria.

– Obiad i tak będzie trochę później – uspokoiła ją Corrie. – Mack, prosiłeś o bułeczki...

– Jasne! – wykrzyknął rozpromieniony.

– Zaraz tu się zjawia. – Corrie znikła w kuchni, pozostali rozsiedli się w salonie, Linnette oczywiście obok Cala.

Po chwili Corrie wróciła z kuchni, niosąc na tacy serowe bułeczki, do tego jarzyny i gęsty sos śmietanowy.

Roy podał drinki, do wyboru piwo lub wino.

– Mama robi również genialne sosy. – Linnette umoczyła kawałek marchewki w gęstym sosie i podała Calowi.

– Proszę, spróbuj.

– A ja kilka dni temu byłem w Cedar Cove – zakomunikował Mack, nakładając na talerzyk bułeczki. – Uff, jakie gorące!

– Byłeś tu i nie zajrzałeś do nas... – narzekała Corrie.

– Bo kiedy skończyliśmy, marzyłem tylko o powrocie do domu i gorącym prysznicu.

– Co skończyliście? – dopytywała się Linnette.

Mack wyprostował się, omiótł wzrokiem zebranych i obwieścił z dumą:

– Staram się o pracę w straży pożarnej w Cedar Cove!

– Jak wyglądają te starania? – spytała Gloria, nakładając na talerzyk przekąski.

– Sprawdzają kondycję fizyczną. – Mack pociągnął piwa. – Najpierw lekarz mnie osłuchał, potem gnałem w górę po schodach, no, takie tam.

– Jak ci poszło? – spytał Roy.

– Udało się. – Mackowi rozbłysły oczy. – Czeka mnie jeszcze pisemny test.

– Świetnie. Mam nadzieję, że ta praca ci się spodoba. Zresztą wiesz, co to za robota, przecież służysz w ochotniczej straży pożarnej.

Roy i Mack nie zawsze się dogadywali, ale teraz, jak zauważyła Linnette, wyraźnie się starali. Ojciec darował sobie kąśliwą uwagę, że z dwojga złego woli strażaka, a nie gryzipiórka z urzędu pocztowego.

– Mam nadzieję, że mnie zatrudnią – powiedział Mack. – Jeśli tak, to znów będziemy blisko siebie.

Przedtem jednak muszę odbyć szkolenie niedaleko North Bend. Wysyłają tam na dziesięć tygodni.

Corrie się rozpromieniła.

– Jak dobrze, synku, że znów będziesz blisko nas!

– entuzjasmowała się. – A tych dziesięć tygodni minie jak z bicia strzelił, sam zobaczysz.

– Tez będę musiał wyjechać na jakiś czas – odezwał się nieoczekiwanie Cal.

– Wyjeżdżasz?! – Linnette nie kryła zaskoczenia. Bo jak to tak? Nie dość, że ją opuszcza, to trzyma tę wiadomość przed nią w tajemnicy i oznajmia dopiero teraz, przy całej rodzinie! – Dokąd jedziesz? Po co? Mam nadzieję, że nie na długo?

Cal po raz pierwszy tego wieczoru zająknął się.

– Ratować mmustangi.

– Mustangi? A co z nimi? O co chodzi?

– Słabsze sztuki wyłapywane są przez Biuro Zarządzania Nieruchomościami i sprzedawane. Większość idzie na rzeź. Można je jednak adoptować. W ratowanie mustangów włączyło się już kilka organizacji...

– I ty musisz tam jechać? Właśnie ty? Nie rozumiem. Cliff tam cię wysłał, bo chce mieć w swojej stadninie kilka mustangów? Dlaczego więc nie jedzie sam...

– Linnette... – odezwała się półgłosem Gloria. – Daj mu dokończyć.

– Jadę tam jako wolontariusz – wyjaśnił Cal. – Chcę dołączyć do jednej z tych organizacji. Będę wyłapywał konie i przewoził do ośrodka adopcyjnego. Mam nadzieję, że uda nam się uratować wiele mustangów.

– Jak długo cię nie będzie? – spytała Linnette.

– Miesiąc, może trochę dłużej.

– Cały miesiąc?! – Dla niej było to bez sensu. Cliff się zgadza, żeby Cal przez cały miesiąc, a może i dłużej, nie było w pracy? Jak ma się to do nas? – myślała zdezorientowana. Kiedy myśli się o kimś poważnie, nie wyjeżdża się tak nagle z własnej woli i na tak długo.

Może przesadzała, ale miała powody do niepokoju. Chociażby to, że wyjazd oznaczał przerwanie wizyt u logopedy, tak Calowi potrzebnych. A poza tym Cal był dla niej wszystkim, treścią jej życia. Nie wyobrażała sobie, że może tak po prostu wyjechać i ją zostawić, nawet na krótko.

– To bardzo piękny cel, Cal – powiedziała Corrie. Dzięki, kochana mamusiu, pomyślała Linnette, kipiąc ze złości.

– Też tak uważam – dodał Mack. – Czytałem, co wyrabiają z tymi końmi. Wstyd i hańba.

Może i wstyd, może i hańba, pomyślała Linnette, lecz tak naprawdę za jej było tylko siebie. Tak bardzo nie chciała, żeby Cal wyjeżdżał z Cedar Cove. Dla niej to była tragedia. Dla niego na pewno nie. Wygląda na to, że już nie może doczekać się wyjazdu!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W poniedziałek rano Maryellen obudziła się w świetnym nastroju, mimo że stało się to na znieawidzonej sofie, a nie w łóżku, obok męża, za czym tęskniła rozpaczliwie. Ale nawet na tej sofie obudziła się pogodna, ponieważ niedziela wielkanocna była wspaniałym przeżyciem. Po nabożeństwie Joseph i Ellen zabrali Katie na polowanie na pisanki, zorganizowane dla maluchów przez miejscową społeczność. Katie po powrocie z dumą demonstrowała rodzicom cały koszyk kolorowych jajeczek z plastiku. Najpierw pokazała Maryellen, potem Jonowi, który pojawił się dopiero po wyjściu Bowmanów. Do rodziców Jona Katie przyzwyczała się już po kilku dniach, przy okazji owijając ich sobie wokół małego paluszka. Joseph i Ellen poza wnuczką świata nie widzieli, a Katie pod czułymi skrzydłami dziadków funkcjonowała znakomicie, za co Maryellen była im ogromnie wdzięczna. Za wszystko, bo przecież to dzięki ich obecności odzyskała równowagę ducha, a to rzecz wprost bezcenna, kiedy jest się w zagrożonej ciąży. Jej matka i Cliff naturalnie nadal im pomagali, ile tylko mogli. Grace przychodziła do córki trzy razy w tygodniu, zawsze przynosząc z biblioteki ciekawą książkę. Wpadała również Charlotte i kilka innych pań z Klubu Seniora. Charlotte zaczęła ją uczyć robić na drutach i niebawem Maryellen, uczennica wyjątkowo pojętna, wykonała kocyk dla dzidziusia.

Jednym słowem, działało się, i to niemało, było jednak coś, co Maryellen spędzało sen z powiek. Trudna sytuacja finansowa. Co prawda dzięki pomocy Bowmanów Jon mógł skupić się na fotografice, co od razu przyniosło

dobre efekty. Kilka fotogramów zakupiła redakcja „Cedar Cove Chronicle”, sporo wystawiono na sprzedaż w galerii. Poza tym Jon rozglądał się za nową pracą. Był już na kilku rozmowach, ale jak na razie nic z tego nie wynikło. Dzięki uczynności Bowmanów ich życie uległo diametralnej zmianie, Jon jednak konsekwentnie unikał ich jak ognia. Wychodził z domu z samego rana, przed ich przyjściem, a wieczorem, przed powrotem do domu, zawsze do niej dzwonił. To był sygnał, że rodzice mają już iść. Taka zawziętość martwiła, a nawet niepokoiła Maryellen, bo kto wie, czy pewnego dnia Jon nie stanie się taki sam wobec niej i ich dzieci?

Usłyszała kroki na schodach. To był Jon, dlatego uśmiechnęła się promiennie. Poprzedniego dnia mieli okazję pobyć sam na sam, było cudownie, więc nie chciała witać męża ponurą miną.

– Nie śpisz? – spytał szeptem.

– Nie. – Wyciągnęła ku niemu rękę.

Jon podszedł do nieszczęsnej sofki, położył się obok żony, przykrył dłońmi jej ogromny brzuch. Zachichotali, a potem czule się objęli.

– Kiedy dzidzius przyjdzie na świat, nigdy już nie zasnę bez ciebie – szepnął Jon, obsypując jej szyję drobnymi pocałunkami. – Nienawidzę tego spania solo.

– No to jest nas dwoje. Okropnie się za tobą stęskniłam.

Jon, Katie jeszcze śpi?

– Tak.

– Wczoraj miała dzień pełen wrażeń. Och, Jon, nie wyobrazasz sobie, jak cudowna jest dla niej Ellen. – Poczula, jak natychmiast zeszywniał. Tak było zawsze, kiedy wspomniała o jego rodzicach. Pogłaskała go czule

po plecach. – Widziałeś ten wielki wielkanocny kosz, który jej kupili? Jest w nim i pluszowy zajaczek, i...

– Nie zyczę sobie, żeby ją tak psuli.

– Kochanie, taka jest przecież rola dziadków. Oni...

Lecz on już nie słuchał. Poderwał się z sofy i poszedł do kuchni. Widziała przez otwarte drzwi, jak zaczyna robić sobie kawę.

– Wiedziałem, że tak będzie – stwierdził po chwili opryskliwym tonem.

Maryellen natychmiast zmieniła pozycję leżącą na siedzącą.

– A co? Już jesteś zły? Wystarczy, że powiem słowo o twoich rodzicach, i od razu jesteś wkurzony!

– Oczywiście! Bo od samego początku mają w tobie adwokata! A to i tak na nic, Maryellen. Mówiłem ci już, że między mną a nimi nic się nie zmieni. Nigdy!

– Ale, Jon...

– Och, daj mi spokój! Nie mam ochoty tego wałkować. Wpuściłem ich pod nasz dach tylko dlatego, że ty tego chciałaś. Wyłącznie.

– Jon, naprawdę nie rozumiesz? Przecież oni pomagają nam w najtrudniejszym momencie! Przyjechali tu i koczują w nędznym hoteliku przy autostradzie, byle tylko być blisko nas! Czy ty tego nie widzisz?

– Ale kiedyś mi nie pomogli! Powinni mnie po rękach całować, że nie oskarżyłem ich o krzywoprzysięstwo!

Wtedy to oni by wylądowali za kratkami! A ja nie

przechodziłbym przez to piekło. Wiesz, dlaczego wytrzymałem? Tylko dlatego, że karmiłem się nienawiścią.

To trzymało mnie przy życiu, tylko to!

W jego głosie było słycać tyle gorczy. Jon był

artystą, człowiekiem nadzwyczaj wrażliwym. Wszystko przeżywał bardzo mocno. Jego uczucia, i pozytywne, i negatywne, zawsze miały wysoką temperaturę. Tak samo gorąco nienawidził swoich rodziców, jak gorąco kochał swoją żonę i dzieci. Dla Maryellen, Katie i nienarodzonego

jeszcze maleństwa gotów był do największych poświęceń.

Tylko dla ich dobra wpuścił pod swój dach ludzi, których nienawidził. I miał powód do tej nienawiści...

Zapadła cisza. Słysząc było tylko ciche gulgotanie ekspresu do kawy. Po chwili gulgotanie też ucichło. Jon nalał sobie kawy do kubka, dla żony zrobił ziołową herbatę i wrócił do salonu.

– Nie chcę się z tobą kłócić, Maryellen.

– Ani ja – odparła ze smutnym uśmiechem.

– Kocham cię i nie pozwolę, żeby moi rodzice nas rozdzielili. Kiedyś zabrali mi wszystko, ale ciebie i moich dzieci nigdy mi nie zabiorą.

– Wiesz, co sobie pomyślałam? – powiedziała po dłuższej chwili zadumy. – Najczęściej jest tak, że żona nie trawi teściów. A u nas jest inaczej.

– Fakt. Bardzo oryginalnie. Bardzo lubię moich teściów, ale z rodzicami to już całkiem inna sprawa. – Spojrzał na zegarek i wstał. – Muszę przygotować się do rozmowy.

– Nic o tym nie wspominałeś.

– Bo to nic specjalnego – rzucił przez ramię, kierując się ku schodom.

Mimo wszystko dziwne, bo dotąd zawsze informował ją o takich rozmowach, a potem zdawał relację. Pertraktował nawet z firmą budowlaną Warrena Sageta. Znał się przecież na ciesielce jak mało kto, ale dowiedział się, że Warren nie jest solidnym przedsiębiorcą, krąży opinie, że stosuje materiały kiepskiej jakości, najpewniej po prostu oszukuje. Obecnie jego firma stawia duży dom mieszkalny, z którym już były poważne problemy, dlatego po naradzie z Maryellen Jon uznał, że u Sageta ze względów etycznych pracować nie będzie. Seth Gunderson bardzo chciał, żeby Jon nadal pracował u niego, oczywiście kiedy zostanie odbudowana Latarnia Morska. Nie mógł tak długo czekać, dlatego był na rozmowach w kilku restauracjach. Kiedy ubrany i ogolony zszedł na dół, Maryellen ostrożnie wstała z sofy, powoli przeszła do kuchni i opadła na krzesło.

– Może powiesz mi coś na temat tego spotkania?

– spytała, patrząc, jak Jon wkłada do tosterka kromkę chleba, do mikrofalówki miseczkę z owsianką i kroci banana na plasterki, szykując dla niej śniadanie. – Jon, proszę cię. Przecież nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic!

Jon westchnął.

– No dobrze, skoro koniecznie musisz wiedzieć... Jadę do Tacomy, do studia fotograficznego. Robią portrety. Ja robiłbym zdjęcia uczniom.

Maryellen aż zaniemówiła. Przecież dla artysty czysto usługowa praca to niszczenie talentu! Fatalnie wpływa na wyobraźnię i kreatywność, niszczy oryginalny sposób postrzegania rzeczywistości. No i może zabić miłość Jona do fotografii. Zabić w nim artystę.

Nie potrafiła nad tym zapanować, zaszlochała, cała drżąc. Jon natychmiast znalazł się przy niej, objął ją ramieniem.

– Maryellen, proszę. Musimy mieć na rachunki...

– Nie rozumiesz? Natychmiast znienawidzisz tę pracę! I fotografię w ogóle!

– Och, kochanie, proszę, nie przesadzaj. No i wiesz doskonale, że zadnej pracy się nie boję. Poza tym to tylko na jakiś czas, na pewno nie na długo. A przyda mi się jakieś zajęcie poza domem...

– Aha! Teraz rozumiem! Chcesz wyrwać się z domu, bo nie możesz wytrzymać, że twoi rodzice tu przychodzą! Boże, to przeze mnie! Co ja narobiłam! Czasami myślę, że to dziecko nas wykończy...

– Nie, kochanie. To dziecko to cudowny dar od losu...

– Pocałował ją zarliwie. – Kocham cię. Wezmę tę robotę, bo jest to konieczne. Powtarzam, tylko na jakiś czas. A kiedy dziecko się urodzi, wszystko będzie inaczej. Po prostu wszystko się ułoży. – Znow ją pocałował. – Muszę już iść. Pa, kochanie. – Wyszedł z domu.

Wkrótce zjawili się Ellen i Joseph. Ellen pobiegła na górę, do Katie, Joseph zabrał się do porządków. Kiedy zbliżało się południe, zabrał Katie na spacer, a Ellen podała Maryellen herbatę.

– Zrobię dziś na obiad tartę z kurczakiem – oznajmiła.

– Jon zawsze bardzo to lubił.

– Świetnie. Na pewno będzie bardzo zadowolony

– powiedziała Maryellen, zastanawiając się w duchu, czy Jon w ogóle zauważy, co tego dnia je na obiad.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Justine bardzo ucieszyła się, gdy Olivia zaprosiła ją do siebie na herbatę. Świetnie się składało, bo Leif też był zaproszony przez kolegę z przedszkola, będą więc mogły z matką swobodnie pogadać. Poza tym zawsze z radością odwiedzała dom przy Lighthouse Road 16. Przecież tu się wychowała i nadal czuła się jak u siebie.

– Jacka nie ma – z miejsca poinformowała ją Olivia.

– Poszedł na spotkanie z pastorem Flemmingiem, by zrobić wywiad na temat uczestnictwa Kościoła w akcjach pomocy ofiarom huraganu.

Czyli warunki do pogadania idealne. Jeszcze kilka lat temu Justine nie wyobrażała sobie, że mogłaby dzielić się z matką swoimi problemami. Rozmawiały z sobą rzadko, jeszcze rzadziej poruszały naprawdę istotne tematy, lecz od jakiegoś czasu długie, szczerze rozmowy stały się regułą.

Olivia naląła herbaty do porcelanowych filizanek i postawiła czajnik obok patery z ciasteczkami owsianymi.

Zasiadły do stołu.

– Mamo, wracam na pół etatu do First National Bank.

– Czy powiedzieć jej, co jest prawdziwym powodem tej decyzji? Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że tak. – Leif chodzi do przedszkola, ja na tych kilka godzin też mogę zniknąć z domu. Bardzo mi tego potrzeba.

Bo sytuacja dramatycznie nabrzmiała. Justine czuła, że zamknięta wczterech ścianach wkońcu oszaleje. Seth stał się po prostu okropny. Wiecznie podminowany, obsesyjnie marzył o tym, by dopaść drania, który podpalił restaurację. W pewnym momencie wydawało się, że się trochę opamiętał, ale potem wszystko znów było po

staremu. Kiedy dowiedziała się, że Seth rozmawiał z Larrym Boone'em o pracy wstoczni jachtowej, poczuła dziką radość. Wreszcie będzie miał jakieś zajęcie! Niestety, jak dotąd nic z tego nie wynikło. Nie wiedziała, czy to Seth nie może się zdecydować, czy jego ewentualny pracodawca. Oczywiście bała się spytać o to męża, by nie wywołać nowej awantury.

– Co na to Seth? – spytała matka.

– Jeszcze mu o tym nie powiedziałam, lecz jakie to ma znaczenie? Nawet nie zauważy, jak zacznę regularnie wychodzić z domu. Niestety, mamo, między nami jest bardzo źle. Seth kompletnie się zmienił, po prostu go nie poznaję. Wiecznie zły, zniecierpliwiony, ma tylko jeden cel. Wykryć, kto jest sprawcą. Mało tego, ma do mnie pretensję, że też nie chodzę cały dzień wkurzona. Oczywiście, że spalenie Latarni Morskiej to zaden powód do radości, ale trzeba jakoś dalej żyć, prawda? Iść do przodu!

– Oczywiście. Do Seta jeszcze to nie dotarło?

– A skąd!

– Czy wiesz, Justine, że on niedawno rozmawiał z Jackiem? Prosił go, żeby zamieścił w gazecie zdjęcie tego krzyża. Myślę, że to pomysł Roya. Zawsze ktoś może rozpoznać ten krzyż, a to może być nowy trop. Niestety śledztwo utknęło w martwym punkcie.

– Jack się zgodził?

– Myślę, że najpierw pogada o tym z szeryfem. Opublikowanie zdjęcia może pomóc śledztwu, ale równie

dobrze może zaszkodzić. – Olivia przysunęła paterę z ciasteczkami. – Justine, częstuj się, proszę... I wiesz, myślę, że powinnaś powiedzieć mężowi o powrocie do pracy. W ogóle powinnaś z nim szczerze porozmawiać

o całej tej waszej sytuacji w domu.

– Niby tak, ale... – Rada była rozsądna i dość oczywista, kłopot w tym, że Justine wcale nie tęskniła za rozmową z mężem. W obecności synka zachowywali się jak ludzie cywilizowani, ale poza tym... Dla niej Seth stał się obcym, zwichrowanym facetem, z którym przez przypadek przebywała pod jednym dachem.

Olivia uważnie spojrzała na córkę.

– Kochanie, powiedz szczerze, czy właśnie dlatego jadłaś lunch z Warrenem Sagetem, bo twój mąż stał się nie do wytrzymania?

Justine przytkało. W zeszłym tygodniu Warren zaprosił ją na lunch. Złamała się, spotkali się w knajpce w Gig Harbor, bardzo mało uczęszczanym miejscu. Możliwość, że zobaczy ich ktoś znajomy, równała się zeru. A jednak...

– Ktoś ci o tym powiedział, mamie?

– Może. I na pewno nie tylko mnie. A ja, delikatnie mówiąc, byłam tym zaskoczona. Nigdy bym się nie spodziewała, że Warren znów zaistnieje w twoim życiu.

– Tylko jako mój bliski znajomy.

– Tylko? – spytała matka wprost.

Czyli jednak konieczne było jakieś wyjaśnienie.

– Krótco po pożarze Seth i ja posprzeczałyśmy się.

Zeby się uspokoić, poszłam się przewietrzyć na nabrzeże i przypadkiem natknęłam się na Warrena. I bardzo dobrze, bo przynajmniej nie byłam sama, kiedy miałam ten atak panicznego strachu. Bo miałam. Po raz pierwszy w życiu. To było coś okropnego.

– Justine! – Olivia zbladła. – Naprawdę coś takiego przeżyłaś? To straszne!

– Tak, a Warren był przy mnie i pomógł mi dojść

do siebie. Okazał mi tyle zyczliwości, że kiedy w zeszłym tygodniu zaprosił mnie na lunch, nie potrafiłam mu odmówić, choć doskonale wiem, że powinnam. Ale stało się i bardzo tego załuję. Kto ci o tym powiedział, mamó?

– Sharon, narzeczona jednego z adwokatów. Nie, nie przyleciała do mnie, żeby przekazać tę rewelację. Sharon prawie ciebie nie zna, wspomniała tylko, że widziała cię w Gig Harbor ze starszym panem, chyba z ojcem. A ja wiedziałam, że to nie mógł być Stan, więc pozostał tylko Warren.

– To się już nigdy nie powtórzy, mamó.

– Zrobisz, jak zechcesz, Justine. To twoje życie, nie chcę się do niczego wtrącać, ale bardzo bym nie chciała, żebyś zrobiła coś głupiego, co zaszkodzi i tobie, i twojemu małżeństwu.

Matka miała rację. Ona i Seth muszą szczerze z sobą porozmawiać, wylać wszystkie zale i zastanowić się nad przyszłością. Może atmosfera się oczyści, może nie dojdzie do sytuacji, kiedy na pojednanie jest już za późno.

Po powrocie do domu Justine zastała tylko suczkę Penny. Leif, wiadomo, był u kolegi, miała odebrać go dopiero pod wieczór. Seta też w domu nie było. Justine pomyślała, że skoro to dzień wizyt, wybierze się do Charlotte, swojej babki. Nie zdążyła jednak dojść do drzwi, bo otwarły się i w progu stanął Seth.

Rozradowana Penny pobiegła przywitać pana, który pogłaskał pieska. A potem znieruchomiał. Justine stała

równie nieruchomo, równie wpatrzona w niego, jak on w nią. Jakby zobaczyli się po raz pierwszy w życiu. A byli z sobą przecież tyle lat... Justine łzy napłynęły do oczu. Nie, dłużej tak nie mogła żyć! Udawać przed całym światem, że między nimi wszystko jest w porządku, kiedy wszystko jest nie tak. Kochała Seta, za nic w świecie nie chciała go stracić. Wiedziała jednak, że jeśli nic się nie zmieni, straci go. Stracą siebie nawzajem.

Dlatego zrobiła pierwszy krok w stronę męża. On zrobił to samo, jeden krok w stronę żony, a zaraz potem Justine, zanim zdążyła pomyśleć, znalazła się w jego ramionach. Tulił ją do siebie, całował, jakby nagle odnalazł ją po bardzo długiej rozłące. Justine na przemian szlochała i odwzajemniała pocałunki. I nagle znalazła się w sypialni. Opadli na łóżko tak bardzo spragnieni siebie, że Seth, kochając się z żoną, tylko w połowie leżał na łóżku, drugą nogą opierał się o podłogę, a Justine wciśnięta była w brzeg materaca.

Uśmiechnęli się do siebie, po czym, już jak ludzie ucywilizowani, ułożyli się na łóżku obok siebie.

– Och, Seth – powiedziała cicho. – Tak bardzo się za tobą stęskniłam.

– Ja też, kochanie. – Poglaskał ją po policzku. – Wreszcie zrozumiałem, że nie ma większego durnia niż ja. Bo w końcu do mnie dotarło. Straciliśmy restaurację, ale wciąż mam to, co naprawdę ważne. Ciebie i Leifa.

– Kocham cię, Seth – szepnęła przez łzy.

– Kocham cię, Justine, i mam dla ciebie dobrą wiadomość.

Byłem u Larry'ego Boone'a. Wziąłem tę robotę.

Będę sprzedawał łodzie.

Justine z radosnym okrzykiem objęła męża za szyję.

– Tak się cieszę! Wierzę, że teraz wszystko pójdzie dobrze.

A potem, żeby nie było między nimi żadnych tajemnic, powiedziała o lunchu z Warrenem, co Setha, wiadomo, nie zachwyciło. Jednak Justine i tak poczuła wielką ulgę, że wyrzuciła to z siebie.

– Zrobiłam głupio, wiem. Przysięgam, że nigdy więcej już się z nim nie spotkam. – Przypieczętowała te słowa gorącym pocałunkiem. – Aha, ja też zaczynam pracę, w banku, od przyszłego poniedziałku.

– A kiedy ty zdążyłaś to wszystko załatwić? – zdumiał się Seth.

– Tydzień temu. Jestem już zmęczona przesiadywaniem w domu. Kiedy Leif będzie w przedszkolu, ja pobędę w banku, zgoda?

– Zgoda.

Pozostało jeszcze jedno pytanie, za to najwyższej wagi. Justine wolałaby w tej chwili nie ruszać tego tematu, ale skoro wszystko ma być jasne...

– Seth, a co z Latarnią Morską?

Oczy Setha natychmiast straciły blask.

– Nie wiem, Justine, sam już nie wiem. Trzeba w końcu podjąć jakąś decyzję, ale na pewno nie dziś, nie teraz...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Allison Cox, wchodząc po chwiejnych schodkach prowadzących do drzwi przyczepy kempingowej numer piętnaście, była po prostu załamana. Fakt, że Anson mieszkał w tak załosnej namiastce domu, był dla niej przerażający. Po chwili wahania zapukała ostrożnie.

– Kto tam?

– Allison Cox, proszę pani!

Klamka szczęknęła i po drugiej stronie siatki zabezpieczającej przed owadami pojawiła się matka Ansona.

Była w stroju wielce niedbałym, czyli wygniecionej, nieświeżej podomce. W rękę dymiący papieros, brudne włosy zwisały w strąkach.

– Kto ty jesteś? – spytała opryskliwie, strzepując popiół na podłogę. – Czego chcesz?

– Jestem koleżanką Ansona ze szkoły, proszę pani.

Anson dzwonił do mnie, pomyślałam więc, że będzie pani ciekawa, co u niego słychać.

Cherry Butler zaśmiała się, jakby Allison powiedziała coś zabawnego.

– Jasne! – powiedziała i otworzyła drzwi siatkowe.

– Wejdz. Powiesz mi, co wiesz o tym skurczybyku.

Gdy Allison weszła, przeżyła następny szok. Takiej nory jeszcze w życiu nie widziała. Zlew zawalony brudnymi naczyniami. Stały zresztą wszędzie, na stole i na szafkach pokrytych grubą warstwą brudu. Podłoga nie była zamiatana chyba od roku. I ten smród. Stęchlizna, dym z papierosów, rozlany alkohol...

– Przepraszam za ten lekki bałaganik – siłała się na dowcip Cherry – ale pokojówka ma wychodne. – Zrzuciła z krzesła stos brudnych, pogniecionych broszurek reklamowych

i gestem zaprosiła Allison, żeby usiadła.

– Więc gdzie on jest?

– Tego nie zdradził.

– Powiedziałaś mu, że szeryf go szuka?

– Sam o tym wie.

– Tym razem pójdzie do więzienia.

– Pani Butler, przecież to nie Anson podpalił restaurację!

– Nie on? – Roześmiała się chrapliwie. – Oj, chyba się mylisz, laleczko! Mój syn za bardzo lubi ogień. Kiedy miał sześć lat, bawił się zapalkami i omal nie puścił z dymem domu. A kiedy miał dziesięć lat, razem z koleżkami podpálili krzaki. Miałam z tym duży problem, bo wszyscy się mnie czepiali, a już najbardziej ci z Urzędu Ochrony Praw Dziecka. Jakbym to ja podpálila! A w zeszłym roku Anson podpálili składzik z narzędziami w parku.

I myślę, że marzą mu się coraz to większe ogniska.

Zaczął jako dzieciak i nigdy nie przestanie. – Zgasila papierosa w popielniczce pełnej niedopałków i podeszła do lodówki. – Piwo?

– Nie, dziękuję, pani Butler.

Wyjęła butelkę dla siebie, otworzyła i łapczywie pociągnęła spory łyk.

– A cały problem polega na tym – powiedziała, nie patrząc na Allison – że z urodzenia nie nadaję się na matkę.

Allison akurat w tej kwestii zgadzała się z nią całkowicie, lecz zachowała to dla siebie. Musiała jednak wyciągnąć jak najwięcej informacji od tej nieszczęsnej kobiety.

– Pani Butler...

– Mówiłaś, że dzwonił do ciebie – wpadła jej w słowo.

- Czego chciał?
- Usłyszeć mój głos. I powiedział mi, że to nie on podpalił.
- Wierzysz mu?
- Oczywiście.
- Powiedziałaś szeryfowi Davisowi, że Anson dzwonił do ciebie?
- Nie.

Wcale nie skłamała, bo to matka skontaktowała się z szeryfem.

- To dobrze... – Cherry z aprobatą pokiwała głową.
- Jeśli znów do ciebie zadzwoni, też nie mów, jasne? Tego Allison nie mogła obiecać, wybrała więc milczenie.
- A do mnie napisał – oznajmiła Cherry, wyciągając z paczki kolejnego papierosa.

Allison siadła prosto jak świeca.

- Ma pani jego adres?!
- Niestety, a bardzo bym chciała. Ten skurczybyk winien mi jest pieniądze!
- Mogłabym zobaczyć ten list? Bardzo panią proszę.
- Czemu nie? – Wzruszyła ramionami. – Zaraz poszukam. Gdzieś tutaj jest. – Zaczęła grzebać w tosterze zapchanym rachunkami i reklamami, wreszcie wyjęła kopertę. – Ale nie powiesz o tym gliniarzom?
- Nie.

Podawała jej list, który Allison zachłannie zaczęła czytać:

Kochana Mamo!

Poprosiłem kumpla, żeby wysłał Ci ten list. Nie próbuj mnie wytropić, bo ja i tak jestem nie tam, skąd wysłany jest ten list.

Spojrzała na kopertę, na stempel pocztowy. List przyszedł

z Luizjany.

Wiem, jaka jesteś wściekła, że wziąłem te pieniądze z zamrazarki. Prawie pięćset dolarów, przeliczyłem dokładnie.

Oddam Ci wszystko co do centa, wiem przecież, że zbierasz na nową skrzynię biegów. Wziąłem te pieniądze tylko dlatego, że nie miałem innego wyjścia.

Jeśli przestałaś się wściekać, to teraz skup się, bo powiem Ci coś bardzo ważnego. Ja nie podpaliłem tej restauracji...

Ostatnie zdanie podkreślone było kilkakrotnie.

Nie raz zdarzyło mi się zrobić coś głupiego, ale tego na pewno nie zrobiłem. Możesz mi wierzyć albo nie, to zależy od ciebie.

Nie wiem, czy będę mógł jeszcze do ciebie napisać, dlatego traktuj ten list jako weksel na 497,36\$.

Uważaj na siebie i lepiej odpuść sobie tego faceta, który według Ciebie wygląda jak Tobey Maguire. Jest tylko jego żalostną namiastką.

Anson

Allison włożyła list do koperty.

– Czyli Anson pozyczył od pani pięćset dolarów...

– Dlatego nie chciał od niej pieniędzy, tyle że taka kwota na długo nie starczy.

– Nie pozyczył, tylko ukradł – powiedziała Cherry, zachłannie zaciągając się papierosem. – Jestem pewna, że tych pieniędzy już nigdy nie zobaczę. Tak samo jak Donalda... – Wyjęła z kieszeni zmiętą papierową chusteczkę i głośno wydmuchwała nos. – Ale on naprawdę wyglądał jak Tobey Maguire!

– Zapewne tak, pani Butler... – Pomyślała, że ta nieszczęsna kobieta bardziej przejmuje się Donaldem niż

swoim synem.

– Szkoda, że nie mam córki – oświadczyła Cherry.

– Kiedy pielęgniarka powiedziała, że to chłopak, od razu wiedziałam, że nie będzie łatwo. Ale jak go zobaczyłam... to od razu wiedziałam, że go nie oddam. Chociaż... może trzeba to było zrobić. Kobieta z tego urzędu mówiła, że ma już dla niego dom, czekają na niego, ale nie chciałam jej słuchać. Przecież to ja urodziłam to dziecko! I to dziecko na pewno będzie mnie kochać.

– Anson na pewno panią kocha.

– Jasne! I dlatego zrobił to, co robi każdy facet, w którym się zakocham! Ucieka, a przy okazji coś mi zwędzi! Bagatela, pięć stów...

– Proszę pani, nawet jeśli Anson wziął bez pani wiedzy te pieniądze, na pewno je odda. Bo on jest świetnym facetem. – Allison gotowa była go bronić jak lwica, tym bardziej że mówiła to, o czym była święcie przekonana. – Jest wyjątkowo inteligentny, bardzo dobry z języków i przedmiotów ścisłych. Gdyby chciał, mógłby mieć najlepsze stopnie.

– Naprawdę? – Cherry Butler była autentycznie zaskoczona.

– Problem polega na tym, że jest facetem, a mnie nigdy nie udało się zatrzymać przy sobie żadnego faceta. Szanowny tatuś Ansona zostawił mnie, kiedy byłam w ciąży. Nagle znikł, a potem dowiedziałam się, że był zonaty.

– To bardzo smutne...

– I nie był moją ani pierwszą życiową pomyłką, ani ostatnią... – Wypiła łyk piwa, potem dziwnie nieśmiało i jakby ze smutkiem uśmiechnęła się do Allison. – Lepiej idź już sobie, dobrze? A możesz wierzyć, skoro tak

chcesz. On potrzebuje kogoś, kto będzie w niego wierzyć.
Aja przestałam wierzyć w siebie, a co dopiero w innych...

– Kocham Ansona, proszę pani.

Cherry umknęła wzrokiem, mimo to Allison zdołała dostrzec w jej oczach łzy, jednak po chwili Cherry zartobliwie wycelowwała w nią butelką.

– A sio!

Allison pod wpływem impulsu wyjęła z torebki notesik, wyrwała karteczkę i zapisała numer swojego telefonu.

– Gdyby Anson znów odezwał się do pani, proszę do mnie zadzwonić! – Gdy Cherry milczała uparcie, dodała:

– Pani Butler, jeśli on zadzwoni do mnie, zawiadomię panią.

Cherry odwróciła się do niej plecami. Allison położyła karteczkę na stole i wyszła z przyczepy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przedpołudnie Charlotte i Ben spędzili osobno. Charlotte najpierw popędziła na spotkanie w klubie ogrodniczym, potem do jednej ze swoich licznych przyjaciółek, Helen Shelton, mieszkającej przy Poppy Lane. Helen, która robiła na drutach sweterek dla wnuczki, prosiła Charlotte, by wpadła do niej i spojrzała na robótkę doświadczonym okiem. Bob natomiast wybrał się na brydza w męskim gronie. Z Charlottamieli spotkać się na lunchu w Pot Belly Deli. W planach mieli oczywiście zupę, bo nigdzie nie podają tak pysznych domowych zup jak tu.

Helen stała w uchylonych drzwiach i machała, żeby Charlotte jak najszybciej wchodziła do środka. Siąpiło, a wiadomo, że na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku nikt ze stałych mieszkańców nie używa parasoli. Jeśli ktoś krył się pod nim, było oczywiste, że ma się do czynienia z turystą.

Charlotte została usadzona w salonie i poczęstowana herbatą, po czym nastąpiły oględziny sweterka, który spotkał się z pełną aprobatą. Zgodnie z poradą Charlotte, Helen robiła plecy i przód w całości, i ani zbyt ciasno, ani zbyt luźno, tylko w sam raz.

– Bo to jest podstawa, Helen. Bardzo dobrze sobie radzisz. Ruth będzie zachwycona.

– Mam nadzieję – odparła przyjaciółka, odstawiając filiżankę. – Mówiłam ci już, że Ruth się zaręczyła?

Zastanawiam się, czy nie zrobić na drutach czegoś na ślub.

Ponieważ Helen świetnie sobie radziła z dość skomplikowanym sweterkiem dla wnuczki, Charlotte pomyślała, czy nie zasugerować jej zrobienia eleganckiego płaszczyka, który po ceremonii zaślubin panna młoda

włoży na suknię. Charlotte natrafiła kiedyś na bardzo ciekawy model takiego płaszczyka jeszcze z lat siedemdziesiątych.

A może sama to zrobi dla Ruth?

– Helen, w domu przejrzę wzory i może natrafię na coś odpowiedniego.

– Dzięki. Jestem otwarta na wszystkie propozycje!

Charlotte dopiła herbatę, czule pożegnała się z przyjaciółką i wśród majowej mżawki podążyła do Pot Belly Deli. Mąż siedział już przy stoliku i uważnie studiował kartę. Na widok małżonki wstał, pocałował ją w policzek i pomógł zdjąć płaszcz. Taki właśnie był Ben. Od samego początku znajomości zachwycały ją jego nienaganne manieri. Prawdziwy dżentelmen, wobec niej dodatkowo był wyjątkowo opiekuńczy, co przekładało się na mnóstwo drobnych, ale bardzo miłych gestów. Pod tym względem Ben był bardzo podobny do pierwszego męża Charlotte, Clyde'a.

– Jak poszło spotkanie w klubie? – spytał Ben, kiedy usiedli.

– Niestety, znów wybrano mnie na prezeskę. Nikt inny nie chciał, dziś przecież każdy jest ogromnie zajęty.

– Trochę obawiała się, jak Ben to przyjmie. Działalność w klubie ogrodniczym wprawdzie nie była bardzo absorbująca, niemniej zabierała trochę czasu, który można było poświęcić mężowi. Gdy nie odpowiadał, tylko studiował kartę, spytała zaniepokojona: – Kochanie, jesteś zły?

– Zły? – Zdumiony spojrział na nią znad karty. – Gdybym należał do klubu ogrodniczego, też chciałbym, żebyś była prezeską. Jesteś znakomicie zorganizowana, praktyczna, odpowiedzialna. Lepszej prezeski nie znajdziesz.

Cały on. Zawsze potrafił powiedzieć coś takiego, że jej serce skakało z radości.

– Ben! Kocham cię nieprzytomnie!

Z uśmiechem odłożył kartę.

– Wiem, i właśnie dlatego uważam siebie za nieprawdopodobnego szczęściarza.

Oboje zamówili rosół z dzikim ryżem, a przedtem kilka pajd wspaniałego chleba prosto z pieca. Właściciel restauracji kiedyś powiedział Charlotte, że ta zakąska na zakwasie jest rodem z Alaski, a przepis powstał ponad sto lat temu. Nieważne, czy mówił prawdę, czy fantazjował, chleb był rewelacyjny.

– Kiedy jechałem tutaj, po drodze wpadłem do domu

– powiedział Ben, kiedy szykowali się do wyjścia. – Zadzwoń! Justine. Pytała, czy nie moglibyśmy wpaść do niej do banku, koniecznie przed pierwszą.

Charlotte dopiero przed paroma dniami dowiedziała się, że jej wnuczka wróciła na pół etatu do First National Bank, w którym kiedyś pracowała jako szefowa. Po wyjściu za mąż zrezygnowała z pracy. Teraz do niej wróciła, co zaniepokoiło Charlotte. Czyżby mieli problemy finansowe? Chyba jednak nie. Olivia wspominała, że dostaną spore pieniądze z ubezpieczenia. Pewnie więc Justine wróciła do pracy, bo nienawidziła bezczynności. Bank świecił pustkami, jak to zwykle w poniedziałek. Justine siedziała za biurkiem pod przeciwległą ścianą, a na ich widok zerwała się z krzesła.

– Dzień dobry. Proszę, siadajcie.

Wizytawbanku zaniepokoiła Charlotte. Wnuczka nigdy jej tu nie zapraszała. Może rzeczywiście Justine ma

problemy finansowe? Bo wcale nie jest dobrze, skoromimo uśmiechu wyraźnie umyka wzrokiem, jakby coś ją trapiło.

– Kochanie, coś się stało? – spytała Charlotte.

– Niestety, tak. Ben, złożyłeś w banku do realizacji czek na tysiąc dolarów...

– To był czek od Davida, syna Bena – wyjaśniła Charlotte, ubiegając męża.

– Ten czek nie może być zrealizowany – mówiła dalej Justine, zniżając głos – ponieważ na koncie wystawcy nie ma wystarczających środków. Bardzo mi przykro. Kiedy zobaczyłam na czeku nazwisko, zajęłam się tą sprawą.

– Szczerze mówiąc, wcale nie jestem zaskoczony

– oznajmił Ben wywazonym głosem. – Czy mógłbym ten czek dostać z powrotem?

– Oczywiście. – Podała mu go.

– Powinienem być się tego spodziewać. – Wciąż doskonale panując nad sobą, podarł czek. – David od lat ma problemy finansowe. Pożyczka ode mnie, ale nie oddaje choćby centa. Dlatego powiedziałem mu, że koniec z pożyczkami. Pamiętamy doskonale, jak próbował wyłudzić pieniądze od Charlotte, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło niż wszystkie jego dotychczasowe wyskoki.

– Ben, przecież to twój syn! – krzyknęła Charlotte.

– Owszem. Mam dwóch synów i kocham ich, ale David jest infantylny. Nigdy nie dorósł, nie wie, co to poczucie odpowiedzialności. Narozrabia, a potem zawsze tłumaczy się w ten sam sposób. Zwała winę na kogoś innego albo opowiada o chwilowych trudnościach. Próbuje wykręcić kota ogonem albo szuka połowicznych rozwiązań i w rezultacie wpada w nowe długi.

– Kiedy okazało się, że nie ma środków na koncie, zadzwoniłam do Davida Rhodesa – powiedziała Justine.

– Prosił, zebym przechowała ten czek do pierwszego i wtedy przekazała go do realizacji. Zrobiłam to...

– I pierwszego znowu na jego koncie nie było środków – dokończył za nią Ben.

– No właśnie. Dłużej nie mogłam już przechowywać tego czeku, dlatego zadzwoniłam do was.

– I bardzo dobrze – powiedział Ben. – Ale mam prośbę. Gdyby sytuacja się powtórzyła, proszę nie robić dla niego żadnych wyjątków, tylko zastosować normalne procedury, jak wobec wszystkich.

Wciąż zachowywał stoicki spokój, ale Charlotte wiedziała, że kamienna twarz to tylko pozory.

– Przykro mi, Ben – powiedziała cicho Justine.

– Bardzo przepraszam, Justine, za ten cały ambaras.

– Jesteśmy ci wdzięczni, Justine, że do nas zadzwoniłaś

– dodała Charlotte, a kiedy wyszli z banku, zaproponowała:

– Sądzę, Ben, że powinniśmy skontaktować się z twoim synem.

Mimo wszystko miała nadzieję, że David ma coś na swoje usprawiedliwienie. Bardzo chciała w to wierzyć, w przeciwnym bowiem wypadku musiałaby przyjąć tę samą postawę co Ben, czyli totalną rezygnację. A tego chciała uniknąć, bo zależało jej na dobrych relacjach z synami Bena. Po powrocie do domu Ben przeprosił ją i poszedł do sypialni. Charlotte miała ochotę pójść za nim i dodać otuchy, czuła jednak, że mąż potrzebuje chwili samotności. Udała się więc do kuchni. Kiedy tam weszła, zauważyła, że w telefonie miga światelko sygnalizujące, że ktoś nagrał się na automatyczną sekretarkę. Wiadomość była od Davida Rhodesa.

– Tato, jak wrócisz do domu, proszę, koniecznie zadzwoń do mnie.

W drzwiach kuchni pojawił się Ben.

– Ben, słyszałeś?

– Mhm...

– Zadzwonisz do niego?

– Nie, bo wiem, czego chce.

Charlotte też wiedziała. David na pewno chciał przeprosić ojca. Bo nie mógł być na tyle głupi, by prosić

o następną pożyczkę! Cała ta sprawa z czekiem na pewno była dla niego tak samo nieprzyjemna jak dla Bena.

Gdy zadzwonił telefon, Ben spojrzał na niego złym wzrokiem.

– Mam odebrać? – spytała Charlotte.

– Nie! Przecież to on! – rzucił gniewnym głosem Ben, zaraz się jednak zreflektował i czule objął żonę. – Przepraszam, kochanie, ale zrozum mnie. Mój syn chce powiedzieć mi to, co słyszałem już setki razy. Ze mu bardzo przykro. Nie wątpię, ale fakt, że mu przykro, naprawdę do niczego nie prowadzi.

– Och, Ben... – Rozumiała go doskonale. David, syn Bena, szastał pieniędzmi. Jej syn Will szastał uczuciami kobiet. Ona i Ben dźwigali ten sam krzyż.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Od Wielkanocy Linnette nie miała z Cal'em żadnego kontaktu. Nie odzywał się. Wiedziała, że jest bardzo zajęty. Kilka klaczy było żrebnych, poza tym Cal układał roczniaki. Ale ona na brak zajęcia też nie mogła narzekać. Zastępowała przecież kolezanki, które poszły na urlop, a mimo to dzwoniła do Cala, lecz nie odbierał. Dwa razy nagrała się na pocztę. I nic.

W związku z powyższym podjęła decyzję. Szczera rozmowa jest konieczna. Zamierzała otwarcie przedstawić mu wszystkie swoje argumenty przemawiające za tym, by wybił sobie z głowy ten szalony pomysł wyjazdu do Wyomingu. Teraz, kiedy terapia u logopedy okazała się tak skuteczna! Gloria również była zdania, że powinni pogadać, prosiła tylko Linnette, by zachowała zimną krew. Linnette poczuła się tym troszkę urazona, zarazem było jej jednak miło, że siostra przejmuje się jej problemami. Nie zapowiedziała swojego przyjazdu, miała bowiem nadzieję, że działając z zaskoczenia, łatwiej zdoła przekonać Cala.

Przed podjęciem decyzji o wyjeździe powinien być z nią to omówić, lecz tego nie zrobił, nie liczył się z jej uczuciami. A to bolało. Właśnie to, bo co do samego celu wyjazdu nie miała żadnych zastrzeżeń. Cel był szlachetny, koniec, kropka.

Wjechała na ranczo. Po prawej stronie drogi ciągnęło się wielkie ogrodzone pastwisko. Koni na nim było mnóstwo. Nie miała pojęcia, ile miał ich Cliff, ale co najmniej kilkadziesiąt.

Kiedy wysiadała z samochodu, ze stajni wyszedł Cliff, prowadząc osiodłanego gniadego ogiera. Cliff był trochę

starszy od rodziców Linnette. Wyglądał znakomicie. Z natury bardzo przystojny, z dnia na dzień wyglądał coraz bardziej porywająco. Związek z Grace zdecydowanie mu służył.

– Cześć, Linnette! – zawołał, podchodząc do niej.

– Witaj, Cliff. – Koń parsknął, niecierpliwie przestępował z nogi na nogę i Linnette poczuła się trochę nieswojo.

– Cal nic nie mówił, że będziemy mieli tak miłego gościa!

– On o niczym nie wie. – Linnette spojrzała w bok i dostrzegła Cala na środku padoku, na którym również był kary ogier. Cal z lassem w ręku powoli zbliżał się do konia, który stał spokojnie, ale kiedy lasso wylądowało na jego szyi, zaczął stawać dęba, przebierając w powietrzu przednimi nogami.

Wystraszona Linnette krzyknęła i zasłoniła ręką oczy.

– Spokojnie – powiedział Cliff, dotykając jej ramienia.

– To mój nowy koń, właśnie go kupiłem. Cal go układa.

Jest w tym najlepszy. Nigdy nie zrobi nic złego ani koniowi, ani sobie.

Powolutku opuściła ręce. Ogier szarpał się, wspinał, opadał, bił kopytami i znów się wspinał, ale Cal, trzymając mocno naprężony sznur, konsekwentnie podchodził coraz bliżej.

Wreszcie znalazł się tuż przy koniu.

Linnette nie wierzyła własnym oczom, bo po chwili rozszalałe zwierzę znieruchomiało. Cal głaskał lśniąca, mokrą od potu szyję, a koń nie miał nic przeciwko temu.

Cal włożył ogierowi kantar i zaprowadził do stajni, a po kilku minutach pojawił się koło Linnette i Cliffa.

– Linnette, co ty tutaj robisz? – spytał, nie okazując żadnej radości na jej widok.

– Hm... chciałam z tobą pogadać, Cal.

– No to chodźmy.

Objął ją wpół i poszli przed siebie, wzdłuż ogrodzenia padoku. Kiedy znaleźli się w sporej odległości od Cliffa, Linnette zatrzymała się nagle i wyrzuciła jednym tchem:

– Cal! Nie chcę, żebyś wyjeżdżał! Nie chcę, słyszysz?!

Zdaję sobie sprawę, że cel jest bardzo szlachetny, ale dlaczego właśnie tymusisz tam jechać? Teraz, kiedy robisz u logopedy takie postępy? Mówiłeś też, że kilka klaczy jest żrebnych i Cliff będzie ciebie bardzo potrzebował!

– Cliff zachęca mnie, żebym jechał. Logopeda też nie ma nic przeciwko temu, żebym sobie zrobił przerwę.

A ja... ja po prostu czuję, że powinienem to zrobić.

– Ale...

– To moje życie, Linnette. Ssam podejmuję decyzje!

– Po raz pierwszy się zająknął, lecz i tak zabrzmiało to bardzo stanowczo. – Mmoze e powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej...

– Więc dlaczego nie powiedziałeś?

Cal oparł się plecami o płot, zdjął kapelusz i otarł pot z czoła.

– Bo wieedziałem, że będziesz temu przeciwna. Masz jednak rację, źle, że zataiłem to przed tobą. No, ale zrozum, ten wyjazd jest dla mnie bardzo wazny. Na pewno pojedę do Wyomingu, aabsolutnie.

– Rozumiem... – Z trudem stłumiła westchnienie. Było jasne, że cokolwiek by powiedziała, Cal i tak nie ustąpi.

– Moze więc wyjaśnisz mi dokładniej, dlaczego ten wyjazd jest dla ciebie taki wazny.

– Krajowe Biuro Zarządzania Nieruchomościami wylapuje słabsze mustangi i wystawia na sprzedaz. Prawo

Stanów Zjednoczonych zezwala na to w przypadku mustangów, które przekroczyły wiek dziesięciu lat. Bardzo wiele tych pięknych, szlachetnych zwierząt idzie na rzeź. Z ich mięsa robi się karmę dla psów, sprzedaje się je też do Europy, gdzie koninę jedzą ludzie.

W sumie powiedział niewiele więcej niż w Niedzielę Wielkanocną, ale Linnette była wtedy zbyt zdenerwowana, by zastanawiać się nad treścią jego wypowiedzi. Teraz do niej dotarło. Choć z końmi miała bardzo mało do czynienia, nie mieściło jej się w głowie, że rząd pozwala na coś takiego.

– To straszne, Cal.

– Tak, straszne. Teraz rozumiesz, dlaczego ten wyjazd jest dla mnie taki ważny?

– Oczywiście! – Ale nadal trudno jej się było pogodzić z faktem, że te biedne konie ratować będzie właśnie Cal.

W oczach Linnette zakręciły się łzy. Bardzo chciała, żeby Cal teraz ją objął, powiedział jakieś czułe słowo. Ale on ani drgnął, tylko stał oparty o ogrodzenie.

– Jak długo ciebie nie będzie, Cal? – spytała, dyskretnie ocierając oczy rękawem swetra.

– Miesiąc, może sześć tygodni. Mówiłem już podczas świąt, że jadę jako wolontariusz. Będę współpracował z agencją, która zajmuje się adopcją mustangów. Będziemy wylapywać konie. Po sprawdzeniu stanu zdrowia weterynarz orzeknie, czy koń nadaje się do adopcji, czy też będzie sprzedany. Cliff i ja chcemy kupić po kilka koni, by uratować je przed śmiercią.

– Rozumiem. – Czekanie, aż Cal wykona jakiś ruch, było ponad siły Linnette, sama więc podeszła do niego

i objęła za szyję. – A co będzie z nami? – spytała łamiącym się głosem.

Pogłaskał ją po głowie. Niby z czułością, ale... ale jakoś inaczej, jakby coś między nimi się zmieniło.

Gdy na podwórze wjechał pikap, Cal opuścił ręce i odsunął się od Linnette.

– Kto to taki? – spytała.

– Weterynarz.

Z samochodu wysiadła Vicki Newman. Gdy podeszła do nich, Cal dokonał prezentacji. Vicki Newman skinęła głową i wytrzymała wzrok Linnette, która miała nadzieję, że jej oczy nie zdradzają, do jakich doszła wniosków. Ta cała Vicki to zero kobiecości. Rusza się jak kowboj, długie włosy związane z tyłu, co podkreślało ostre rysy. A ubranie? Dzinsy i stary, sprany T-shirt.

– Miło cię poznać, Linnette – powiedziała uprzejmie.

– Mnie również – odparła równie uprzejmie.

Zapadła cisza, po chwili Linnette uświadomiła sobie, że jest tutaj absolutnie zbędna. Vicki przecież na pewno nie przyjechała w celach towarzyskich.

– To ja... pojedę już do domu.

Cal odprowadził ją do samochodu, na pożegnanie pocałował w policzek. Linnette, odjeżdżając, obejrzała się raz jeszcze. Cal i Vicki, nachyleni ku sobie, rozmawiali o czymś. Na pewno o koniach. Skąd więc u Linnette ten dziwny niepokój?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Dołącz! – wołał Jack, oglądając się przez ramię na biegnącą kilka kroków za nim żonę.

Biegli po Lighthouse Road, w sobotę po południu ruch uliczny był prawie zerowy. Olivia, ciężko dysząc, zrównała się z mężem.

– Jack, błagam, zwolnij! – Nigdy by się nie spodziewała, że pewnego dnia Jack Griffin okaze się szybszy niż ona. Ale ten dzień nadszedł. Jack, dzięki codziennym treningom, zrzucił piętnaście kilo i stał się entuzjastą sportu.

– Jak daleko jeszcze? – spytała, ledwie łapiąc dech.

– Za następnym rogiem będą trzy kilometry.

Kiedy dobiegli do zakrętu, Olivia zatrzymała się i oparła o słupek.

– Uff... Już nie mogę.

Była ledwie żywa, Jack natomiast pękał z dumy.

– A może też zrzucisz kilka kilogramów? – spytał niewinnym głosem, truchtając w miejscu.

– Jack!

– Zartowałem, kochanie!

– Nie! Wcale nie zartowałeś!

Problem polegał na tym, że spokojnie mogłaby pozbyć się trzech, czterech kilogramów. Niby niewiele, tyle że w jej wieku niełatwo schudnąć. Choć naprawdę się starała. Przecież nawet rezygnowała z ciastka, kiedy w środę po aerobiku szły razem z Grace na kawę do Pancake Palace.

– Po powrocie do domu powinniśmy wziąć gorący prysznic. Razem! – oświadczył Jack, znacząco poruszając brwiami.

– Panie Griffin, jesteś pan wyuzdanym satyrem!

– Owszem, ale znam pewną ślicznotkę, której to się podoba.

Nie da się ukryć, że w Jacku Griffinie podobało jej się wszystko. Była szczęśliwa, że po blisko dwudziestu latach samotnego życia związała się z takim właśnie człowiekiem. Nie ma to jak we dwoje... Miała też wielką nadzieję, że jej córka i zięć dojdą do tego samego wniosku i przetrwają małżeński kryzys. Fatalnie, że ten Warren znów kręci się koło Justine...

Drogę powrotną do domu – trzy kilometry – pokonywali krokiem o wiele wolniejszym. W pewnym momencie Jack zagadnął:

– Olivio, wyraźnie nad czymś się zastanawiasz. Można wiedzieć nad czym?

– Justine wspomniała mi, że Warren Saget często przychodzi do niej, do banku.

– To do niego podobne... – Podobnie jak Olivia, czuł do Sageta antypatię.

Olivia nigdy nie aprobowała związku Justine z Warrenem, co fatalnie wpływało na jej relacje z córką. Ale jak Olivia miała zaaprobować Warrena, skoro był jej rówieśnikiem! Dlatego przypuszczała, że Justine szuka w Warrenie namiastki ojca, który znikł z jej życia, gdy była nastolatką.

Stan był dobrym mężem i ojcem, ale po tragicznej śmierci syna zrezygnował z obu tych ról. Po latach Olivia doszła do wniosku, że dla Stana był to jedyny sposób, by po tragedii jakoś się odnaleźć, zaistnieć w innej rzeczywistości. Po rozwodzie szybko powtórnie się ożenił. Owszem, sumiennie płacił alimenty na Justine i Jamesa, ale bezpowrotnie znikły jego związki uczuciowe z dziećmi.

– Czy Justine powiedziała, czego Saget chce od niej?
– spytał Jack.
– Mówiła tylko, że często pojawia się w banku bez konkretnego powodu. Seth chyba o tym nie wie. Nie sądzę, żeby Justine powiedziała mu o tych wizytach.
– A może powinna, żeby zapobiec ewentualnym nieporozumieniom?
– Masz rację, ale o tym to już ona decyduje.
– Warren wie, że Justine nie jest nim zainteresowana?
– Oczywiście! Przecież bardzo kocha męża i synka!
– A ja bym temu Sagetowi nie ufał. Może warto uczulić Justine, żeby trzymała się od niego z daleka. A może ten znany kombinator próbuje przez Justine zdobyć kontrakt na odbudowę restauracji?
– Wszystko jest możliwe – odparła Olivia, choć nie bardzo w to wierzyła. Warren nie musiał walczyć o kontrakty. Jego firma była w świetnej kondycji, choć zdarzały się zazalenia, a nawet sprawy sądowe. Warren kilka procesów wygrał, kilka jednak przegrał, lecz i tak prosperował znakomicie. Dlaczego więc nachodzi Justine?
Olivia wiedziała, że Warren bardzo przeżywał rozstanie z jej córką, potem ślub Justine i Seta. Ale na pewno się już z tego otrząsnął, przecież minęło pięć lat!
– Olivio – powiedział po chwili Jack – słyszałaś, że Sandy Davis wczoraj umarła?
– Mój Boże, jakie to smutne...
Sandy przez prawie trzydzieści lat była żoną szeryfa Troya Davisa. Jako młodzianka mężatka zachorowała na stwardnienie rozsiane. Olivia zawsze podziwiała, z jaką miłością i poświęceniem Troy opiekował się żoną. Rzadko rozmawiał z kimkolwiek o zdrowiu Sandy, sam radząc

sobie z trudną sytuacją. Ostatnie dwa lata kompletnie zniechęciła Sandy spędziła w domu opieki, a Troy był przy niej, gdy tylko mógł.

– Pogrzeb ma być cichy – powiedział Jack. – Pastor Flemming odprawi nabożeństwo.

– Biedny Troy... Jack, oczywiście idziemy na pogrzeb.

– Naturalnie... Aha, twoja matka razem z kilkoma innymi paniami z Klubu Seniora organizują czuwanie przy zmarłej.

Olivia mimo woli uśmiechnęła się.

– Moja kochana mama mówi, że w ten sposób zdobywa najwięcej interesujących przepisów kulinarnych.

– Niezły sposób... Panie koncentrują się na czymś przyziemnym, dzięki czemu łatwiej godzą się z tym, że kolejna z nich odeszła na zawsze.

– A od kiedy to jesteś taki mądry? – Niby podkpiwała, ale w jej słowach był szczerzy podziw. Cały Jack, zawsze potrafi rozgryźć innych.

– Od dnia, w którym zostałeś moją żoną! – odparł ze śmiechem.

– Miło słyszeć! – Ponieważ zblizali się do domu, Olivia spytała uwodzicielskim tonem: – Nadal jesteś zainteresowany prysznicem?

– Oczywiście! Ja tak łatwo zdania nie zmieniam.

– Przyśpieszył kroku.

Olivia też.

– Ścigamy się, Jack?

– Wolę oszczędzić siły na coś innego!

– Masz rację. Gdybyś był wykończony, nie tknęłabym cię nawet palcem. Pod tym prysznicem, rozumiesz?

– Tak. A ja nie mogę się doczekać, kiedy mnie tkniesz.

Tym palcem...

Rozbawiona Olivia zachichotała. Jedną z cudownych cech ich małżeństwa był śmiech. Nikt nie potrafił jej rozbawić jak Jack, który był mistrzem w dowcipach sytuacyjnych, potrafił też znakomicie naśladować innych.

– Jacku Griffinie, sama nie wiem, jak mogłam istnieć bez ciebie!

– Też nie mam bladego pojęcia... Olivio, czy zaplanowałaś coś na dzisiejszy wieczór? Mam nadzieję, że...

– Niestety, Grace i Cliff zaprosili nas na kolację.

Z

egnamy Cala, który wyjeżdża do Wyomingu.

– A czy my musimy zegnać Cala, który wyjeżdża do Wyomingu?

Olivia również ten wieczór najchętniej spędziłaby w domowych pieleszach, ale skoro przyjaciółka wzywa...

– Powiedziałam już Grace, że przyjdziemy.

W tym czasie wbiegli do domu. Olivia zatrzymała się w holu, jednak Jack biegł dalej po schodach na piętro.

– A ty dokąd?

– Odkręcić prysznic!

– A, prysznic? Już lecę za tobą!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– Obiad! – zawołała z kuchni matka.

Allison z wielką niechęcią zwlokła się z łózka. Siedziała tam, oddając się swemu podstawowemu zajęciu, czyli czekaniu na telefon od Ansona. Od pierwszego telefonu minęły prawie trzy tygodnie – i cisza. Bała się okropnie, że Anson już nigdy nie da znaku życia, dlatego modliła się bez przerwy, by w końcu zadzwonił. I żeby wreszcie znaleziono coś – cokolwiek! – co by świadczyło, że jest niewinny.

– Allison! Czekamy na ciebie!

Rodzice, gdy po raz drugi zostali małżeństwem, wprowadzili obyczaj wspólnych posiłków. Wieczorem do stołu zasiadała cała rodzina. Allison na ogół to nie przeszkadzało, czasami jednak, jak na przykład dzisiaj, chętnie stanęłaby okoniem.

Matka zaserwowała ulubione danie Eddiego, czyli spaghetti i klopsiki. Innymi słowy, uszczęśliwiła młodszego brata Allison, który jak dotąd miał tylko trzy życiowe pasje – jedzenie, gry komputerowe i koszykówkę.

Anson bardzo lubił Eddiego, kilka razy grali z sobą w kosza.

Allison odruchowo wzięła z kuchni sałatkę i postawiła ją na stole, przyniosła też z lodówki dwie butelki z sosem do sałatek. Matka podziękowała jej za pomoc miłym uśmiechem. Ojciec zabrał się do krojenia chleba, a Eddie, typowy młody samczyk, usiadł za stołem i czekał, aż zostanie obsłużony.

Po zmówieniu modlitwy zabrano się do spożywania darów bozych. Allison nałożyła sobie na talerz dużą porcję sałatki, potem spaghetti. Specjalnie, by uniknąć

komentarzy typu: „A co, nie smakuje?”. Po zniknięciu Ansona schudła parę kilogramów, ale jak można mieć apetyt, jeśli człowiek bez przerwy się zamartwia!

– Jak tam w szkole, dzieci? – spytała matka.

– Nuda. – Eddie wzruszył ramionami i dalej w zawrotnym tempie pochłaniał zawartość talerza.

– A co u ciebie, Allison?

– Wporządku. Dziś dostałam zawiadomienie, że przyjęli mnie na Uniwersytet Waszyngtoński.

– I mówisz o tym dopiero teraz?! – wykrzyknął Zach.

– Przecież wiadomo było, że mnie przyjmą, prawda?

– Machnęła lekceważąco ręką.

– Kochanie! Jestem z ciebie bardzo dumna! – zawołała rozpromieniona matka, a ojciec, podnosząc szklanę z wodą, wznosił toast: – Gratulacje, córeczko! Wypijmy za zdrowie naszej studentki in spe!

Allison nie bardzo rozumiała, po co to całe zamieszanie wokół jej osoby. Rodzice studiowali na tym samym uniwersytecie i spodziewali się, że córka pójdzie w ich ślady. Więc poszła. Namawiała też Ansona, żeby starał się o przyjęcie na ten sam uniwersytet. Był przecież taki zdolny, czego nikt oprócz niej nie dostrzegał. A on wszystko chwycił w lot. Kiedyś pomagał jej w chemii. Gdyby nie on, miałyby ogromne kłopoty z zaliczeniem tego przedmiotu.

– A ty, kochanie, jak spędziłeś dzień? – spytała Rose, zwracając się do męża.

– Po południu byłem na spotkaniu w klubie rotariańskim, siedziałem koło Setha Gundersona.

Allison natychmiast nadstawiła uszu. Przecież nawet założyła plik z informacjami na temat Gundersonów,

restauracji i pożaru. Oczywiście w porównaniu z policją jej możliwości były zerowe, ale i tak gromadziła wszystkie dane, które udało jej się zdobyć.

– Jak sobie radzą Seth i Justine? – spytała matka.

– Całkiem nieźle. Seth zajął się sprzedażą łodzi.

– Łodzi... – powtórzył Eddie. Eddie z keczupem spływającym po brodzie. – A to numer!

– Spokojnie, Seth zna się na tym – powiedział Zach.

– Zanim został restauratorem, był rybakiem.

– Aha. – Eddie znów skoncentrował się na jedzeniu.

– Seth mówił, że na pogorzeliśku znaleziono krzyż ze stopu cyny z ołowiem – mówił dalej ojciec. – Jego zdjęcie zamieszczono we wczorajszej gazecie. Seth ma nadzieję, że ktoś rozpozna, czyj to krzyż, i zgłosi się na policję.

Serce Allison na moment przestało bić. O matko!

Przecież Anson nosił taki krzyż!

– Ale... ale to przecież jeszcze o niczym nie świadczy

– wykrztusiła. – Wielu chłopaków ma takie krzyże!

Matka, ojciec i Eddie spojrzeli na nią nadzwyczaj uważnie. Allison pochyliła głowę, wracając do spożywania spaghetti. Postanowiła przy tym, że musi odszukać wczorajszą gazetę – oczywiście zrobi to bardzo dyskretnie – i przyjrzeć się temu zdjęciu. W szkole nikt nie wspomniał jej o tym zdjęciu. Wiadomo dlaczego. Bo od razu zaczęłaby się wściekać i jak zawsze bronić Ansona. Nie musiała szukać gazety. Kiedy Allison po obiedzie wróciła do swojego pokoju, niebawem zjawiała się tam jej matka z gazetą w ręku.

– Chcesz zobaczyć to zdjęcie? – spytała Rose, przysiadając obok Allison na łóżku.

Nie było sensu udawać braku zainteresowania tematem, niemniej Allison, wzruszając ramionami, mruknęła beznamiętnym tonem:

– Czemu nie.

– Anson miał taki duży krzyz, prawda? – spytała matka półgłosem.

– Ale nie taki! – gwałtownie zaprzeczyła Allison, choć jeszcze nie spojrzała na zdjęcie. – Poza tym nawet gdyby to był jego krzyz, to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Moze tak, moze nie – stwierdziła po chwili Rose.

– On tego nie zrobił, mammo!

Bez słowa wręczyła jej gazetę. Allison spojrzała na zdjęcie i zamknęła oczy, a jej serce znów przystopowało.

A matka ponownie spytała:

– Miał taki duży krzyz, prawda?

Allison, zagryzając dolną wargę, powoli pokiwała głową.

– Musisz powiedzieć szeryfowi, że rozpoznałaś ten krzyz, kochanie.

– Po... powiem...

Rose czule objęła ją ramieniem.

– Tak mi przykro, córeczko.

Allison, przetykając łzy, najpierw pokiwała głową, a potem powtórzyła swoje credo:

– To nie on, mammo. To nie Anson.

Gdy jednak matkawyszła z pokoju, przypomniała sobie to, co opowiadała jej Cherry Butler. O zabawach z zapalkami.

O tym, że mały Anson omal nie spalił domu. Potem razem z kolegami podpalił krzaki, a nie tak dawno puścił z dymem składzik z narzędziami w parku. Zdaniem Cherry kochał ogień i będzie się starał rozniecić coraz większy.

Nawet rodzona matka jest przekonana, że to Anson spalił Latarnię Morską. W rezultacie jedyną osobą na świecie, która wierzy w jego niewinność, jest Allison. Tyle że ze wszystkich informacji, które udało się jej zdobyć, wynikało niezbicie, że to Anson jest sprawcą. Po raz pierwszy przeżywała chwilę zwątpienia. Nadal bardzo chciała w niego wierzyć, nadal gorąco modliła się o jego niewinność, ale skoro wszystko świadczy przeciwko niemu...

Kiedy zadzwonił telefon, szybko chwyciła za słuchawkę, żeby uciec brata.

– Cześć, Allison! Tu Kaci. Przyjęli cię na uniwersytet?

– Tak. Dostałam zawiadomienie.

– Mnie też. Trzeba to uczcić, nie uważasz? Może gdzieś się wybierzemy?

Akurat na beztruską zabawę zupełnie nie miała ochoty.

– Bo ja wiem...

– Allison, co z tobą? Masz doła?

Kaci była jej najlepszą i najwierniejszą przyjaciółką, dlatego wobec niej mogła pozwolić sobie na szczerość.

– Anson... – szepnęła. – Och, Kaci, czy wiesz... czy wiesz... zaczynam myśleć, że on to zrobił! – Jej głos się załamał.

– Ty ryczysz? – zawołała wystraszona Kaci. – Allison, wytrzymaj! Zaraz u ciebie będę!

Zanim zdążyła zaprotestować, Kaci rozłączyła się i nie minęło dziesięć minut, kiedy rozległ się dzwonek. Allison nie pobiegła na dół, nie mogła przecież pokazać się rodzicom cała zaryczana. Kaci oczywiście знаła drogę do jej pokoju. Wpadła jak wicher, usiadła na brzegu łóżka obok przyjaciółki i zazała:

– Mów!

Allison wręczyła jej gazetę. Króciutki artykułek pod zdjęciem zdążyła już przeczytać trzy razy. Krzyż znaleziono w korytarzu, który prowadził i do biura, i do kuchni. Zapewne wpadł w szczelinę w podłodze, dlatego przetrwał pożar.

Kaci spojrzała na zdjęcie, przeczytała tych kilka zdań i odłożyła gazetę.

– Czy to krzyż Ansona? Pamiętam, że miał coś podobnego...

– Kaci... – Allison znizyła głos – ...nie mówiłam ci tego, ale kiedy Anson przyszedł do mnie w nocy, wtedy, kiedy wybuchł pożar...

– To co? – popędzała ją rozemocjonowana Kaci.

– Czuć było od niego dym.

– O matko! – Kaci zasłoniła ręką usta. – Myślisz, że to jednak on?!

– Mam kompletny mętlik w głowie! Kiedy spytałam Ansona wprost, czy podpalił restaurację, przysięgał, że to nie on, i prosił, żebym wierzyła w niego.

– A gdyby teraz prosił cię o pomoc, to co byś zrobiła?

– Sama nie wiem... – ponuro wyznała Allison. Znajomość z Ansonem była dla niej czymś nieskończenie ważnym. Przecież go kochała! Ale teraz... teraz być może nadszedł czas, by przestać oszukiwać siebie i przyjąć do wiadomości fakt, że Anson może być winny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– Chodź do babci, nie uciekaj! Ach ty niedobra wnusiu, zaraz cię capnę!

Katie, piszcząc z zachwytu, uciekała co sił przed straszną babcią, która goniła ją dookoła stołu. Maryellen patrzyła na nie z rozczuleniem. Ellen była cudowna dla dziecka, nieskończenie czuła, nieskończenie cierpliwa. Joseph też. I za to Maryellen była im nieskończenie wdzięczna.

– Skarbie, już pora się położyć! Trzeba trochę pospać!

– zawołała do córeczki.

– Zabiorę małą na górę – zaofiarował się Joe.

– Nie. Ja – oznajmiła Ellen.

Joe wybuchnął śmiechem.

– W takim razie zaprowadźmy ją tam razem.

W rezultacie cała trójka rozpoczęła wędrówkę po schodach. Maryellen wiedziała, że zanim Katie zaśnie, minie jeszcze godzina, może nawet dwie. Najpierw poprosi, żeby dziadkowie jej poczytali, potem pośpiewali, potem siamto i owamto, aż wreszcie mała księżniczka łaskawie zmruży oczy.

Maryellen rozkoszowała się miłym, spokojnym życiem, które wiodła od chwili, gdy pojawili się Joe i Ellen.

Ciąża przebiegała prawie bez żadnych komplikacji, dzięki teściom nie miała żadnych stresów. Oczywiście bardzo odczuwała brak Jona, kiedy był w pracy. Robił zdjęcia uczniom z Tacomy. Nigdy się nie skarżył, ale Maryellen doskonale wiedziała, że Jon tej pracy nienawidzi. A skoro on, to ona też.

Na szczęście był maleńki promyk nadziei. By pomóc mężowi, zaczęła surfować po internecie, co umożliwił jej pozyczony od Cliffa laptop. I już przyniosło to pewne

rezultaty. Jedna z największych licencjonowanych agencji była skłonna obejrzeć prace Jona. Jeśli spodoba ją się, fotogramy Jona pojawią się na okładkach książek, w kalendarzach i ogłoszeniach reklamowych. Minusem było to, że agencja zastrzegła sobie prawo do swobodnego wykorzystywania zdjęć, ale pieniądze mogły być z tego nieźle. A Maryellen miała już wizję, jak to jada sobie całą rodziną samochodem, a na poboczu drogi ukazują się olbrzymi billboard, a na nim zdjęcie autorstwa jej męża. Nie mówiła jeszcze o tym Jonowi, by nie robić przedwczesnych nadziei, tylko niecierpliwie czekała na odpowiedź. Bo jeśli zdjęcia Jona spodoba ją się agencji i zyskają popularność, wówczas problemy finansowe definitywnie się skończą.

Ogólny stan zdrowia Maryellen uległ znacznej poprawie. Lekarz był zadowolony z przebiegu ciąży. Maluszek wiercił się i kopał, znakiem czego czuł się świetnie. Maryellen była przeszczęśliwa, że to dziecko donosiła. Podczas ostatniej wizyty doktor DeGroot powiedział, że za trzy tygodnie, może nawet dwa, dziecko będzie już na świecie. Nie wiadomo, czy chłopczyk, czy dziewczynka, bo tak jak w przypadku Katie ani ona, ani Jon nie chcieli poznać płci swojej latorośli.

Zadzwoił telefon. Maryellen odebrała z największą szybkością, na jaką pozwalało jej ciężarne ciało. Bo może to Jon. Dzwonił do niej czasami z pracy, żeby sprawdzić, jak się czuje.

Ale to nie był Jon, tylko jedna z jej przyjaciółek, Rachel, która też zapragnęła dowiedzieć się, jak się czuje Maryellen.

- Jak się czuję? Czekaj, Rachel, niech pomyślę.
A więc... przede wszystkim czuję, że jestem w ciąży!
- Niemożliwe! Ty?! A to niespodzianka! A wiesz, zgłosił się do mnie Cliff. Chciał wiedzieć, czy nie pora znowu zająć się twoją urodą.
- Dzięki, Rachel, ale myślę, że z włosami można poczekać. – Tym bardziej że miała zamiar znowu je zapuścić. – Oczywiście zadzwonię do Cliffa i podziękuję mu za troskę.
- A jak paznokietki?
- Maryellen spojrzała na swoje ręce.
- A to już całkiem inna historia.
- Tak myślałam. Kiedy mam się zjawić?
- Rachel, naprawdę chcesz przyjechać? Taki kawał drogi? – zaprotestowała dla porządku, bo bardzo się cieszyła na spotkanie z przyjaciółką.
- Środa, o pierwszej. Odpowiada?
- Jasne! Nie mogę się doczekać. Przekazesz mi najświeższe plotki!
- Innej opcji nie ma. A jedną już ci powiem... – Rachel znizyła głos. – Słyszałaś o Teri i tym szachiście, prawda?
- O tym, że Teri pojechała do Seattle i ostrzygła Bobby’ego Polgara? Przecież wszyscy o tym trąbią!
- Tak, ale wyobraź sobie, że na tym nie koniec!
- O matko! Opowiadaj! – Maryellen aż usiadła na sofie, i to wyjątkowo szybko jak na swój stan. – Rachel, przecież do spotkania z tobą nie wytrzymam!
- Dobrze, dobrze, już mówię. Wyobraź sobie, że Bobby Polgar po turnieju przyjechał do Cedar Cove!
- Co? Był w naszym miasteczku?
- A jak! I to dwa razy. Mieszka gdzieś na wschodzie

Stanów, dokładnie nie pamiętam...

– Przecież wiadomo! W Nowym Jorku! – Maryellen nie była fanką sławnego szachisty, w ogóle ta gra była dla niej czarną magią, ale mogła zabłysnąć, ponieważ kiedyś czytała w czasopiśmie „Smithsonian” artykuł o Bobbym Polgarze i Nowy Jork utkwiał jej w pamięci, jak i sporo innych informacji. Podobno Bobby zaczął grać w szachy, gdy tylko zaczął chodzić. Kiedy miał trzy latka, wygrywał już z dorosłymi. Bardzo szybko stał się sławny. Maryellen zapamiętała zdjęcie w „Smithsonianie” przedstawiające chłopczyka za szachownicą. Malec unosił rączki w geście zwycięzcy.

– Za pierwszym razem Bobby przyjechał do Cedar Cove, żeby zapłacić Teri za strzyżenie – opowiadała dalej Rachel. – Bo w Seattle jakoś nie przyszło mu to do głowy. Teri przyjęła pieniądze. I słusznie, prawda? A potem... Uwaga! Uwaga! Wypili sobie razem po piwku! Piwo?! Maryellen jakoś nie mogła sobie wyobrazić wielkiego Bobby’ego Polgara popijającego piwo w towarzystwie

Teri Miller.

– A jak to było za drugim razem?

– Drugi raz przyjechał po tygodniu. Chyba poszli razem na obiad, ale to tylko domysły, bo Teri na ten temat milczy jak zaklęta! Wogóle zrobiła się dziwnie wyciszona, zamyślona...

– Teri?! Wyciszona? Nie wierzę!

– Tak, wyciszona. Bo wiesz... – Rachel znizyła głos do konspiracyjnego szeptu – ...moim zdaniem ona zakochała się. Och, moim zdaniem... Na pewno się zakochała.

A to już była bardzo zła wiadomość. Bobby Polgar był ostatnim człowiekiem na świecie, którego Maryellen widziała w duecie z taką kobietą jak Teri. Owszem, Teri miała mnóstwo zalet, ale... Ale Teri i jeden z największych geniuszy na świecie? Nie, to nie może się udać.

– A skoro tak mówimy o zakochiwaniu się, to jak tam między tobą a Nate'em? – spytała.

– Dobrze. Opowiem ci w środę.

– Dopiero w środę? Trudno. Nie mogę się doczekać!

Przez całe lata Maryellen była świadkiem, jak pracownice Get Nailed narzekały na brak romansów, a potem nagle jedna po drugiej zaczęły znajdować swoją miłość. Nate Olsen spodobał się Rachel już po pierwszej randce, wyznał jednak, że ma już dziewczynę. Rozczarowana Rachel starała się o nim zapomnieć, a tu raptem Nate znów pojawił się na scenie i miłość rozkwitła.

Po rozmowie z Rachel czas zaczął jakby upływać szybciej. Kiedy Katie obudziła się, Ellen przyprowadziła ją na dół, potem upiekła ciasto, oczywiście, przy „pomocy” wnuczki. Joe w tym czasie popracował w ogrodzie.

– Jon zawsze uwielbiał brownie – oznajmiła Ellen, układając kawałki ciasta czekoladowego na talerzu.

Teściowie wyszli o piątej, tuż przed powrotem Jona.

Ponieważ słońce nadal świeciło, a bzy w ogrodzie pachniały upojnie, Maryellen usiadła z Katie na tarasie.

I tam też zastał je Jon.

– Cześć, dziewczyny! – Porwał córeczkę na rękę.

Mała objęła go za szyję i dała mu buziaka.

– Katie ma dla ciebie niespodziankę w kuchni – zakomunikowała

Maryellen.

Jon pocałował żonę, pogłaskał jej imponujący brzuch i razem z Katie pomaszerował do kuchni. Po chwili do uszu Maryellen dobiegł jego radosny okrzyk:

– Ejze! Przecież to brownie!

Niebawem Jon z Katie znów pojawili się na tarasie.

Rozpromieniony Jon niósł talerz z łakociami.

– A więc moje dziewczyny upiekły mi moje ulubione ciasto! – Podał kawałek ciasta Maryellen, drugi kawałek Katie, a gdy po chwili zazały repety, skomentował ze śmiechem: – Ależ z was łakomczuchy!

– Chwileczkę! – zaprotestowała Maryellen. – A kto pozarł już trzy porcje?

– Znam takiego. – Jon rozsiadł się na lezaku, wyciągnął nogi i jedną ręką objął Maryellen. – Wiem, jak trudno ci w tej ciąży, kochanie. Tak się cieszę, że wkrótce będzie po wszystkim.

– Nie jest mi łatwo, Jon, nie ukrywam, ale pod pewnym względem jest... cudownie.

– Cudownie? A pod jakim względem?

– Bo ta ciąża znów zbliżyła nas do siebie.

– Fakt.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdecydowałabym się na odejście z galerii. Rozwazałam wszystkie za i przeciw. A potem nagle sprawa stała się jasna. Mogłam podjąć tylko jedną decyzję.

– Czuję się szczęśliwy, kiedy jesteś w domu. Z dzieckiem, a niebawem z naszą dwójką!

– Ja też, Jon. Jestem tam, gdzie chcę być. Z tobą i naszymi dziećmi.

Mała Katie przycupnęła koło nóg taty, który wziął następny kawałek brownie i oznajmił:

– Kiedy byłem w szkole, potrafiłem sam pochłonąć całe ciasto.

– Wiem. Ellen opowiadała mi o tym – powiedziała Maryellen, wściekła, że w porę nie ugryzła się w język.

Bo dobry nastrój Jona prysł jak bańka mydlana.

– To ona piekła?!

– Mhm... – z ociąganiem przyznała Maryellen.

Jon odłożył ciasto na talerz, po czym spytał cicho:

– Dlaczego to robisz?

– Niby co?

– Naprawdę nie wiesz? Bez przerwy knujecie tu z Ellen, jak mnie podejść, a wiadomo, że do serca mężczyzny najkrótsza droga przez żołądek!

– Jon, co ty wygadujesz! Przecież to zaden spisek! Po prostu Ellen upiekła ciasto!

Milczał, czyli jej nie uwierzył, aż wreszcie powiedział:

– Idę na górę zmienić ubranie. – Poszedł do domu, zabierając z sobą talerz z ciastem.

Wrócił po kilku minutach przebrany w T-shirt i dzinsy.

– Skoszę trawnik – oznajmił.

– Dobrze.

W tym momencie rozległ się rozpaczliwy krzyk Katie.

Jon pognął do kuchni, Maryellen za nim, naturalnie znacznie wolniej.

Zapłakana Katie stała koło kubła na śmieci, do którego Jon wrzucił całe ciasto.

– Skarbie, posłuchaj. Ja... – próbował jakoś jej to wytłumaczyć.

Rzuciła się na podłogę, zaczęła szlochać i kopiąc nóżkami, krzyczała histerycznie:

– Nie lubię cię! Nie lubię! Chcę do babci!

Jon spojrzał bezradnie na Maryellen, milczała jednak.

Bo co miała mu powiedzieć? Prawdę? Ze swoją bezmyślnością doprowadził dziecko do rozpacz?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Teri, która przez cały ranek zwijała się jak w ukropie, z ogromną ulgą powitała chwilę przerwy. Następna klientka miała pojawić się za jakiś czas, Teri mogła więc wreszcie rozsiaść się na krześle i podjeść gorących, nieprawdopodobnie słonych frytek, popijając dietetyczną colą. Frytki zawsze działały na nią kojąco, nie chciała być jednak tak do końca rozpustna, stąd dietetyczny napój, bo w ogólnym rozrachunku obniżał ilość kalorii.

Rachel, też chwilowo wolna, przysiadła na krzeselku obok i spytała prosto z mostu:

– Co z tobą? Przez cały ranek milczysz, a to zupełnie nie w twoim stylu.

Teri wzruszyła ramionami. Owszem, od kilku dni dręczyła ją chandra, ale nie miała zamiaru z nikim tego roztrząsać. A naprawdę było z nią kiepsko, od tamtego dnia począwszy, kiedy do Cedar Cove wjechała limuzyna z Bobbym Polgarem w środku. I kierowcą Jamesem, jako że Bobby na pewno nie nauczył się prowadzić samochodu. Kiedy minął tydzień, limuzyna ponownie pojawiła się w Cedar Cove i od tej chwili Teri nie mogła przestać myśleć o Bobbym Polgarze, tym bardziej że Bobby zaczął do niej wydzwaniać, i to codziennie.

– Chodzi o Bobby’ego? – spytała Rachel konspiracyjnym szeptem.

Teri omal nie upuściła na podłogę butelki z colą.

– Skąd wiesz?

– Bo znam cię nie od dziś i jeszcze nigdy nie widziałam ciebie takiej przygaszonej.

– Rachel, on dzwoni do mnie co wieczór.

Zawsze o siódmej według czasu obowiązującego w Cedar Cove, punktualnie co do minuty, bez względu na to, gdzie w danej chwili przebywał. A bywał tu i ówdzie, w zeszłym tygodniu na przykład w Chinach, a przedtem gdzieś w Europie, chyba w Pradze. Bobby oficjalnie mieszkał w Nowym Jorku, wyglądało jednak na to, że przebywa tam nie dłużej niż dwa, trzy miesiące w roku. Kiedy dzwonił do niej, zawsze pytał, jak minął dzień, więc opowiadała o klientkach, ile było trwałych, ile razy farbowała i strzygła. Oczywiście informowała też, co teraz czyta. Potem ona pytała, a on opowiadał. Pytała, gdzie teraz jest, a jeśli akurat był w pokoju hotelowym, prosiła, by opisał jej widok z okna. Bobby zdawał jej też krótką relację z ostatniego meczu, używając terminów, które były oddalone o całe lata świetlne od jej zdolności pojmowania.

W ręku Rachel pojawił się banan.

– Bobby ci się podoba? – spytała niby mimochodem, udając, że pochłonięta jest obdzieraniem banana ze skóry.

– Nie!

– Czyzby?

– Nie! Dalej czekam na prawdziwą miłość... – mruknęła Teri. I to była prawda. Jak dotąd nie dane jej było na nią natrafić. Zawsze porażka. Jeden z facetów wyzerował jej konto, czemu zresztą sama zawiniła, bo z własnej nieprzymuszonej woli wręczyła mu swoją kartę kredytową, podała też PIN. Ten palant potrzebował dwudziestu dolarów, a ona akurat miała trwałą i nie mogła wyjść. Więc dała mu kartę, bo, jak ludzie powiadają, głupota ludzka nie zna granic. A on podjął nie dwadzieścia dolarów, tylko maksymalną kwotę, jaką mógł wziąć

jednorazowo na kartę. A właśnie tyle wynosiły jej oszczędności. Potem był Ray. Znowu popełniła błąd, pozwalając mu wprowadzić się do siebie. Ustalili, że na krótko, dopóki Ray nie wyjdzie na prostą. Chodziło o finanse, oczywiście. Potem mieli się pobrać. Zabawne, prawda? Bo Ray po tygodniu stracił pracę i Teri musiała go utrzymywać. Udało jej się go pozbyć dopiero po sześciu miesiącach, i to dzięki energicznej pomocy zastępcy szeryfa. Jej historie z facetami były po prostu beznadziejne. Nie potrafiła ich na wstępie rozszyfrować, podobnie jak jej matka. W rezultacie w tej dziedzinie życia całkowicie straciła wiarę w siebie i kompletnie nie rozumiała, dlaczego Bobby Polgar do niej się przyczepił.

– Mówiłam mu, żeby nie dzwonił – wyznała ponurym głosem. Owszem, uwielbiała jego telefony, lecz była przy tym świadoma, że kto jak kto, ale ona, Teri Miller, pasuje do Bobby’ego jak przysłowiowy wół do karety.

– I co? Zadzwoił potem?

– Nie. – Przez dwa kolejne wieczory Teri warowała przy telefonie z wielką nadzieją, że mimo jej prośby Bobby zadzwoni. Niestety uszanował jej wolę.

– Och, Teri... Po prostu boisz się w to iść, prawda?

– Pewnie ze tak!

– A przecież to ty pierwsza mi powiedziałaś, że nie powinnam wzbraniać się przed miłością do Nate’a tylko dlatego, że jego ojciec jest kongresmanem!

– Ale ty i Nate to całkiem inna bajka. Przede wszystkim jesteś ode mnie o wiele mądrzejsza. Nie wzięłaś palanta pod swój dach, nie pozwoliłaś, by inny palant wyczyścił ci konto!

– To wcale nie znaczy, że jestem taka mądra.

– Dla mnie jesteś, Rachel. A tak w ogóle... – Teri wsadziła sobie do ust kolejną frytkę – ...nie mam pojęcia, co ten Bobby we mnie widzi.

Przecież skończyła zaledwie szkołę zawodową... co z tego, że jako prymuska? Wygląd ma raczej przeciętny, kolor włosów zależy od nastroju. Aktualnie były czarne, ale już przymierzała się do rozjaśnienia.

– A ja wiem, dlaczego spodobałaś się Bobby’emu

– stwierdziła Rachel z uśmiechem. – Dla niego jesteś jak łyk świeżego powietrza. Bo on kogoś takiego jeszcze w życiu nie spotkał!

– Co ty wygadujesz! Przede wszystkim nie mam zielonego pojęcia o szachach.

– I może dlatego jeszcze bardziej go pociągasz? U niego wszystko kręci się wokół szachów, a ty otwierasz przed nim nowy, nieznany świat. Poza tym jesteś wesoła i nadzwyczaj bezpośrednia. Traktujesz go jak normalnego faceta, czyli inaczej niż wszyscy. Tak uważam. – Rachel wstała z krzesła. – Jeśli będziesz chciała o tym pogadać, jestem do twojej dyspozycji. I proszę, nie zapominaj, co mi sama poradziłaś w sprawie Nate’a.

– Dzięki... – Teri wyrzuciła resztki frytek do kubelka na śmieci, myśląc smętnie, że tak naprawdę nie będzie już o kim rozmawiać. Bobby dwukrotnie nie zadzwonił, były więc podstawy do smutnego wniosku, że nie zadzwoni już nigdy.

Niemniej jednak tego wieczoru znów zasiadła na warcie przy telefonie, tak na wszelki wypadek, zdarza się przecież, że ktoś zmienia zdanie. Dokładnie o siódmej ktoś zadzwonił do drzwi. Zirytowana Teri chwyciła przenośną

słuchawkę i pomaszerowała do drzwi.

A za drzwiami stał James! I to z ogromnym bukietem jasnoczerwonych róż w wazonie, który pewnie wazył więcej niz chudy James.

– Dobry wieczór, panno Teri – przywitał ją zadyszczanym głosem. – Czy mogłaby pani otworzyć szerzej drzwi, zebym mógł wnieść to do środka?

Jakoś nie miała ochoty wpuszczać go do mieszkania.

Otworzyła drzwi, owszem, ale wcale nie odsunęła się na bok, tylko wetknąwszy słuchawkę pod pachę, wyciągnęła rękę i oznajmiła:

– Wezmę je.

James z wyraźną ulgą pozbył się ciężaru, a ona natychmiast pozałowała tego, co uczyniła. Wazon z kwiatami na pewno wazył ponad dwadzieścia kilo, jakoś udało jej się jednak przetransportować go do stolika, rozbryzgując wodę na wszystkie strony.

– Ile jest tych róż? – spytała, w oszołomieniu przypatrując się bukietowi.

– Sześć tuzinów.

Siedemdziesiąt dwie. Musiały kosztować majątek!

A jak dotąd zadnemu mężczyźnie nie chciało się kupić jej choć jednej...

– Mam nadzieję, ze lubi pani czekoladę – powiedział James. – Mam dla pani pięć kilo. Bobby nie wie, które pani lubi najbardziej, więc jest tam cały wybór czekolad od różnych producentów. Tych najlepszych.

– Pięć kilo?!

Jak dotąd zadnemu mężczyźnie nie przyszło do głowy kupić Teri tabliczkę czekolady, pewnie dlatego, ze kobietom z lekką nadwagą generalnie nie kupuje się słodczy...

– Tak, pięć. Mam w samochodzie, razem z perfumami.

– Perfumami?! Chwileczkę! – Teri wzięła się pod boki i wbiła wzrok w chudego Jamesa. – O co tu właściwie chodzi?!

– A więc... panno Teri... – Wyraźnie speszony zdjął czapkę kierowcy i odetchnął głęboko. – Bobby spytał się swojego kolegi, co kobiety lubią najbardziej. Kolega powiedział, że kwiaty, słodczyce, perfumy i sentymentalne pocztówki.

– A gdzie jest Bobby?!

– Też w samochodzie. Podpisuje pocztówki. Kupił ich dwanaście.

Nieskończenie długa limuzyna stała na parkingu zarezerwowanym

dla mieszkańców domu, w którym mieszkała

Teri. Kilku sąsiadów wyszło już na dwór, żeby się na nią pogapić. Sąsiedzi Teri nie byli przyzwyczajeni do widoku samochodów, które wymagają kierowcy w mundurze.

Teri przemaszerowała obok sąsiadów, otworzyła drzwi i nie czekając na zaproszenie, wsiadła do samochodu, w którym faktycznie siedział Bobby Polgar z długopisem w rękę. Obok niego był stos pudełek z czekoladami, stos pudełek z drogimi perfumami i stosik zaklejonych kopert.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała Teri, siadając naprzeciwko niego. Starła się bardzo, żeby zabrzmiało to surowo i zasadniczo, chociaż czuła oczywiście, jak zaczyna rozpierać ją radość.

– Prosiłaś, żebym już nie dzwonił – odparł Bobby, spoglądając na nią zza szkieł w ciemnych oprawkach.

– Więc nie dzwoniłem.

– Ale...

– Przyjechałbym wcześniej, dwa dni temu, ale byłem w trakcie turnieju.

Czy na kogoś takiego można się złościć?

– A po co tu przyjechałeś, Bobby?

– Bo... bo... bo trzeba ostrzyc!

– Wtym celu nie musisz lecieć dookoła świata! Dobrą fryzjerkę znajdziesz wszędzie.

– Ale ja nie chcę, żeby strzygł mnie ktoś inny.

– Bobby, dlaczego te róże? Czekolady? I perfumy?

Wiedziała już od Jamesa, skąd ten wybór. Bobby zasięgnął porady. Ale dlaczego poczuł potrzebę wręczenia tego wszystkiego właśnie mnie? – zachodziła w głowę.

Bobby poruszył się niespokojnie. Wzrok miał spłoszony, wyraźnie unikał spojrzenia Teri.

– Nie wiem, co ja takiego zrobiłem, że zakazałaś mi dzwonić do siebie. Tak lubię z tobą rozmawiać. Nie mogłem się doczekać, kiedy znów cię usłyszę.

– Ja... też.

– Ty też? – Bobby zmarszczył brwi. – To dlaczego kazałaś mi przestać?

Teri milczała. Jeśli sam do tego nie dojdzie, to trudno.

Na pewno mu tego nie będzie wyjaśniać.

– Eksperci obliczyli, że mam w pamięci ponad sto tysięcy konfiguracji szachowych. Patrzę na szachownicę i w ciągu kilku sekund wiem, jaki zrobić ruch, żeby pokonać przeciwnika. Znam się na szachach, ale na kobietach się nie znam. Chciałbym poznać cię bliżej, Teri. Podobasz mi się.

– Ty też mi się podobasz. Szczerze mówiąc, bardzo.

I tego właśnie się boję.

– Dlaczego?

Mogłaby powiedzieć mu prawdę, ale...

– Nie dorównuję ci inteligencją.

– Wcale tak nie uważam. – Wzruszył ramionami.

– A nawet gdyby tak było, to nie szkodzi. Podobno jestem bardzo inteligentny, więc wystarczy tej inteligencji dla nas dwojga. Podobają ci się róże?

– Są piękne.

– Czy mogę cię pocałować?

Teri zaśmiała się, pewna, że to żart, zaraz jednak dotarło do niej, że Bobby mówił serio. Był śmiertelnie poważny, wpatrywał się w nią z wielkim napięciem.

O matko! On naprawdę czekał na ten pocałunek!

Bobby wyciągnął do niej rękę, Teri podała mu swoją i zaczęła przemieszczać się na drugą stronę, żeby usiąść koło niego, co było niemożliwe z powodu tych wszystkich pudełek i pudełeczek. Dlatego nie miała wyboru, usiadła Bobby'emu na kolanach, objęła go za szyję i zdjęła mu z nosa okulary, złożyła je i wsunęła do kieszonki w jego marynarce.

A potem uśmiechnęła się zachęcająco.

Pocałunek był bardzo delikatny i nieśmiały. Bobby może i znał tysiące kombinacji szachowych, ale akurat w tej dziedzinie... Umysł Bobby'ego może i wystarczał dla dwóch osób, ale Teri miała też coś, co się liczyło.

Doświadczenie.

Dlatego przejęła pałeczkę. Po dwóch następnych pocałunkach Bobby odchrząknął, po czym wyszeptał:

– Bardzo mi się podobało. – Wyraźnie miał problem z mówieniem.

– Mnie też. Mam cię teraz ostrzec?

Bobby znów odchrząknął i skinął głową.

Kiedy Teri wysiadła z limuzyny, zauważyła, że większość sąsiadów wróciła już do siebie. Kilka osób jednak zostało, dlatego zmówiła w duchu krótką modlitwę, dziękując za przydymione szyby w samochodzie.

Bobby kazał Jamesowi wrócić za parę godzin, wysiadł i podążył za Teri do jej mieszkania. Gdyby wiedziała, że będzie miała takiego gościa, na pewno wszystko byłoby na błysk, a tak... Jednak Bobby raczej nie zauważył, że dla Marthy Stewart Teri nie jest żadną konkurencją. Bo patrzył tylko na nią, bo śledził każdy jej ruch.

– Przepraszam, coś się stało? – spytała trochę speszona.

– Nie, nic. Po prostu coś się w tobie zmieniło, tylko nie wiem co.

– Ufarbowałam się na czarno.

Wysunęła krzesło z kuchni i wskazała na nie. Gdy Bobby usiadł, zarzuciła mu na ramiona pelerynkę.

– Dlaczego na czarno? Przedtem było bardzo ładnie.

– Na czarno, bo czułam się paskudnie.

Na moment znikła w sypialni, skąd wróciła z grzebieniem i nożyczkami.

Kiedy zaczęła strzyc, Bobby oznajmił:

– Chcę się z tobą ożenić.

Nic dziwnego, że Teri natychmiast opuściła ręce i odetchnęła głęboko.

– Przestań, Bobby.

– Mówię serio.

– Bobby, włosy mogę ci podciąć, ale wyjść za ciebie?

Nie, nie mogę.

– Dlaczego?

– Przecież w ogóle mnie nie znasz!

– Czy to takie ważne?

– Chyba... tak – powiedziała zszokowana, że Bobby pyta o coś tak oczywistego. – Poza tym potrzebna jest miłość.

– Emocje... – Zmarszczył brwi. – Nie jestem w tym dobry.

– Więc się postaraj, Bobby.

Po jego twarzy przemknął uśmiech.

– Będę mógł znów cię pocałować?

– Moze... – mruknęła Teri, zajęta podcinaniem z boku.

– Dziś wieczorem?

– A ile przywiozłeś tej czekolady?

– Pięć kilo. Za mało?

– Nie. W sam raz.

I żeby udowodnić mu, że ta właśnie ilość jest zadowalająca, usiadła mu na kolanach i nie wypuszczając nozyczek z rąk, objęła go za szyję. Znów rozpierała ją dzika radość.

Nie miała zamiaru tego analizować, tylko na fali owej

radości obdarowała mistrza szachowego Bobby'ego Polgara pocałunkiem, który w turnieju pocałunków niewątpliwie

zająłby pierwsze miejsce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– Justine, ktoś chce się z tobą zobaczyć – zakomunikował w piątek po południu prezes banku, Frank Chesterfield, zaglądając do skarbca, gdzie chwilowo urzędowała Justine. Zwykle pracowała w pierwszej połowie dnia, ale tego dnia szef poprosił, by została dłużej i wzięła pod lupę kilka podań o pożyczkę.

Niestety, nie zdążyła się dopytać, kto łaknie jej towarzystwa, bo Frank sobie poszedł. Pomyślała, że najprawdopodobniej to Warren Saget. Po raz kolejny wpadł do banku, żeby się z nią zobaczyć, chociaż go wcale do tego nie zachęcała. Co nie znaczyło, że czuła do niego niechęć. Przeciwnie, darzyła go sympatią, no i była mu wdzięczna za pomoc, którą okazał, gdy miała napad panicznego strachu.

Dziś jednak nie miała ochoty z nim się widzieć.

Z Sethem przeżywali trudne dni. Dochodzenie w sprawie podpalenia zostało oficjalnie zakończone i można było przystąpić do uprzątnięcia pogorzelniska. Seth był przy tym. Stał i patrzył, jak ciężarówki wywożą zwęglone resztki jego marzenia. Przeżywał to bardzo. Justine bardzo się o niego niepokoiła i wołała, by Warren teraz nie zawracał jej głowy. Bardzo kochała męża i nie miała zamiaru ryzykować rodzinnego szczęścia w imię nawet największej przyjaźni, a przecież Seth nie życzył sobie, by spotykała się z Warrenem. Ona też by sobie nie życzyła, żeby jej mąż umawiał się na lunch z byłą dziewczyną.

Jednak jej obawy okazały się płonne, jako że czekał na nią nie Warren, lecz mąż usadowiony na jej krześle za biurkiem.

– Seth!

– Cześć! – Wstał z uśmiechem. – Chciałem zrealizować czek.

– Zartujesz?

– To moja pierwsza prowizja – oznajmił z dumą. – Nie jesteś ciekawa, ile tego?

Przed dwoma tygodniami Seth dokonał pierwszej transakcji. Oczywiście udawał, że to nic takiego, ale Justine i tak wiedziała, że ma ogromną satysfakcję. Gdy podał jej czek, a ona przeczytała kwotę, aż usiadła z wrazenia.

– Seth! Tyle?

– Tak.

– Za jedną sprzedaną łódź?!

– Zgadza się.

– Jaką ty łódź sprzedałeś? Może ma na burcie nazwę Queen Mary?

– Nie, kochana zono – odparł ze śmiechem. – Sprzedałem kuter podobny do tego, jaki mieliśmy z ojcem na Alasce.

– Przecież to fura pieniędzy! – Prowizja równała się trzymiesięcznemu zyskowi z Latarni Morskiej!

Seth uśmiechnął się.

– Owszem, niemało. Larry powiedział, że podoba mu się, jak pracuję. Załatwiam wszystko w naturalny sposób, jak to określił. A ja myślę, że po prostu znam ten biznes, skoro kawał życia spędziłem na łodzi. Aha, po tej pierwszej sprzedaży dostałem dobre rekomendacje i udało mi się sprzedać jeszcze dwie łodzie.

– Nie mów! Seth, jak się cieszę! – Pieniądze były w tym momencie sprawą drugorzędną, dla Justine najważniejszy był ten błysk w oku męża.

– Odebrałem już Leifa i zawiozłem go do moich rodziców.

Synka czekały dziś urodziny kolegi, mieli więc czas dla siebie.

– To dobrze.

– A my oblejemy mój maleński sukces w którejś z knajpek w Silverdale, tym centrum handlowym. Jay i Lana dołączą do nas. Co ty na to?

Jay i Lana byli ich dobrymi znajomymi jeszcze z czasów szkolnych. Prowadząc restaurację, Seth i Justine nie mieli czasu na życie towarzyskie i rzadko widywali się z przyjaciółmi.

– A po kolacji – ciągnął – mam dla ciebie małą niespodziankę.

– O! W takim razie... – Justine spojrzała na zegarek. Miała zamiar wyjść o szóstej, ale może...

– Może już wyjdiesz z mężem? – wtrącił Frank, pojawiając się koło jej biurka. – Nie mam nic przeciwko temu.

– Dziękuję, szefie! – Justine wyjęła z szuflady torebkę.

– Seth, może podjadę do domu, przebiorę się i spotkamy się w Silverdale?

– Nie. Jedziemy razem moim wozem.

– A co z moim?

– Jest już w domu.

Jakim cudem? Przecież przyjechała nim rano i zaparkowała na samym końcu parkingu, gdzie były wyznaczone miejsca dla pracowników banku.

– Byłem tu już wcześniej. Podjechałem razem z Jayem.

Odprowadziłem twój wóz do domu, Jay pojechał moim. A teraz wróciłem. Taka to była akcja! Aha,

przywiozłem ci też coś do przebrania. Chodź.

Wyszli z banku i ruszyli do samochodu.

– Seth, dziękuję, że przywiozłeś mi ubranie. Tylko gdzie się przebiorę? W toalecie na stacji benzynowej? Najlepiej będzie, jak wrócę do banku i tam się przebiorę.

– Nie, kochanie. Po drodze wpadniemy do hotelu.

– Do hotelu?!

– Mamy zarezerwowany pokój na jedną noc.

– Co?! Seth, uszczyplij mnie, bo chyba śnię!

– Po co szczyplić? – Objął ją. – Nie lepiej pocałować?

Była to propozycja nie do odrzucenia, czyli wspólny wieczór zaczął się sympatycznie, a dalszy ciąg był cudowny.

Najpierw kolacja ze wspaniałym winem, potem cała czwórka przemieściła się do hotelu, gdzie rozsiedli się w eleganckim westybulu i popijając drinki, słuchali trzyosobowej

kapeli. Najpierw tylko słuchali, potem potańczyli.

O północy Jay i Lana popędzili do domu, żeby zwolnić opiekunkę, a zaraz potem Seth zaczął demonstracyjnie ziewać.

– Dobrze, dobrze, załapałam. – Justine podniosła się z fotela.

Seth z fotela się zerwał, złapał żonę za rękę i pognali do windy, gdzie obsypywał pocałunkami szyję Justine. Kiedy drzwi rozsunęły się, porwał żonę na ręce i poniósł długim korytarzem.

Az weszli do pokoju. Seth nie zawracał sobie głowy zapalaniem światła, tylko porwał Justine w objęcia i nastąpiła cała seria zachłannych, gorących pocałunków.

– Och, Seth... – szeptała Justine. – Tak się bałam, że cię stracę.

– Nigdy! Nigdy to się nie stanie... – Jego niecierpliwe palce walczyły z guziczkami przy jedwabnej bluzce.

– Może lepiej sama zdejmij, bo jeszcze ją porwę!
Kochali się do świtu, przespali chwilę i znów się kochali, kiedy tylko otworzyli oczy. A potem, kiedy wymęczeni w tak cudowny sposób leżeli czule objęci, Justine po raz pierwszy od tak długiego czasu poczuła błogi spokój.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W niedzielę w samo południe do Rachel przyjechał Nate. Wybierali się na piknik, dlatego Nate przywiózł z sobą lunch. Rachel, niemogąc doczekać się ukochanego, stała na chodniku przed domem kiedy tylko Nate podszedł do niej, rzuciła mu się w ramiona. Była szczęśliwa, że wreszcie mają czas dla siebie. Owszem, w ciągu ostatnich tygodni spotykali się, ale tylko na krótko. Nate był zapracowany, ona też. Niedziele i poniedziałki miała zazwyczaj wolne, ostatnio jednak zjawiała się w salonie również w poniedziałki. Gdy wśród zón marynarzy rozeszła się wieść, że Rachel zajmuje się zarówno paznokciami, jak i włosami, liczba klientek ogromnie wzrosła. Pieniądze z tego były niezłe, ale co za dużo, to niezdrowo. Dlatego koniecznie potrzebowała chwili wytchnienia.

– Dokąd chcesz pojechać, Rachel?

– Może do Point Defiance Park?

W tym urokliwym parku w Tacomie o tej porze roku, porze kwitnienia rododendronów i azalii, było wyjątkowo pięknie.

– Załatwione. – Nate pocałował ją w czubek głowy.

– Czy dziś naprawdę mam cię tylko dla siebie?

Była to aluzja do jej spotkań z małą Jolene. Nate zasadniczo na nic się nie uskarżał, ale zadowolony też nie był. Po jakimś czasie do Rachel dotarło, że Nate'owi nie chodzi o przyjaźń z dziewczynką, tylko o relacje Rachel z ojcem Jolene, Bruce'em.

– Oczywiście – odparła.

Nate rozpromienił się, pogoda też nie mogła być bardziej promienna. Niebo bez jednej chmurki, słońce w pełnej krasie, znad zatoki łagodny wietrzyk...

Jaskrawoczerwony kabriolet, czyli nowy nabytek Nate'a, dla Rachel prawdziwe чудо, ruszył sprzed domu.

Wiatr rozwiewał włosy, ale co tam fryzura! Dla Rachel najważniejsze było, że jest z Nate'em. Spędzą z sobą cały dzień!

Przewędrowali przez park, w końcu znaleźli odludne miejsce i Nate rozłożył koc. Koszyk, jak się okazało, krył smazonego kurczaka, sałatkę ziemniaczaną, bułeczki i sałatkę z surowej kapusty. Także butelkę białego wina – bardzo drogiego, tak drogiego Rachel jeszcze w życiu nie piła.

Najedli się, potem wypoczywali po jedzeniu. Nate ułożył się na plecach, opierając głowę na kolanach Rachel. Po chwili zauważyła, że powieki mu opadają. Sama też poczuła senność. Słońce grzało, wino i pełny żołądek rozleniwiały, a przede wszystkim obecność Nate'a działała kojąco...

Niestety błogi spokój zakłóciła komórka.

Nate natychmiast usiadł.

– Halo? – odezwał się oficjalnym tonem, po kilku jednak słowach jego głos złagodniał. – Wszystko jasne, mamó. W październiku organizujecie wiec, na którym ojciec będzie się produkował. Nie mogę obiecać, czy dadzą mi urlop, ale postaram się... Tak, mamó, wiem, jakie to ważne... – Nate uśmiechnął się do Rachel, pocałował swój palec i przycisnął do jej warg.

Chwyła palec wargami i zaczęła go ssać.

Nate spiorunował ją wzrokiem, lecz jego oczy się śmiały.

– Jestem z Rachel – powiedział do słuchawki. – Może się poznacie? Myślę, że już najwyższy czas.

Rachel zadrzała. Bogata i wpływowa rodzina Nate'a wzbudzała w niej lęk. Ona była z zupełnie innej bajki i ta różnica sfer społecznych była dla niej poważnym problemem. Zastanawiała się też czasami, czy Nate spotyka się z nią w odruchu buntu przeciwko ojcu kongresmanowi. Przecież by mu się postawić, wstąpił do marynarki. Nate gorąco temu zaprzeczał, wiedziała jednak, że musi być ostrożna i nie angażować się w ten związek bez reszty.

– Mamo, porozmawiaj z Rachel. – Nate podał jej telefon.

Rachel spiorunowała go wzrokiem, nie miała jednak wyboru, musiała podjąć tę rozmowę. Wykrzywiając się okropnie do Nate'a, powiedziała głosem słodziutkim jak miód:

- Dzień dobry, pani Olsen. Mówi Rachel Pendergast.
- Witaj, Rachel. Miło mi, że mam wreszcie okazję porozmawiać z tobą, chociaż tylko przez komórkę. Proszę, mówmy sobie na ty. Mam na imię Patrice.
- To miłe, dziękuję, Patrice. Również się cieszę, że mogę cię usłyszeć.
- Coś mi się wydaje, Rachel, że nasz syn jest tobą bardzo zainteresowany.
- Nate jest cudowny, Patrice! – Wymieniła z nim znaczące uśmiechy.
- Czy wiesz, że z twojego powodu zerwał z córką naszego przyjaciela?
- Tak, wspominał o tym. Mam nadzieję, że nie wpłynęło to na państwa stosunki z przyjaciółmi.
- Och nie, wszystko w porządku. – Patrice roześmiała się z przymusem. – Aha, słyszałam od Nate'a, że jesteś od niego trochę starsza.

Kwestia wieku też była powodem do dyskusji między Rachel i Nate'em.

– Tak. O pięć lat.

Podczas pierwszej randki Nate wydawał jej się strasznie młody, a ona, z trzydziestką na karku, poczuła się przy nim jak staruszka. Jednak Nate'owi udało się ją w końcu przekonać, że kilka lat różnicy nie ma znaczenia. Chociaż do dziś Rachel czasami myślała sobie, że kiedy ona kończyła szkołę średnią, Nate był dopiero w siódmej klasie.

– Pięć lat to nie tak dużo – powiedziała Patrice.

– Kiedy Nate powiedział mi o różnicy wieku, obawiałam się, że chodzi o czterdziestoletnią rozwódkę.

– Aczy Nate powiedział ci, że jestem manikiurzystką?

– Skoro mowa o konkretach, Rachel czuła się w obowiązku wspomnieć o swoim zawodzie.

– Manikiurzystką... – powtórzyła zaskoczona Patrice.

– To ty nie pracujesz w marynarce?

– Nie. W salonie fryzjerskim.

– Och... Nate nie wspominał o tym. Nasz syn lubi nas zaskakiwać. Jestem pewna, że to, co robisz, robisz znakomicie. I włosy, i... paznokcie.

– Dziękuję – rzuciła chłodno Rachel. – Może już dam Nate'a.

– Tak, proszę.

Z ulgą oddała komórkę i ruszyła przed siebie. Potrzebowała chwili samotności, żeby wyciszyć się po krótkiej, ale znamiennej rozmowie z matką Nate'a. Niestety, nietrudno było ją rozszyfrować. Chociaż Patrice Olsen nigdy nie widziała Rachel na oczy, absolutnie nie aprobowała wyboru swego jedynaka.

Usłyszała za sobą szybkie kroki.

– Rachel, stój! – zawołał Nate, łapiąc ją za ramię. – Co ci matka nagadała?

– Och, nic. Była dla mnie bardzo miła. – Tak miła, że dotąd jej się wszystko przewracało. – Och, nie... – Ukryła twarz w dłoniach. Po co jej to było, po co? Od samego początku wiedziała, że umawianie się z młodym oficerem marynarki, synem kongresmana, nie przyniesie nic dobrego. Ani jej, ani jemu.

– Rachel, proszę, powiedz.

– Twoja matka nie miała pojęcia, że jestem manikiurzystką. Myślała, że pracuję w marynarce. Wspomniała o różnicy wieku i... ach, nieważne...

– Musi cię przeprosić. Zadzwoń do niej. – Sięgnął po komórkę.

Rachel chwyciła go za rękę.

– Nie, proszę, nie! Naprawdę nic się nie stało.

– To dlaczego jesteś tak zdenerwowana?

– Nie jestem, tylko po raz kolejny uświadomiłam sobie, że ty i ja należymy do zupełnie innych światów.

– Przede wszystkim należymy do siebie, Rachel, a moi rodzice nie po raz pierwszy wtrącają się do mojego życia. Chcą mną sterować, jak zwykle, ale im na to nie pozwolę. Kocham cię, Rachel... Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Oczywiście, że słuchała, tyle że zamarła wstrząśnięta deklaracją Nate'a.

– Kocham cię – powtórzył Nate. – Mam w nosie, co myślą o tym moi rodzice. Zresztą kiedy cię poznają, od razu cię pokochają. A jeśli nie, to ich strata. W każdym razie nie pozwolę, żeby ktoś nas rozdzielił.

Bardzo chciała w to wszystko uwierzyć. W siłę jego uczucia – ich wzajemnego uczucia, przecież jej serce należało do niego. Nate pewny był swoich uczuć, to widać. Tak było teraz, ale co zdarzy się później? Przecież wiadomo, wiatr wieje raz z tej, a raz z tamtej strony... Nie, nie potrafiła wyzbyć się swoich wątpliwości.

– Rachel, proszę... – szepnął Nate, obejmując ją mocno.

– Nie wolno zawracać już przed pierwszą przeszkodą. Czy tak mało dla ciebie znaczę?

Czuła, że mięknie. Nate miał rację, nie wolno się poddawać, a już na pewno nie jego rodzicom. Trzeba wierzyć w miłość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wostatnią majową sobotę Charlotte i Ben postanowili wybrać się na targ na nabrzeżu. Charlotte bardzo lubiła tam chodzić. Zawsze odwiedzała kiosk schroniska dla zwierząt, gdzie często urzędowała znajoma wolontariuszka Grace. Lubiała też oglądać pięknie wyeksponowane kwiaty, ciekawe wypieki i wyroby rzemieślnicze. No i zrobić zakupy, mimo że o tej porze roku niewiele jeszcze było świeżych warzyw i jarzyn, chociaż zaraz po wejściu na targ czekała na nią niespodzianka.

– Spójrz, Ben, mają już młody rabarbar! – Podeszła do straganu i kupiła kilkanaście dorodnych łądyg.

– Świetnie. Teraz czekam na kruche ciasto z rabarborem – powiedział bardzo zadowolony Ben.

– Z rabarborem?! Ami wydawało się, że lubisz z brzoskwiniami.

– Z brzoskwiniami też, ale w sierpniu. Moje upodobania zmieniają się w zależności od sezonu, tak jak twoje dumne chorągwie, które wywieszasz na werandzie.

Chorągiew łopocząca na werandzie wywieszona została z okazji nadejścia wiosny.

Charlotte uśmiechnęła się do męża i wzięła go pod rękę. Jaki on kochany, ten Ben. Zawsze potrafi powiedzieć coś miłego. Złoto, nie człowiek. Który mąż tak chętnie towarzyszy żonie na zakupach? O, lista zalet Bena była wyjątkowo długa. Był przede wszystkim człowiekiem bardzo rodzinnym, przecież szczerze pokochał dzieci i wnuki swojej małżonki, a do byłej synowej, pierwszej żony Davida, dzwoni co tydzień i bardzo dba o kontakty z wnuczką.

– Co powiesz na małże? – spytała Charlotte. – Może kupić kilka na obiad?

– Świetnie. Cokolwiek z nich zrobisz, będzie mi smakowało. Kiedy ustawili się w kolejce do straganu znanego handlarza ryb, pojawił się koło nich Cliff Harding.

– Witaj, Cliff! – zawołała Charlotte, ściskając się z nim serdecznie. Był mężem Grace, najlepszej przyjaciółki Olivii, więc właściwie należał do rodziny. – Znakomicie wyglądasz! Stan małżeński wyraźnie ci służy.

– No cóż... człowiek przyzwyczaja się, że ma żonę – z uśmiechem odparł Cliff.

– Wiem coś na ten temat – mruknął Ben.

– Czy Grace jest w kiosku schroniska dla zwierząt?

– Tak. Próbuje skłonić ludzi do zaadoptowania kilku kociaków.

– Cal odzywał się? – spytał Ben.

Charlotte nadstawiła uszu. Była bardzo ciekawa, co słyhać u tego młodego człowieka. Przed jego wyjazdem do Wyomingu Cliff i Grace urządzili pożegnalne przyjęcie ze szwedzkim stołem i barbecue. Charlotte, kiedy usłyszała, że mustangi idą na rzeź, bardzo się zdenerwowała, a Cliff i Cal, włączając się w ratowanie tych koni, zyskali jej uznanie. Ona ze swej strony złożyła na ten cel hojny datek.

– Cal kontaktuje się z nami co jakiś czas – powiedział Cliff. – Współpracuje z tamtejszymi ranczerami. W Cedar Cove cała ta sprawa z mustangami wzbudziła wielkie zainteresowanie. Wkrótce do Wyomingu jedzie od nas nowy wolontariusz, właściwie wolontariuszka, Vicki Newman. Jest weterynarzem. Ktoś ją zastąpi w pracy, może więc jechać.

– Wspaniale. A kiedy Cal zamierza wracać? – Charlotte wiedziała, że ktoś bardzo za nim tęskni. Linnette

McAfee. Corrie, jej matka, wspominała o tym Charlotte, kiedy z Peggy Beldon spotkały się na lunchu.

– Tego dokładnie nie wiem – powiedział Cliff.

– W ogóle kontakty z nim są utrudnione, w niektórych rejonach Wyomingu występują problemy z zasięgiem.

– Robicie kawał dobrej roboty, Cliff – wtrącił z uśmiechem Ben. – Twój pracownik wyjechał na Dzikie Zachód, a ty płacisz mu pensję, oddałeś do dyspozycji przyczepę do transportu koni, no i zamierzasz zaadoptować kilka mustangów. Moje uznanie!

Ponieważ zaczęło padać, Cliff pożegnał się, Ben i Charlotte też pośpieszyli do domu. Po drodze Charlotte przedstawiła menu na lunch. Zupa pomidorowa – zostało trochę z wczoraj – i kanapki z serem zapiekane w tosterze. Ben nie miał żadnych zastrzeżeń.

Harry, choć kot, a czujny jak pies, czekał na nich przed domem. Pierwszy wbiegł do środka, pomknął na sofę, zwinął się w kłębek i zapadł w drzemkę.

Po rozpakowaniu zakupów Charlotte postawiła zupę na ogniu i wyjęła chleb, żeby zrobić kanapki. Kiedy zadzwonił dzwonek, Ben poszedł otworzyć, ale Charlotte, ciekawa, kto składa niezapowiedzianą wizytę w porze lunchu, wyjrzała z kuchni.

Na werandzie stał David, syn Bena.

– David! Witaj! – zawołała, zauważając jednocześnie, że Ben zachowuje się bardzo powściągliwie.

– Nie spodziewałem się ciebie – powiedział. – Wejdz. Zabrzmiało to bardzo oschle, dlatego Charlotte poczuła się w obowiązku okazać trochę serdeczności.

– Wchodź, wchodź, Davidzie! Właśnie siadamy do lunchu. Zupa pomidorowa i tosty z cheddarem. Reflektujesz?

David, jak zwykle ubrany nienagannie, minę miał jednak niepewną.

– Nie chciałbym się narzucać...

– Co ty mówisz! Będzie nam bardzo miło – powiedziała Charlotte, wychodząc z kuchni. – Powiedz, co takiego cię sprowadza do Cedar Cove.

– Przyjechałem do Seattle, załatwiam sprawy biznesowe, no i przy okazji wpadłem do was. Nie widzieliśmy się ładnych kilka miesięcy.

– I bardzo dobrze, że tak sobie pomyślałeś – zapewniała Charlotte, prowadząc go do sofy. – Proszę, siadaj. Za chwilę poproszę do stołu.

– Dziękuję, Charlotte. – Śnieżnobiałe zęby błysnęły w uśmiechu.

David Rhodes był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, niestety, błędził ten, kto okazał mu zaufanie. Charlotte zdążyła się już o tym przekonać. Był to bardzo smutny fakt, z którym należało się pogodzić. David jako syn Bena w tym domu był zawsze mile widziany.

Ben, nadal z kamienną twarzą, usiadł naprzeciwko syna.

– Bardzo cenię sobie fakt, że przekazałeś mi czek.

– Ben na moment zamilkł. Oparł się na krzesło wygodniej i skrzyżował ramiona. – Niestety, był to czek bez pokrycia.

– Nie może być! – gwałtownie zareagował David.

– Przepraszam cię, tato. Nie miałem pojęcia. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?!

Charlotte miała wielką ochotę zostać i posłuchać, o czym będzie mowa dalej, musiała jednak iść do kuchni. Szybko rozlała zupę do trzech misek, nakroiła chleba

i ułożyła na talerzyku ciasteczka z masłem orzechowym.
– Gotowe! Zapraszam! – zawołała, niosąc do jadalni dwie miseczki.

Ben poszedł do kuchni, żeby pomóc, natomiast David już ulokował się przy stole. Charlotte wróciła do kuchni po kanapki, Ben przyniósł do jadalni trzecią miseczkę i ciasteczka.

David chwycił za łyżkę, ale ojciec go przystopował.

– Najpierw odmawiamy modlitwę dziękczynną, synu.

Zmieszany David odłożył łyżkę i pochylił głowę.

Ojciec w kilku słowach podziękował Bogu za Jego dary.

Davidowi starczyło jeszcze rozsądku, by poczekać, aż

Charlotte weźmie łyżkę do ręki, nim sam to uczynił.

Gdy skończyli jeść zupełnie, David podziękował za pyszny lunch, po czym powiedział:

– Tato, wypiszę ci nowy czek.

Ben ani go do tego nie zachęcał, ani nie protestował. Po prostu milczał.

– Zostajesz w Seattle, Davidzie? – spytała Charlotte, by podtrzymać rozmowę.

– Tak, zostaję. Zatrzymałem się w jednym z hoteli w śródmieściu.

– Na jak długo?

– Jutro wyjeżdżam. Aha... Kiedy jechałem tutaj nabrzeżem, zauważyłem, że nie ma Latarni Morskiej. Co się stało?

– Pożar – poinformował go Ben. – Wygląda na podpalenie.

– Podpalenie? Tu? W Cedar Cove?! Niemożliwe!

– Wszyscy jesteśmy w szoku – przyznała Charlotte.

– Biedni Justine i Seth! Co oni przeżyli! Justine wróciła do pracy w banku, a Seth sprzedaje łódzie.

– Są jacyś podejrzani?

– Konkretnie jeden – powiedział Ben. – Anson Butler, uczeń szkoły średniej. Zaraz po pożarze znikł z miasta, a na krótko przed pożarem Seth zwolnił go z pracy.

– Wszyscy w mieście bardzo współczują Sethowi i Justine – dodała Charlotte. – Mam nadzieję, że niebawem odbudują restaurację.

– Też im bardzo współczuję – powiedział David i zabrzmiało to szczerze. – Mam nadzieję, że twojej wnuczce znów się będzie wiodło, Charlotte.

– Dzięki, też mam taką nadzieję. – Podsunęła talerzyk z ciasteczkami. – Proszę, częstuj się.

David przed wyjściem wypisał ojcu nowy czek.

– Z tym na pewno nie będzie żadnych problemów – zapewnił. – Chociaż może ze zrealizowaniem poczekać do pierwszego.

Ben w milczeniu odebrał od syna czek, schował go do kieszeni i skinął głową. Charlotte zegnała go bardziej wylewnie.

– Dziękujemy, Davidzie, żeś do nas wpadł, ale następnym razem uprzedź o wizycie, zebyśmy mogła ugotować coś porządnego!

David na pożegnanie ucałował ją w policzek. Wszyscy wyszli na werandę. Dalej siąpiło. David pobiegł do samochodu. Ben objął Charlotte ramieniem. Kiedy samochód Davida wyjechał na ulicę, wrócili do domu.

– Miło, że do nas wpadł – powiedziała Charlotte, zerkając na męża.

– Mógł się zapowiedzieć – mruknął Ben, zabierając się do sprzątnięcia ze stołu. – Szczerze mówiąc, gdyby nie przyjechał, wcale bym nie załował.

– Ben! Jak możesz coś takiego mówić o własnym

synu!

– Mówię, bo go znam. – Wzruszył bezradnie ramionami,
po czym wyjął z kieszeni czek i podał go na strzępy.

– Na pewno tak samo bez pokrycia jak ten pierwszy...

– Och, Ben... – Mocno objęła męża. – Tak mi przykro,
kochanie. Tak mi przykro...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Rano, przed uroczystym rozdaniem dyplomów, Allison pojechała do Centrum Handlowego Silverdale po sukienkę na szkolny bal. Marzyła, że pójdzie na niego w towarzystwie Ansona, niestety, wszystko wskazywało, że na marzeniach się skończy. Postanowiła jednak, że zamiast siedzieć w domu i mieć doła, zjawi się na tym balu, tyle że w towarzystwie Kaci, chociaż chciało się umówić z nią aż trzech chłopaków.

Kiedy z sukienką przerzuconą przez ramię wychodziła na parking, odezwała się komórka. Zawsze miała irracjonalną nadzieję, że dzwoni Anson, niestety więcej już nie dał znaku życia, Cherry Butler też nie miała z nim kontaktu.

– Halo? – rzuciła do telefonu, podchodząc do samochodu matki.

– Allison, możemy pogadać?

Stanęła jak wryta. Bo to był Anson!

– Tak... – zdołała wykrztusić.

– Jesteś sama?

– Tak, na parkingu koło Silverdale.

– Dobrze. Ja...

– Anson, tylko mi nie mów, gdzie jesteś, bo będę musiała to przekazać szeryfowi. Powiedz lepiej, skąd masz numer mojej komórki?

– Najpierw najważniejsza sprawa. Jutro jest szkolny bal. Masz na niego iść. Nie chcę, żebyś przeze mnie została w domu. Proszę, Allison.

Z trudem powstrzymywała łzy. Przecież te słowa to następny dowód, że Anson ją kocha!

– Idę na bal. Umówiłam się z Kaci... – Otworzyła

samochód i wsiadła, rzucając sukienkę na tylne siedzenie.

– Z Kaci? Allison...

– Przecież miałam iść z tobą! Nie wyobrazam sobie, zebym mogła tańczyć z kimś innym!

Na moment zapadła cisza, wreszcie Allison usłyszała cichy szept:

– Oddałbym wszystko, zeby być tam razem z tobą...

– Powiedz, skąd masz mój numer? – spytała ponownie, starając się zapanować nad wzruszeniem.

– Jeden z moich kumpli zadzwonił do was. Przedstawił się jako twój kolega z klasy i Eddie dał mu numer twojej komórki.

– Czy teraz będziesz mógł dzwonić do mnie częściej?

– Nie wiem... Nie wiem, czy to w ogóle dobry pomysł, zebym dzwonił do ciebie.

– Anson! Przecież muszę wiedzieć, co z tobą się dzieje!

– Ze mną wszystko w porządku, Allison. Naprawdę nie ma powodu, zeby się o mnie martwić.

– Ale ja się martwię! – Tak bardzo chciała, zeby wrócił do Cedar Cove, choć jednocześnie przerażała ją myśl, ze wtedy Ansona mogliby aresztować. Chyba ze oczyści się z zarzutów, nie była już jednak pewna, czy to w ogóle możliwe...

– Co z Latarnią Morską? – spytał Anson. – Masz jakieś nowe wiadomości? Aresztowali kogoś?

– Nie, za to na pogorzeliśku znaleziono twój krzyż, częściowo stopiony. Zdjęcie krzyża opublikowano w „Cedar Cove Chronicle”.

Anson mruknął coś, na pewno coś, co nie nadawało się do powtórzenia, natomiast Allison zebrała się w sobie

i zadała najtrudniejsze pytanie:

– Ty byłeś tam tamtej nocy, prawda? Byłeś tam?!

– Tak, ale przysięgam, że to nie ja podłożyłem ogień. Staralem się go ugasić, wtedy zgubiłem ten krzyż. Powiedz szeryfowi, żeby sprawdzili odciski palców na gaśnicy. Znajdą tam przede wszystkim moje.

– Dobrze, Anson, oczywiście powiem – zapewniła go zarliwie. Wreszcie będzie mogła coś zrobić, co pomoże udowodnić jego niewinność. – Masz jakieś domysły, kto jest podpalaczem?

– Allison, ja go widziałem. – Anson znizył głos do szeptu.

– Co? Nie mów... Kto to był?

– Nie znam go, ale widziałem go już kiedyś w restauracji. To na pewno on. Więcej ci nie powiem. Nie chcę ciebie w to wciągać.

– Anson...

– Allison, proszę tylko o jedno, żebyś wierzyła we mnie. Jeśli tak nie jest, to nie mam ci już nic do powiedzenia...

– Anson! Nie rozłączaj się! Anson! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Jestem, Allison.

– Byłam u twojej matki. Powiedziałam jej, że dzwoniłeś do mnie, a ona dała mi do przeczytania twój list.

– Czyli wiesz o tych pieniądzach... Musiałem je wziąć, nie miałem wyboru, ale oddam jej co do centa. Podejrzewam, że matka opowiadała ci, że od dziecka lubiłem patrzeć na ogień?

Allison usłyszała w tle chrząknięcia, jakby ktoś dawał Ansonowi do zrozumienia, że czas kończyć rozmowę.

– Tak, opowiedziała mi.

– A więc posłuchaj. To nie ja, kiedy byłem mały, omal nie spaliłem domu. To pijana matka zostawiła zapalonego papierosa, ale winę zwała na mnie. Z tym podpaleniem krzaków też nieprawda, zrobił to inny chłopak z sąsiedztwa. I jeszcze raz przysięgam ci, że to nie ja spaliłem Latarnię Morską.

– Wierzę ci, Anson.

– Dzięki... To dla mnie najważniejsze... –Rozłączył się. Palce Allison zacisnęły się kurczowo na telefonie, jakby chciała podtrzymać bliskość z Ansonem. Tym razem powiedział jej o wiele więcej niż podczas poprzedniej rozmowy przez telefon, niż wtedy, kiedy przyszedł do niej w nocy. O wiele więcej. A to dawało nadzieję. Kiedy jechała przez Cedar Cove, pod wpływem impulsu zatrzymała się koło First National Bank. Poprzednim razem, kiedy była w tym banku, zauważyła, że pracuje tu Justine Gunderson.

Siedziała za swoim biurkiem i rozmawiała z klientem. Allison, czekając na sposobną chwilę, traciła odwagę i była bliska rejterady, jednak wytrzymała.

– Dzień dobry! W czym mogę pani pomóc? – spytała Justine Gunderson.

Kolana ugięły się pod Allison, ale opanowała się. Usiadła na krześle przed biurkiem, wiedząc, że jeśli chce odnieść sukces, musi sprawiać wrażenie osoby dorosłej, a rozmowie powinna nadać charakter urzędowy.

Uniosła się nieco i wyciągnęła rękę.

– Dzień dobry pani. Jestem Allison Cox – przedstawiła się oficjalnym tonem.

– Justine Gunderson. – Uścisnęła jej dłoń.

– Nie wiem, czy pani sobie mnie przypomina. – Allison

kilkakrotnie widziała ją w Latarni Morskiej, nie zostały jednak sobie przedstawione.

– Przykro mi, ale nie.

– Jestem córką Zacha Coksa. A moim chłopakiem jest Anson Butler.

– Ach tak... – Oczy Justine na moment nabrały intensywniejszej barwy.

– Pani Gunderson, przed półgodziną rozmawiałam z Ansonem przez komórkę.

Justine nachyliła się ku Allison i spytała konspiracyjnym szeptem:

– Czy Anson wie, że szeryfowi zależy, by porozmawiać z nim o pożarze?

– Wie – odparła równie cicho Allison.

– Dlaczego nie chce rozmawiać z policją?

– To trudna sprawa – enigmatycznie odparła Allison.

Nie do końca rozumiała motywy Ansona i faktycznie nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Sama, nawet podejrzana, w takiej sytuacji zgłosiłaby się na posterunek. Tak w każdym razie się jej zdawało...

– Mój mąż i ja rozumiemy, jak bardzo był rozszalony, kiedy go zwolniliśmy – powiedziała Justine.

Allison nigdy nie widziała Ansona bardziej przybitego niż tamtego dnia, gdy spotkali się w centrum handlowym.

Był przekonany, że cały świat sprzysiął się przeciwko niemu.

– Tak, pani Gunderson. Był bardzo rozszalony i zły, bo to nie on ukradł te pieniądze. Anson bardzo się starał, a tyle z tego miał, że został niesłusznie oskarżony. Nawet sobie pani nie wyobraza, jak bardzo to przeżywał, jak się tym gryzł.

– Mój mąż do dziś ma z tego powodu wyrzuty sumienia
– powiedziała ze smutkiem Justine. – Nigdy przedtem
nie mieliśmy do czynienia z podobną sytuacją. Seth
bardzo polubił Ansona, zrobił go nawet pomocnikiem
kucharza...

– Wiem, wiem. Anson tak się cieszył, miał nadzieję, że
dzięki awansowi uda mu się spłacić ten składzik...

– Składzik? Jaki składzik?

Choć nie było to tajemnicą, Allison była zła na siebie.
To nie był właściwy wątek dla tej rozmowy.

– Anson płacił odszkodowanie za szkody po pożarze
w parku.

– Oczywiście, mąż mówił mi o tym. Przepraszam, ale
staram się jak najmniej pamiętać z tego, co się stało.
Domyśla się pani, że ten straszny pożar wykończył Seta
i mnie.

– Pani mąż znał przeszłość Ansona. Powiedział mu
o tym mój ojciec, mimo to pani mąż dał Ansonowi pracę.

– Pani wierzy w swojego chłopaka, prawda? – spytała
Justine, a jej głos nagle stał się dziwnie ciepły.

– Tak!

– Jeśli Anson jest niewinny, powinien wrócić do Cedar
Cove i zgłosić się na policję.

– Wiem. Będę go do tego namawiać, pani Gunderson.

– Allison wiedziała, że nie odpuści. Anson musi zrozumieć,
że ukrywając się przed władzami, nigdy nie
oczyści się z zarzutów i dla całego Cedar Cove na zawsze
pozostanie podpalaczem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Linnette czekała przy szkolnej bieżni. Gloria, entuzjastka biegania, w końcu przekonała ją, by spróbowała swoich sił w tej dziedzinie sportu. Miała przyjechać tu po zakończeniu służby. Zapowiedziała, że tego dnia nie będą szaleć, dopiero po kilku tygodniach, kiedy Linnette uzyska jako taką formę, podniosą poprzeczkę. Gloria zaparkowała obok samochodu Linnette, a gdy tylko wysiadła, zaserwowała siostrze powitalny komplement:

– Cześć! Wyglądasz super!

– Dzięki! – Linnette zrobiła efektowny obrót, żeby Gloria mogła obejrzeć jej strój do joggingu. – Ale nie mogę wyglądać inaczej, w końcu wybuliłam na to ponad sto dolców!

– Nie mów! No, trochę przesadziłaś. Równie dobrze można biegać w starych dzinsach i T-shircie.

– Ale nie ja. Podczas biegania człowiek się poci, a ja lubię zawsze wyglądać świezo.

Gloria już nie dyskutowała, tylko ruszyła przed siebie.

Linnette za nią. Lekcje w szkole skończyły się, więc bieżnia dostępna była dla wszystkich. Kilka osób biegało w kółko, kilka trenowało chód sportowy.

– Chad przesyła ci pozdrowienia – powiedziała Linnette.

Zero reakcji. Siostra szła dalej, zachowując kamienną twarz. – Hej, Glorio, masz minę pokerzysty!

– Co?

– Wspomniałam o Chadzie, a ty nic. Kiedy w końcu się przyznasz, że facet ci się podoba? A ty jemu?

– Linnette, masz zamiar biegać czy nie?!

– Oczywiście, że tak!

– No to patrz! – Gloria zademonstrowała kilka ćwiczeń

na rozgrzewkę.

Linnette powtórzyła je z zapaleni już była zachwycona.

– Super! Czuję się jak nowo narodzona!

– Spokojnie. Dopiero zaczynamy bieg. Najpierw powolutku.

Nie mam zamiaru zamordować siostry, tym bardziej że to pracownik służby zdrowia.

Ruszyły spokojnym tempem. Ku zaskoczeniu Linnette wcale nie było tak źle, oddychała prawie normalnie.

Niestety, kiedy kończyły pierwsze okrążenie, zaczęła puchnąć.

– Glorio! Ile robimy okrążeń?

– Cztery.

– Cztery?!

– Czemu nie? Jedno masz już prawie za sobą!

To nie była dobra wiadomość. W płucach zaczęło kłuć, nogi nie bardzo chciały z sobą współpracować. Całe radosne podniecenie Linnette znikło. Tragedia. Jeszcze trzy okrążenia, a ona już jest dętka. Mało tego – zaczyna się pocić! Czowała przecież, jak ciepłe struzki spływają jej po twarzy.

– Może rzeczywiście na początku lepiej biec powolutku?

– spytała błagalnie.

– Przecież to robimy! – odparła Gloria. – Praktycznie idziemy. Może pogadamy? To pomaga, bo odwraca uwagę.

– Dobrze. A o czym chcesz pogadać? Może na przykład o Chadzie?

Jednak Gloria kolejną wzmiankę o przystojnym lekarzu pominęła milczeniem, sama natomiast spytała:

– Masz jakieś wieści od Cala? Co u niego?

– Rozmawiałam z nim podczas ostatniego weekendu.

Pewnie był w klubie, bo słycać było muzykę. Beznadziejną!
I wyobraź sobie, że znowu zaczął się jąkać!

– Moze dlatego, że przerwał wizyty u logopedy.

– Moze... – Jednak Linnette uwazała, że nie na tym polega problem. Odnosiła wrazenie, że Cal chce jej coś przekazać, ale odkłada to na później. W ogóle te ich rozmowy to były zadne rozmowy. Jakby Cal nie miał ochoty z nią rozmawiać i dzwonił tylko z obowiązku. W „Cedar Cove Chronicle” pisali, że do Cala dołączyła wolontariuszka, Vicki Newman. Była weterynarzem. Linnette poznała ją na ranczu, pamiętała tez ten dziwny niepokój, kiedy widziała Cala pochylonego nad Vicki. Owszem, niepokój, choć Vicki była taka... pospolita. Głupio się tak nad kimś pastwić, ale naprawdę była wyjątkowo nieatrakcyjna. Ostre rysy, proste włosy, figura zadna, prawie jak facet. Wobec Linnette zachowywała się nawet miło, ale... pojechała do Wyomingu. A Cal wcale Linnette o tym nie uprzedzał. Podczas ich ostatniej rozmowy Linnette powiedziała mu szczerze, że nie bardzo jej się to podoba, ale Cal szybko zmienił temat.

– A jak tam z tobą i Chadem? – spytała, pragnąc oderwać się od swoich problemów. – Ja opowiadam ci o Calu, a ty o Chadzie ani słowa.

– Bo i nie ma co opowiadać – mruknęła Gloria.

– Jak to? Nie spotykasz się z nim?

– A muszę? – Gloria wzruszyła ramionami.

– No... nie – przyznała Linnette, dziwiła się jednak bardzo. Przecież nie raz była świadkiem, jak Chad i Gloria nie mogli oderwać od siebie oczu. A tu proszę...

– Wiedz, że nie podrywam Chada – powiedziała tak na wszelki wypadek, gdyby Gloria coś sobie wyobrazała i nie

chciała wchodzić siostrze w paradę.

– To po co w ogóle o nim gadamy?

– Bo wiem, co on do ciebie czuje.

Gloria wyraźnie przyśpieszyła. Linnette, ciężko dysząc, z trudem dotrzymywała jej kroku.

– Hej, zwolnij trochę!

– Nie, jeśli dalej będziesz tyle nawijać o tym całym Chadzie!

– W porządku, już nie będę. Przysięgam!

W końcu Gloria zwolniła, choć tylko trochę.

– Miało być powolutku – marudziła Linnette.

Zrobiły już dwa okrążenia, pozostały jeszcze dwa, które jawiły się Linnette jako kompletnie nieosiągalne. Była wykończona.

– Linnette, zapomniałaś? Przecież miałyśmy biegać, a nie czołgać się!

– Ty trenujesz regularnie, a ja nie! Jak często biegasz?

– Codziennie od pięciu do ośmiu kilometrów.

– Mówisz to, żeby mnie dobić?!

Gloria zaśmiała się, znów przyśpieszyła, jakby chciała pobić rekord, ale po chwili zwolniła i zawołała do Linnette:

– Hej! Czyżbyśmy wreszcie pokłóciły się jak prawdziwe siostry? – rzuciła ze śmiechem.

Niestety, na to, by jej zawtórować, Linnette nie miała już siły.

– Chyba tak... Glorio, biegnij sobie swoim tempem, a ja te dwa ostatnie okrążenia zrobię spacerkiem. Innej opcji nie ma.

– Jesteś pewna?

– Tak. W moim przypadku tylko spacerek, bo inaczej

trzeba będzie mnie cucić.

Gloria uśmiechnęła się szeroko i pognała jak strzała.

Linnette też podążyła do przodu, ale dostojnie, ze swoją prywatną prędkością.

Była sama, więc mogła swobodnie zająć się własnymi myślami. To znaczy tą jedną, najistotniejszą.

O Calu.

Cel, który mu przyświecał, kiedy jechał do Wyomingu, był niewątpliwie szlachetny, ale niezależnie od tego Cal jakoś bardzo chętnie wyjeżdżał z Cedar Cove. Mack, brat Linnette, ostrzegął ją kiedyś, że za bardzo trzęsie się nad Calem, a mężczyźni tego nie lubią. Wtedy Linnette puściła to mimo uszu, lecz teraz czuła, że warto wziąć to pod rozwagę.

Kiedy kończyła ostatnie okrążenie, ku swemu zaskoczeniu zobaczyła Chada. Stał przy płocie i gapił się, oczywiście na Glorię. Na Linnette spojrzął tylko przelotnie. Pomachała do niego, on do niej i natychmiast wrócił spojrzeniem do Glorii. Linnette zdążyła jednak zauważyć, że oczy wcale mu się nie śmiały. Były w nich melancholia, tęsknota... Tak więc patrzył na Glorię. Co działo się między nimi? Chad, choć pracowali razem i łączyły ich dobre koleżeńskie stosunki, nawet się nie zająknął na ten temat.

Z Glorii też nie udało się nic wyciągnąć. Moze więc lepiej dać im spokój i skupić się na sobie, na swoim problemie, który ma na imię Cal.

Cal i Vicki zamieszkali na ranczu Lony'ego Elisona.

Pracowali razem po dwanaście godzin na dobę, czasami nawet czternaście. I na wspólnej pracy się nie kończyło, bo Cal czuł, jak rodzą się w nim nowe

uczucia, już teraz, po dwóch tygodniach, całkiem sprecyzowane. Vicki dość często przyjeżdżała na rancho Cliffa. Wobec Cala była zawsze miła i uprzejma, ale nic poza tym. A tutaj raptem... Sam nie wiedział, kiedy to się stało, lecz stało się. Po prostu Vicki stała się dla niego bardzo ważna. Kiedy po kolacji wyszedł na dwór, zauważył Vicki koło padoku. Stała nieruchomo przy ogrodzeniu i wpatrywała się w mustangi. Było ich tam kilka, bardzo niespokojnych, bo nie przywykły do ogrodzeń. Parskały, grzebały nogami, rzucały łbami, dając wyraz wielkiemu niezadowoleniu.

Cal przez moment się wahał, ale w końcu podszedł do Vicki. Przez kilka minut po prostu stali i patrzyli na mustangi.

Do czasu.

– Nie powinnam była tu przyjeżdżać – powiedziała Vicki, nie patrząc na Cal. – To był błąd.

– Błąd? Vicki, jesteś tu niezbędna! Tyle robisz dla tych koni...

– Nie chodzi o konie... – Nadal na niego nie patrzyła. Zawsze bardzo uważał, żeby Vicki nie dotknąć, mógłby się przecież zdradzić ze sprecyzowanymi już uczuciami, tym razem jednak nie potrafił się powstrzymać.

Ostrożnie położył rękę na jej ramieniu. Vicki drgnęła, na moment zamknęła oczy.

– Wyjeżdżam, Cal, jeszcze dziś.

– Dlaczego?

– Naprawdę niczego się nie domyślasz? – Podniosła głowę i spojrzała na niego oczyma lśniącymi od łez. – Cal, przecież kocham się w tobie. Od dwóch lat.

W pierwszej chwili замуrowało go. Ona? Vicki?

Kocha go?!

– Nnigdy mi o tym nie móówiłaś.

– A jak miałam powiedzieć? Jak? – zawołała, ocierając ręką łzy. – Zresztą zacząłeś umawiać się z Linnette.

Ona jest bardzo ładna. A ja... ja nie jestem. Jak myślisz, dlaczego na początku nie chciałam tu jechać? Bałam się, że w końcu zdradzę się ze swoimi uczuciami! I stało się! Cal odetchnął głęboko.

– Stało się jeszcze coś, Vicki. Bo ja też zakochałem się w tobie.

Nie wiedział – bo i skąd – jak Vicki zareaguje na jego deklarację, ale takiej reakcji się nie spodziewał.

Drobne pięści zabębniły o jego pierś.

– Nie wolno ci tak mówić! Słyszysz?! Nie wolno! Nie wolno ci mnie dotykać! Nie! – Jeden wyraz, jedno uderzenie.

Zaskoczony tym atakiem Cal cofnął się i odruchowo zaczął masować klatkę.

– Dlaczego, Vicki? Przecież powiedziałaś, że mnie kochasz, ja ciebie też...

– A co będzie z Linnette? Przecież ona też cię kocha!

Miała rację. Powinien postępować uczciwie. Nie wolno mu było występować z żadną deklaracją czy pocałunkami, dopóki nie załatwi sprawy z Linnette.

Problem w tym, że nie miał pojęcia, jak to zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W przedostatni dzień maja, czyli Dzień Pamięci, Cecilia wstała bardzo wcześnie, jeszcze zanim Aaron, rano zwykle bardzo głodny, otworzył oczy. Starając się nie obudzić Iana, włożyła szlafrok i zajrzała do pokoju synka. Spał głębokim zdrowym snem, więc mama miała chwilę tylko dla siebie. Chwilę ciszy i spokoju.

Cecilia przemieściła się do kuchni. Choć na zegarku w mikrofalówce była dopiero piąta, czuła się wyspana i wypoczęta, a kiedy z kubkiem gorącej kawy rozsiadła się w ulubionym fotelu w salonie, pomyślała, jak bardzo jest ze swojego życia zadowolona. Dzień Pamięci nie był już taki przytłaczający, ponieważ miała Aarona. Tego dnia co roku zawsze chodziła na cmentarz, a w jej sercu zawsze na nowo budziła się rozpacz z powodu najbardziej dotkliwej straty, jaką poniosła w swoim życiu – śmierci córeczki Allison. Jej ręce, jej serce tęskniły rozpaczliwie za maleństwem, które tylko na chwilę zagościło w jej ramionach.

Mały Aaron nigdy nie zastąpi Allison, choć oczywiście kochała go bezgranicznie. Synek sprawił, że ból po stracie Allison nie był już taki rozdzierający.

Ian swego pierwszego dziecka nigdy nie widział.

W chwili narodzin Allison łódź Iana była pod czapą lodową gdzieś za kręgiem polarnym, dlatego dopiero po powrocie dowiedział się, że jego córka przyszła na świat i zaraz potem umarła. Bardzo to przeżywał.

– Cecilio...

W drzwiach stał Ian. Był zaspany, rozczochrany i półnagi, tylko w spodniach od pizamy.

– Co tak wcześnie wstałaś?

– Obudziłam się, poranek taki piękny, więc nie chciałam

wylegiwać się w łóżku.

Po powrocie z cmentarza zamierzała popracować w ogrodzie. Sporo już w nim zrobiła, miała nadzieję, że pod jej troskliwą opieką róże i byliny będą pięknie rosły, a państwo Hardingowie, jeśli tu zajrzą, wyrażą swoją aprobatę.

– Cecilio, jest dopiero piąta.

– Wiem. Dlaczego więc nie wracasz do łóżka?

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście! – Gdy spojrział na nią z niedowierzaniem, dodała z uśmiechem: – Czuję się wspaniale, bo jestem szczęśliwa, Ian. Kocham ciebie i nasze maleństwa. Aaron rośnie jak na drożdżach. Mieszkamy w pięknym domu. Moje życie nie mogłoby być lepsze.

– Maleństwa...

– Tak. Maleństwa – powtórzyła Cecilia odrobinę głośniej. Mała Allison przecież nadal żyła w jej sercu.

– Dziś jedziemy na cmentarz?

– Oczywiście. Kwiaty już kupiłam. Nie wyobrazam sobie, żebyśmy mogli tam się nie pojawić.

– Ani ja. – Ian wszedł do salonu i usiadł na wyściełanym stołku koło fotela, który zajęła Cecilia.

Położyła dłoń na nagich plecach męża i pocałowała go w ramię, Ian jednak milczał, wpatrując się w podłogę.

– Ian, coś się stało? – Odpowiedziała jej cisza. – Ian?

– Przenieśli nas do innej bazy.

Z największym trudem stłumiła w sobie słowa protestu.

Ian przed ślubem uprzedzał ją, że w marynarce wojennej zwykle zmienia się bazę co cztery lata, a w Bremerton stacjonował już od sześciu lat. Te dwa dodatkowe związane były z przeniesieniem Iana, zresztą na jego prośbę,

z łodzi podwodnej na lotniskowiec.

Wiedziała więc, że kiedyś to nastąpi. Przeniesienie do innej bazy. Wiedziała, ale... ale jak to właściwie ma być? Miałyby wyjechać z Cedar Cove? Przecież tu jest jej dom! Tu poznała Iana, pokochali się i wzięli ślub. Tutaj... Była zrozpaczona. Przecież tutaj pochowana jest ich córeczka! Mają ją zostawić?

– Ciężko mi to mówić, Cecilio, dlatego odkładałem to w nieskończoność, ale wolę powiedzieć ci sam, niż miałabyś dowiedzieć się o tym od zony któregoś z oficerów. Nowa baza „George’a Washingtona” jest w San Diego.

– Czyli... pakujemy się i wyjeżdżamy? – spytała Cecilia słabym głosem.

Ian bezradnie pokiwał głową.

– Bardzo mi przykro, Cecilio.

– A co z Allison? Kto będzie chodził na jej grób? Kto będzie o niego dbał? – W jej głowie aż huczało od dalszych protestów, ale powstrzymała się. Ianowi i tak już było ciężko, a jej łzy nic tu nie pomogą.

– Cecilio, po prostu muszę wykonać rozkaz. Na szczęście mamy umowę najmu odnawianą co miesiąc. Rozmawiałem już z panią Harding. Jest rozczarowana, ale doskonale rozumie naszą sytuację.

Cecilia też rozumiała, co jednak wcale nie zmniejszyło rozpacz. Miała przecież porzucić wszystko. Córkę, którą pochowała. Pracę, która dawała tyle satysfakcji, znajomych i przyjaciół, wśród nich pewną nastolatkę, która stała się jej bardzo bliska. Zostawić ten piękny dom, który zdążyła już pokochać. Jakże ma to zrobić, jeśli jej życie jest właśnie tutaj, w Cedar Cove!

- Na pewno spodoba ci się w San Diego – powiedział cicho Ian.
- Moze... – Starła się być dzielna, lecz jej policzki były mokre od łez.
- Cecilio, w takim razie rozwiążmy to inaczej. Skoro jesteś tak bardzo przywiązana do Cedar Cove, zostań tu z Aaronem, a ja będę do was dojeżdzać. Przecież i tak przez pół roku jestem na morzu. Co ty na to? Życ osobno?! Wykluczone! Co innego, gdy Ian wypływałw morze, ale również pozostałą część roku mieliby spędzać osobno? Ona tu, on tam? Nie, tego Cecilia zupełnie sobie nie wyobrażała.
- Kochanie... – powiedziała miękko, głaszcząc go po plecach. – Bardzo nie chcę wyjeżdzać z Cedar Cove, ale nie potrafiłabym żyć z dala od ciebie. Nie, Ianie. Dziś po południu zaczynamy się pakować.
- Ian objął ją czule.
- Najpierw pojedziemy do Allison.
- Tak. Najpierw pożegnają się z córeczką...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Justine spojrzała na zegarek, zdumiona, że już południe. Ale wiadomo, czas mija jak z bicza strzelił, kiedy ma się zebranie personelu, potem jedno spotkanie za drugim, na styk.

Chwyciła torebkę i pobiegła do drzwi. Na pogorzeliisku Latarni Morskiej była umówiona z Sethem i agentem ubezpieczeniowym.

W drzwiach omal nie wpadła na mężczyznę, który zmierzał w odwrotnym kierunku, czyli wchodził do banku. Tym mężczyzną był Warren Saget.

– Justine! – Złapał ją za ramię. – Przepraszam, byłbym cię przewrócił...

– Nie, nie, przecież to ja pędzę... Przepraszam, Warrenie, okropnie się śpieszę. Jestem umówiona.

– A szkoda. Miałem nadzieję, że wybierzesz się ze mną na lunch.

– Nie mogę. Powiedziałam, muszę lecieć. Jestem już spóźniona.

– Długo będzie trwało to spotkanie? Może poczekam? Nie chciała go urazić, ale dawno już podjęła niezłomną decyzję, że lunch z Warrenem nie wchodzi w grę. Z prostego powodu – Seth sobie tego absolutnie nie życzył.

– Będę czekał w D.D.'s On The Cove – powiedział jak zwykle nieustępliwy Warren. – Mają tam wspaniałe placki z krabami, pamiętasz?

– Dobrze, dobrze – rzuciła przez ramię i pognęła przez parking do samochodu. To spotkanie było dla niej niezwykle ważne. Seth był ostatnio bardzo zajęty w pracy, nie mieli więc czasu, by spokojnie porozmawiać, co dalej

z restauracją. Justine nadal miała mieszane uczucia. Czy warto wracać do tak absorbującego zajęcia? Pożar był wielkim nieszczęściem, niezależnie jednak od tego, obecny styl życia o wiele bardziej jej odpowiadał. Sethowi świetnie szło w pracy, każda prowizja wyższa niż miesięczny zysk z restauracji. Justine doskonale rozumiała, że pięć lat ciężkiej pracy nie powinno pójść na marne, miała jednak cichą nadzieję, że Seth w końcu uzna odbudowę Latarni Morskiej za zbyt trudne przedsięwzięcie. Poza tym miała pewien pomysł, który narodził się podczas jej ostatniej wizyty u matki. Wspominała o tym Sethowi, miała jednak wrażenie, że słuchał tylko jednym uchem. Lub w ogóle nic do niego nie dotarło.

Seth i Robert Beckman, agent ubezpieczeniowy, byli już na miejscu. Justine zaparkowała wóz i szybko przeszła przez ulicę. Przywitała się, po czym Seth, obejmując żonę ramieniem, zakomunikował:

– Robert właśnie mi mówił, że przeglądał projekty architekta. Są już gotowe. Dzięki temu pożarowi, jak na ironię losu, będziemy mieli możliwość postawienia czegoś nowoczesnego.

Kiedy kupili starą knajpkę Kapitański Kambuz i przystąpili do renowacji, wkładając w to naprawdę duże pieniądze, musieli zachować stary układ pomieszczeń. Teraz, kiedy trzeba było odbudowywać od poziomu przyziemia, pojawiła się możliwość dokonania zasadniczych zmian.

– A co z moim pomysłem? – spytała Justine. – Z herbaciarnią, o której ci mówiłam?

– Atak, wspominałaś. Lokal można powiększyć o salę bankietową. Mówiłem już o tym z architektem. W tej sali,

jeśli chcesz, można zrobić herbaciarnię.

– Mój pomysł jest inny. Wolałabym zrezygnować z restauracji i zrobić tu herbaciarnię, do której będą przychodzić panie.

– Herbaciarnia dla pań? To nie wypali. Jeśli dalej ma się to wszystko kręcić, musi być restauracja. A co do sali bankietowej, to sama dobrze wiesz, że jest niezbędna.

Oczywiście, że wiedziała. Duże prywatne przyjęcia, organizowane w Latarni Morskiej, jak na przykład wesele Charlotte i Bena, czy też różne imprezy dobroczynne, odbywały się w sali restauracyjnej, w tym czasie niedostępnej dla innych gości, co siłą rzeczy odbijało się na zyskach. Milczała jednak przybita faktem, że Seth, prowadząc rozmowy z architektem i agentem ubezpieczeniowym, w ogóle nie bierze pod uwagę tego, co ona mu klaruje od ponad dwóch miesięcy.

– Justine? – odezwał się Seth, przyglądając jej się uważnie.

– Widzę, że na nic tu się nie przydam – powiedziała chłodno, demonstracyjnie spoglądając w dal. – Panowie macie wszystko pod kontrolą, a tak się składa, że znajomy zaprosił mnie na lunch. Zegnam panów.

Kiedy dochodziła już do samochodu, usłyszała za sobą mocne, szybkie kroki.

– Justine, co się dzieje?

– A to, że w ogóle mnie nie słuchasz! – krzyknęła z furją. – A ja jestem przekonana, że mój pomysł wypali!

– A ja nie mam zamiaru zaprzepaścić pięciu lat harówki!

Tu powinna być porządna restauracja, a nie jakaś

tam herbaciarnia dla znudzonych damulek! – Spojrzał na nią drwiąco. – Uważasz, że herbaciarnia wpłynie korzystnie na nasz styl życia?

– Przede wszystkim uważam, że znowu chcesz się zabijać, a ja nie. Zależy mi na naszej rodzinie, chcę, żeby nasz synek miał koło siebie rodziców, a nie dwie zabiegane osoby, które mogą mu w ciągu dnia poświęcić godzinę.

– Przesadzasz!

– Czyżby? Przecież w ciągu ostatnich kilku miesięcy spędziliśmy z sobą więcej czasu niż w ciągu tych kilku lat, kiedy prowadziliśmy restaurację.

Seth potrząsnął bezradnie głową, jakby wszystko, co mówiła, nie miało najmniejszego sensu.

– Justine, przecież to dla nas niepowtarzalna okazja.

Nie wyobrażam sobie, żebyśmy jej nie wykorzystali.

Trzeba odbudować restaurację...

– No to sobie buduj, ale sam! – krzyknęła ze złością.

– Jeśli nie wyobrażasz sobie życia bez tej restauracji!

Rób, co chcesz!

Wsiadła do samochodu i z pasją zatrzasnęła drzwi.

Cała się trzęsła. O nie, mój kochany, ze mną nie będziesz tak pogrywać, powiedziała w duchu. Wiem, że Warren nie jest twoim idolem, ale tak się składa, że teraz jego towarzystwo bardziej mi pasuje niż twoje!

Warren siedział przy stoliku koło okna. Na widok

Justine zerwał się z krzesła i rozpromieniony wyszedł jej naprzeciw.

– Justine! Jak się cieszę! – Pocałował ją w policzek i poprowadził do stolika.

Cała sala gapiła się na nich. Niestety, nie była to knajpka na uboczu, gdzie spotkali się poprzednim razem,

czyli całe miasto znów zacznie gadać o niej i Warrenie.

I dobrze!

Kiedy do stolika podeszła kelnerka, Justine przez ła maleńki szok, okazało się bowiem, że jest nią Diana, która przedtem pracowała w Latarni Morskiej. Zamieniły z sobą kilka słów, raczej chłodno, i Justine pozostawała tylko nadzieja, że Diana nie wspomni o niej i Warrenie nikomu, kto zna jej matkę. Pewnie było to głupie, ale Justine bardziej bała się reakcji matki niż Seta. Głupie, ale w jakimś sensie uzasadnione, skoro Seth demonstracyjnie się z nią nie liczył.

– Kieliszek wina? – spytał Warren, studiując kartę.

– W obecnym stanie ducha gotowa jestem wypić całą butelkę!

– W takim razie zamawiamy butelkę.

Wybrał chardonnaya – jedna butelka sześćdziesiąt dolarów.

Justine, choć nie czuła głodu, zamówiła placuszki z krabami i sałatkę.

Kelnerka przyniosła wino i rozlała do kieliszków.

Kiedy poszła sobie, Warren nachylił się ku Justine.

– Mów, co się stało.

– Och, Warrenie! Tak się zdenerwowałam!

– To widać. Ale co się stało?

– Seth chce odbudować restaurację, a ja mam inną koncepcję, tyle że kompletnie mnie ignoruje!

– Nie chcesz odbudować Latarni Morskiej? – z niedowierzaniem spytał Warren.

– Odbudowa, i owszem, ale nie restauracja! Ona nas wykańczała. Nie mieliśmy czasu dla siebie, o dziecku nie

wspominając. Absolutnie nie chcę wracać do poprzedniego trybu życia! Absolutnie!

– Przecież żyłście z tej restauracji. Nie dziwię się, że Seth chce ją odbudować.

Nie dziwi się... Czyżby matka miała rację? Justine przypomniała sobie, jak Olivia wspomniała, że Warren być może dlatego krąży wokół Justine, bo chce wydębic zlecenie na odbudowę.

– Obecnie Seth pracuje u Larry'ego Boone'a, sprzedaje łodzie i zarabia więcej, niż wyciągaliśmy z restauracji.

– Rozumiem... A mówiłaś Sethowi, jak bardzo jesteś rozczarowana, że nie bierze pod uwagę twojej koncepcji?

– Oczywiście! Dziś dałam mu to bardzo jasno do zrozumienia!

Ciekawe, czy Seth już zapomniał, jak wypruwali sobie żyły, jednocześnie głowiąc się, jak pchać interes do przodu i jeszcze z tego wyżyć! Kiedy zaczął pracować w stoczni jachtowej, po raz pierwszy po poz'arze sprawiał wrażenie zadowolonego. Zaczął świetnie zarabiać i Justine miała nadzieję, że ich życie stanie się wreszcie normalne. A tu raptem okazało się, że Seth wcale nie pozbył się swojej obsesji i koniecznie chce odbudować restaurację.

Najbardziej jednak bolał fakt, że mąż tak bardzo ją zlekceważył, z góry zakładając, że jej pomysł jest do bani. Uparł się na restaurację w nowej szacie, z tą nieszczęsną salą bankietową!

– Przykro mi, że tak się stało – powiedział Warren, spoglądając na nią ciepło. Stąd kolejny wniosek Justine.

Może matka z tymi ewentualnymi podchodami w celu zdobycia zlecenia nie ma racji. Warren po prostu ma wiele

zyczliwości i zrozumienia dla Justine, a w trudnych chwilach taki człowiek jest na wagę złota.

– Co ja mam teraz zrobić? – spytała, sącząc wino.

– Musisz z nim pogadać.

– Przecież próbowałam, i to wiele razy! Tyle że wcale mnie nie słucha!

– W takim razie... – Warren zaśmiał się. – W takim razie zrób coś, co go zmusi, że zacznie ciebie słuchać! Na przykład wprowadź się do mnie. To na pewno nim potrząśnie.

– Za... zartujesz! – Justine omal nie zakrztusiła się winem.

Warren uśmiechnął się smutno, po czym wziął ją za rękę.

– Chciałbym, ale nie, nie zartuję. Nie wyobrazasz sobie, Justine, jak mi ciebie brak. Przecież nie było nam z sobą tak źle, prawda? Byłem głupi, że pozwoliłem ci odejść.

Czując się bardzo niezręcznie, spojrzała w bok. Warren, też chyba zmieszany, puścił jej rękę.

– Przepraszam – powiedział. – Zapomnijmy o tym.

Uśmiechnęła się na znak, że już zapomniała. Na szczęście do ich stolika podeszła Diana z sałatkami.

Zaczęli jeść, Warren nalegał, żeby nie gardziła winem, jednak Justine poprzestała na jednym kieliszku. W rozmowie poruszali tematy miłe i bezpieczne. Warren wyraźnie starał się poprawić jej nastrój.

Po lunchu pojechała po Leifa. Synek miał być u kolegi o wiele dłużej, ponieważ Justine zakładała, że po powrocie ze spotkania z agentem usiądą z Sethem do stołu i spokojnie obgadają sprawę. Ponieważ okazało się to

niemożliwe, nie było sensu, by dziecko dalej było poza domem.

Zmęczony zabawą Leif trochę marudził, wreszcie zasnął. Kiedy Justine podjeżdżała pod dom, zauważyła samochód Setha. Ucieszyła się. Mąż w domu, dziecko śpi, będzie więc okazja spokojnie pogadać.

Wzięła śpiącego malucha na ręce i weszła do domu. Ledwie zdążyła przekroczyć próg, gdy nagle, jak spod ziemi, wyrósł przed nią Seth. Był strasznie wkurzony.

– Gdzie byłaś?!

Nie zareagowała, tylko zaniósła synka do pokoju

– Penny oczywiście podreptała za nią – ułożyła go w łóeczku, przykryła kocykiem, kazała Penny wyjść i sama wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Tuz za drzwiami czekał na nią Seth.

– Mówiłam przecież, że jadę na lunch ze znajomym.

– Ten znajomy to Warren Saget?!

– A nawet jeśli, to co z tego? – Wzruszyła ramionami i pomaszerowała do kuchni, gdzie na stole leżała najświeższa poczta. Zaczęła ją przeglądać i sortować, rachunki na lewo, reklamy na prawo...

– Obiecałaś, że nie będziesz się z nim spotykać!

Justine z pasją cisnęła na stół dwie ostatnie koperty.

Jedną na prawo, drugą na lewo.

– A dlaczego nie?! Warren jest moim bliskim znajomym.

Znam go od lat, lubię z nim pogadać. A wiesz dlaczego? Bo mnie słucha. Po prostu słucha, czego o tobie nie można powiedzieć!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Wylegiwanie się na wygodnym lezaku w ciepłych promieniach czerwcowego słońca, cóż to za rozkosz! Zdaniem Maryellen nie było bardziej idealnego miejsca na relaks niż taras. Jon pojechał do Parku Narodowego Olympic Rain Forest robić zdjęcia. Maryellen bała się, czy praca przy fotografowaniu uczniów nie zabije w nim artystycznej pasji, ale nie, bo tej soboty Jon, co prawda po raz pierwszy od wielu tygodni, pojechał, jak to mówił, popstrykać. Mógł to zrobić z czystym sumieniem, ponieważ domem zajęli się jego rodzice. Oczywiście tego Jon jakby nie zauważał.

Maryellen, oprócz wygrzewania się na słońcu, miała jeszcze inne zajęcie. Robiła na drutach kocyk dla maluszka, co, jej zdaniem, szło jej trochę opornie. Ale nie rezygnowała. Teraz też druty zamigotały w jej rękach, choć spojrzenie co chwilę przemykało ku ślicznej, małej dziewczynce uganiającej się po ogrodzie za motylkiem. Dziewczynka bawiła się pod czujnym okiem dziadka, babcia była w kuchni i robiła lemoniadę.

– A, tu jesteś! – powiedziała Ellen, pojawiając się na tarasie. Postawiła przed Maryellen wysoką szklanę z lemoniadą. Z lodem, cząsteczkami cytryny, nawet małą gałązeczka mięty. Ellen, cokolwiek robiła, zawsze robiła to z sercem, z wielką dbałością o szczegóły.

– Och, dziękuję!

Maryellen odłożyła na bok druty i zabrała się do pysznej lemoniady.

Ellen przysiadła na krześle i patrząc na rozbrykane dziecko, powiedziała z rozczeniem:

– Mały skarb... Nie masz pojęcia, ile radości daje nam

to maleństwo. Po prostu chce się żyć! Słyszałam mnóstwo opowieści, jak cudownie jest mieć wnuki, ale nie spodziewałam się, że aż tak!

Maryellen uśmiechnęła się.

– To jest miłość z wzajemnością. Katie was uwielbia. Czego o ojcu małej Katie nie można było powiedzieć. Jego relacje z rodzicami nie uległy żadnej zmianie. Obie strony unikały siebie nawzajem, jak dotąd nie zamieniły z sobą ani słowa.

W pewnej chwili Katie przykucnęła za kwitnącym rododendronem. Wyraźnie czekała, żeby ktoś ją tu znalazł.

– Joe, mała chce się bawić w chowanego! – zawołała Ellen i natychmiast włączając się do zabawy, zawołała jeszcze głośniej: – A gdzie to nasza kochana Katie się schowała? Gdzie ona może być?

Joseph przykucał, zaglądał pod krzaki, wstawał i osłaniając ręką oczy, rozglądał się dookoła. Oczywiście, absolutnie nie mógł znaleźć wnuczki, a zachwycona wnuczka chichotała za rododendronem.

Maluszek kopnął i przeciągnął się. Maryellen pogłaskała brzuch. Już niebawem, kochanie... Och, jak to dobrze.

Dosłownie liczyła minuty, choć doktor DeGroot wciąż powtarzał, że dla dziecka im później nastąpi poród, tym lepiej.

Ta ciąża miała dla niej specjalne znaczenie. Jedno dziecko już straciła. Poroniła i chociaż nikt jej tego nie powiedział wprost, czuła, że ma ostatnią szansę na powtórne macierzyństwo. Sytuacja była więc bardzo poważna, a pomoc rodziców Jona bezcenna. Dzięki nim Maryellen miała ciszę i spokój, Katie kolejny radosny dzień pod ich czułą opieką, a Jon mógł spokojnie pracować. Tylko

dzięki nim, ale do Jona jakoś to nie docierało. Ale nie miała zamiaru z nim o tym rozmawiać. Było to bezcelowe, Jon sam powinien przejrzeć na oczy, przestać karmić się nienawiścią i przebaczyć. Nie dlatego, że ktoś go o to prosi, lecz z własnej nieprzymuszonej woli i z potrzeby serca.

– No i gdzie ta nasza Katie? Gdzie? – pytał Joseph, rozglądając się bezradnie dookoła. Mała zanosila się od śmiechu za krzakiem, w końcu nie wytrzymała, wybiegła na trawnik i okręciła się dookoła, żeby nikt nie miał wątpliwości. A potem pobiegła w szeroko rozpostarte ramiona dziadka.

Joseph chwycił wnuczkę na ręce i zakręcił się z nią w kółko. Zapatrzona na harce dziadka z wnuczką Maryellen nie słyszała, jak pod dom zajechał samochód. Zauważyła Jona dopiero po chwili. Stał oparty o maskę i też patrzył na harce dziadka z wnuczką.

Joseph kilkakrotnie obrócił się w kółko. Kiedy zatrzymał się, Katie zarzuciła mu ręce na szyję i wycisnęła na policzku dziadka głośnego całusa. A potem zobaczyła tatę.
– Tata! Tata!

Joseph ostrożnie postawił ją na trawie. Mała natychmiast pobiegła do ojca, ojciec przykucnął i przytulił ją do siebie. Katie śmiała się, zaczęła mu coś opowiadać. Jon spojrział na Maryellen, ale gdy zauważył siedzącą obok macochę, natychmiast odwrócił głowę.

– Na nas już czas. – Ellen wzięła pustą szklanekę i poszła do kuchni.

Jon, nie wypuszczając dziecka z objęć, powoli się wyprostował, tak że stanęli naprzeciwko siebie twarzą w twarz. Ojciec i syn.

– To urocze i mądre dziecko – odezwał się po dłuższej chwili Joseph. Gdy Jon milczał, nerwowo potarł dłonie i dodał: – Wiem, że nie chcesz nas tu widzieć. Ellen i ja staramy się schodzić ci z oczu...

Mała Katie wydała z siebie pisk. Jon postawił ją na ziemi, a dziewczynka, nie zdając sobie sprawy ze skomplikowanej

sytuacji, wyciągnęła rączki do dziadka.

Joseph spojrzął na Jona. Maryellen wstrzymała oddech.

Jon nieznacznie skinął głową. Joseph wziął wnuczkę na rękę.

– Wiem, że mała nosi imię po twojej matce, Jon.

Byłaby z tego powodu bardzo szczęśliwa. – Po pomarszczonych policzkach płynęły łzy. – A ja... Jon, wiem, że nie potrafisz nam przebaczyć. Nie mam do ciebie o to żalu, bo zrobiłem coś niewybaczalnego. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zasłużyłem na twoją nienawiść.

Na tarasie pojawiła się Ellen. Kiedy zobaczyła, że Joseph rozmawia z Jonem, znieruchomiała, zasłaniając ręką usta, jakby bała się, że najmniejszy dźwięk zerwie cieniusieńką nić porozumienia między ojcem i synem.

– Chcę ci też bardzo podziękować, Jon, za ten czas, jaki razem z Ellen możemy spędzać z twoją żoną i dzieckiem. Spotkało nas wielkie szczęście.

Ostrożnie postawił Katie na ziemi. Mała, wyczuwając napięcie między dorosłymi, stała cichutko, popatrując tylko to na ojca, to na dziadka.

Jon spojrzął na Maryellen, która posłała mu drżący uśmiech i znów druty zamigotały w jej rękach. Taka nerwowa reakcja na nabrzmiałą emocjami sytuację.

– Jeszcze raz dziękuję, synu, że pozwalasz nam tu przychodzić – powiedział Joseph. – A teraz już idziemy, zostawiamy cię z twoją rodziną.

– Joe...

Nie powiedział „tato”, ale tego Maryellen nawet nie śmiała oczekiwać.

Joseph zatrzymał się.

– Maryellen i ja jesteśmy wam bardzo wdzięczni za to, co dla nas robicie. – Jon skinął głową, porwał Katie na rękę i znikł w głębi domu.

Wzruszona do łez Ellen podbiegła do Josepha. Starsi państwo uściskali się, zebrali swoje rzeczy i odjechali. Na tarasie została tylko Maryellen. Jon zwykle po pracy lubił z nią tu posiedzieć, jednak nie dziś. Podejrzewała, że poszedł z Katie do ciemni. Nie dziwiła się, rozumiała przecież doskonale, że mąż potrzebuje chwili samotności.

Po raz pierwszy od piętnastu lat zamienił z ojcem kilka słów. Dla Jona niewątpliwie było to wielkie przeżycie, dla Maryellen wielka nadzieja na nowy początek, na coś dobrego dla nich wszystkich.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nadszedł dzień rozdania dyplomów. Allison po zniknięciu Ansona była pewna, że zanim ten dzień nadejdzie, Anson wróci. Bardzo chciała w to wierzyć, jednak czas mijał nieubłaganie, aż wreszcie pomyślała, że chyba jednak nie. Anson nie wróci, a ona, jeśli dalej będzie obstawać przy swoim, przeżyje gorzkie rozczarowanie. Dwukrotnie rozmawiali przez telefon, jednak Anson nawet nie wspomniał, że wybiera się do Cedar Cove, dlatego jego powrót w celu oczyszczenia się z zarzutów wydawał się Allison coraz mniej prawdopodobny, zwłaszcza po odnalezieniu krzyża. Anson co prawda powiedział jej, że to nie on w dzieciństwie wzniecał pożary, poza tym wspomniał, że widział podpalacza – ten krzyż jednak był jeszcze jednym dowodem na to, że sprawcą jest Anson.

Gdy tak stała z koleżankami i kolegami z klasy, wszyscy w togach i biretach, pomyślała, że wreszcie musi spojrzeć prawdzie w oczy. Anson na pewno się nie zjawi w tym dniu, który dla niej powinien być dniem szczególnym, dniem triumfu i radości. A oto czuła się nieszczęśliwa i oszukana przez los. Tak bardzo chciała, żeby Anson był teraz u jej boku. Gdyby nie uciekał, gdyby dalej chodził do szkoły, wszystko potoczyłoby się inaczej. Na pewno dostałby stypendium akademickie, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Mogli uczyć się dalej w tym samym college'u. Mieli tyle wspólnych marzeń, ale wszystkie spłonęły w tym samym ogniu, który zabrał Latarnię Morską.

Abiturienti czekali na rozpoczęcie uroczystości w wyznaczonym

miejscu na szkolnym stadionie. Wszyscy byli i przejęci, i roześmiani. Zresztą cały stadion, wypełniony przez rodziny i przyjaciół, aż huczał. Allison najchętniej zasłoniłaby uszy, najchętniej...

– Allison!

Gdy się odwróciła, zobaczyła jednego z kolegów, Shawa Wilsona, przeciskającego się między abiturientami.

Shaw – tak naprawdę Phillip – nie miał na sobie ani togi, ani biretu. Musiało mu zabraknąć odpowiedniej liczby zaliczeń, by otrzymać dyplom ukończenia szkoły. Ubrany był na czarno, wystylizowany na gotyk. Oczy obrysowane czarną kredką, czarny, długi do ziemi płaszcz, mimo że czerwcowe popołudnie było bardzo ciepłe.

Allison pamiętała, że kiedyś Anson i Shaw byli kumplami, na pewno na początku roku. Później, kiedy Anson zaczął pracować w Latarni Morskiej, spotykali się rzadziej, jednak to Shaw był pierwszą osobą, do której zwróciła się Allison po zniknięciu Ansona. Jednak Shaw przysięgał, że nic nie wie, a ona nie miała żadnych podstaw, by mu nie wierzyć.

– Cześć, Shaw! – zawołała, starając się sprawić wrażenie osoby radosnej.

Shaw nie uśmiechnął się, tylko podszedł do niej nienaturalnie blisko. Wtedy zorientowała się, o co chodzi.

– Wiesz coś? – spytała szeptem.

Shaw skinął głową prawie niezauważalnie.

– Czy u niego wszystko w porządku?

Shaw wzruszył leciutko ramionami, po czym szepnął:

– Według mnie nie za bardzo, ale on twierdzi inaczej.

– Dzwonił do ciebie?

Znow leciutkie skinienie głową, jednocześnie Shaw

spojrzał na Allison prawie ze złością.

– Chciał ci powiedzieć więcej, ale wiedział, że nie może, bo wygadasz się szeryfowi. Uprzedzałem go, że do dziewczyn nie można mieć zaufania. Na szczęście posłuchał mnie.

– Może on czegoś potrzebuje?

Kiedy wśród rodziny i bliskich znajomych rozeszła się wieść, że Allison ukończyła szkołę, spadł na nią prawdziwy deszcz pieniędzy. Obdarowały ją nawet osoby, których prawie nie знаła. Gdyby Anson potrzebował pieniędzy, gotowa była wysłać mu wszystko, co do centa.

– Mówił, że nie.

– Chciałabym mu pomóc. – Winny, niewinny... nieważne. Po prostu go kochała.

Shaw przeszył ją wzrokiem.

– A ja uważam, że tobie tak naprawdę wcale na nim nie zależy.

– Co ty mówisz, Shaw... – W ostatniej chwili powstrzymała się od krzyku, a zarazem była bliska łez.

Shaw rozejrzał się czujnie dookoła, nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Sul...

– Co? Co? Nie rozumiem.

– Sul – powtórzył. – S, U, L. Trzy pierwsze litery z tablicy rejestracyjnej na samochodzie faceta, którego Anson widział tamtej nocy. Samochodu dobrze nie widział, ale chyba był ciemny. Sedan, średniej wielkości, coś bardzo przeciętnego.

Wiara, nadzieja, miłość. Trzy najpiękniejsze uczucia wypełniły serce Allison. Wierzę w ciebie, Ansonie, i Kocham,

powiedziała w duchu. A teraz wreszcie mam nadzieję. Podczas ostatniej rozmowy Anson wspominał jej, że kogoś widział, a teraz okazuje się, że widział również samochód.

Coś jednak było nie tak.

– Dlaczego mi o tym nie powiedział? Tylko tobie?

– Bo nie chce za bardzo wciągać cię w to wszystko, więc mnie poprosił, zebym rozejrzał się za tym samochodem. Nic z tego nie wyszło, dlatego kazał mi tobie też o tym powiedzieć.

– Dzięki.

Rozległy się głośne dźwięki dziarskiej melodii, więc wszyscy zaczęli ustawiać się na swoich miejscach.

– Shaw... – szepnęła Allison, łapiąc go kurczowo za ramię – czy to już wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

– Tak.

– Słuchaj... czy powiedziałeś mi wszystko, co wiesz? Shaw zmrużył oczy, po chwili powoli pokręcił głową.

– Nie, nie wszystko, ale przysiągłem Ansonowi, że powiem tylko tyle i nic więcej. Cześć!

Czarny płaszcz znikł w tłumie uczniów. Roztrzęsiona Allison szybko włożyła biret i ustawiła się w szeregu, po czym wszyscy weszli do pawilonu, w którym odbywała się uroczystość. Kiedy Allison usłyszała swoje nazwisko, weszła na podwyższenie, odebrała dyplom i uściskawszy czyjąś dłoń, wróciła na swoje krzesło. Jak we śnie.

Kwieciste przemowy nie docierały do niej, bo głowę miała bez reszty zajęta Ansonem. Jak on chciał, żeby w niego wierzyła! Przysłał do niej Shawa, by powiedział jej o czymś, co świadczy o niewinności Ansona. Wstydziała się chwili zwątpienia, przysięgając sobie w duchu

tysiącrotnie, że taka chwila nigdy już się nie powtórzy. Po uroczystości, lawirując w tłumie koleżanek i kolegów, dotarła do swoich bliskich. Matka zmiętą chusteczką dyskretnie ocierała łzy.

– Och, córeczko... Nie mogę uwierzyć, że mam już dorosłe dziecko!

Uściskała ją, potem ojciec, natomiast Eddie sprawiał wrażenie znudzonego. Nie szkodzi, na ciebie też przyjdzie kolej, pomyślała Allison. Wprzyszłym roku kochany braciszek rozpoczynał naukę w szkole średniej.

Dom pękał w szwach. Dziadkowie, ciotki i wujowie zebrali się tłumnie, by uczcić sukces Allison. Wszyscy bardzo podekscytowani i bardzo dumni z wnuczki, bratanicy, siostrzenicy czy czym tam dla kogo była. Rozmawiano o jej przyszłości, o tym, że Allison we wrześniu wyjedzie do college'u.

Ona zaś niby uczestniczyła w uroczystości, ale coś całkiem innego ją pochłaniało. Kiedy tylko nadeszła odpowiednia chwila, szepnęła do ojca:

– Tato, muszę koniecznie porozmawiać z szeryfem Davisem. – Ojcu ufała bezgranicznie. Matce oczywiście też, ale z tą sprawą lepiej było zwrócić się do ojca.

Zach zaprowadził ją do swego gabinetu i spytał:

– Anson dzwonił znów do ciebie?

– Nie, ale poprosił kogoś, żeby przekazał mi bardzo ważną informację, która może pomóc w ujęciu podpalacza.

– Rozumiem. Jutro z samego rana skontaktuję się z szeryfem. Pojadę tam razem z tobą.

– Dziękuję, tato.

Nie wypytywał jej o szczegóły, po prostu wiedział, co należy zrobić. Pocałowała go w policzek, czego nie robiła

od dawna, to cmoknięcie miało więc większy wymiar.
Dziękowała ojcu za wszystko, za to, że po prostu jest.

– A co z balem abiturientów? – spytał.

– Pójdę tam, ale na krótko. A jutro obudź mnie wcześniej, dobrze?

– Oczywiście.

Ojciec wrócił do gości, Allison poszła do swojego pokoju. Musiała pobyć sama, pomyśleć, utwierdzić się w przekonaniu, że podjęła dobrą decyzję.

Nagle usłyszała matkę:

– Allison! Jesteś tam?

– Tak, mam! U siebie! Musiałam zmienić pantofle!

Matka weszła do pokoju, trzymając przed sobą kryształowy wazon z jedną czerwoną różą.

– Proszę. Przed chwilą przyniósł to posłaniec. Jest też liścik. Któż to taki zrobił tak miłą niespodziankę?

Allison nie musiała zgadywać. Wiadomo, Anson. Skoro sam nie mógł przyjechać, zrobił coś najlepszego, co w tej sytuacji mógł zrobić.

Odebrała od matki różę.

– Anson? – szepnęła matka.

– Chyba tak.

Przez otwarte drzwi wleciał tubalny głos ojca:

– Rosie! Poncz się skończył!

Allison najchętniej znów by go ucałowała. Kochany tata domyślał się, że córka chce pobyć teraz sama. Kiedy matka wyszła, drżącymi palcami wyjęła z kolorowej koperty liścik.

Tylko jedno zdanie:

Zawsze będę Cię kochał.

Anson

Zamknęła oczy, oparła się o ścianę i szeptem posłała mu swoje przesłanie:

– Ja też zawsze będę cię kochać. Zawsze, zawsze, zawsze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Jedyną osobą, z którą Teri mogła o tym porozmawiać, była Rachel Pendergast. Nie chciała jednak wylewać swoich zali przez telefon, dlatego pojechała do przyjaciółki. Po drodze rozkleiła się kompletnie, z powodu łez widoczność była prawie zerowa, a ona gnała jak wariatka. Cud, że nie wlepili jej mandatu.

Rachel na jej widok zbladła.

– Omatko! Teri! Co z tobą?! – Wciągnęła ją do środka.

Teri opadła na sofę i kryjąc twarz w dłoniach, rozszlochała się na dobre. Rachel przysiadła obok przyjaciółki i objąwszy ją ramieniem, zaczęła przemawiać do niej czule, a Teri wciąż łkała.

– Och, Rachel! Co ja narobiłam! Co ja narobiłam!

– Ale co, Teri? Co? Mów!

– Co? – Płacz nagle ucichł, Teri wpadła w gniew.

– Idiotka! Totalna idiotka! – Tupnęła nogą. – Nigdy bym się nie spodziewała, że jestem świrnięta aż do tego stopnia!

– Teri...

– Ale to jego wina! To wina Bobby'ego!

– Ale o co chodzi?

– A o to! – Teri wyciągnęła przed siebie rękę.

Rachel, gdy tylko zobaczyła ogromny diament, najpierw przytknęła, potem krzyknęła coś niezrozumiale.

A Teri wrzasnęła:

– Zakochałam się! Powiedziałam, że za niego wyjdę!

– Znów zalała się łzami. – A to się nie uda, bo i jak?

Bobby... to Bobby... – Znów tupnęła nogą, znów dywan ucierpiał. – On mnie kocha! Na początku pomyślałam, że nie, to niemożliwe, przecież tak naprawdę wcale mnie nie

zna. Ale Bobby mówi, że to nie ma żadnego znaczenia.

– Dzwoni do ciebie codziennie?

– Tak. Teraz trzy razy w ciągu dnia.

Nieważne, w jakiej części świata przebywał, zawsze udało mu się do niej zadzwonić, i to trzy razy na dobę. Teri uwielbiała jego telefony. Rozmawiali niedługo, ale każda rozmowa była cudowna. Bobby zawsze zdążył rozbawić ją do łez, a swoimi nieporadnymi miłosnymi wyznaniem wzruszyć, też do łez.

Mówił o sobie, że w kwestii uczuć jest analfabetą i sztywniakiem, a przecież bardziej romantycznego faceta Teri nie znała. I kochał ją – choć nie miała bladego pojęcia dlaczego. Ale kochał. Żaden mężczyzna dotąd nie kochał Teri tak gorąco jak Bobby Polgar. Kochał i bez przerwy jej to udowadniał. Wystarczyło napomknąć, że lubi się marynaty, a następnego dnia dostarczano jej do domu całą skrzynkę. Obsypywał ją prezentami, połowy z nich nie chciała przyjąć. A on prosił tylko o jedno – żeby została jego żoną. Prosił i prosił, w końcu w chwili słabości powiedziała tak.

I po co? Geniusz szachowy powinien mieć żonę swojego formatu! Żonę, która dorówna mu pod względem intelektualnym, a nie taką Teri, o której poziomie intelektualnym lepiej zapomnieć.

– Mówisz, że dzwoni trzy razy dziennie? – spytała Rachel.

Teri głośno pociągnęła nosem.

– Tak. Rano przed moim wyjściem do pracy, potem w samo południe i wieczorem, zanim pójde spać.

Bobby grał teraz po prostu supergenialnie. Twierdził,

ze dzięki niej, z tym że nie chodziło już o podcinanie włosów.

– Dlaczego ryczysz, Teri? Powinnaś skakać z radości, że kocha cię Bobby Polgar!

– Bo on... bo on... oświadczył mi się, rozumiesz?! A ja, głupia, zgodziłam się! Muszę to odwołać!

– Dlaczego, Teri? Nigdy nie widziałam ciebie bardziej szczęśliwej niż teraz, kiedy masz Bobby'ego. A on uważa cię za ósmy cud świata.

– Ale powtarzam! On mnie nie zna, on nie wie, z kim chce się ożenić! Ktoś powinien mu opowiedzieć, jak to jest między mną a facetami! Masakra!

– Teri, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr! Teraz jest Bobby, on chce ciebie, i to jest najważniejsze!

– Rachel, naprawdę nie rozumiesz, że Bobby wcale mnie nie kocha? Tylko tak mu się wydaje! O matko, dlaczego wszyscy dookoła nagle pogłupieli! Nie, nie będę słuchać, co gadasz. Powiem mu, że nie i już! – By udowodnić, że nie rzuca słów na wiatr, zdjęła pierścionek z gigantycznym diamentem i położyła na stoliku. Diament błysnął, Teri nagle poczuła paniczny strach, że może zgubić rzecz tak cenną. Przecież ten pierścionek kosztował więcej, niż wszystkie zarobki stylistki w ciągu jej długiego życia! Z powrotem wsunęła pierścionek na palec. – Oddam mu go. Muszę to zrobić.

– Teri... – jęknęła Rachel. – Błagam, nie rób tego.

– Zrobię, jak powiedziałam. Bobby przylatuje dziś wieczorem. Oddam mu pierścionek i powiem, że między nami koniec.

– Nie bądź śmieszna, Teri! Przecież go kochasz!

– Co z tego, skoro na jego żonę absolutnie się nie

nadaje?

Rachel westchnęła z pewną dozą zniecierpliwienia.

– On jednak uważa inaczej, Teri. A ja, choć moje zdanie jest tu nieistotne, uważam, że pasujecie do siebie idealnie.

– No nie... – Teri jęknęła rozpaczliwie. – Kobieto, wyobraź sobie, że jakiś reporter z telewizji robi ze mną wywiad! Na pewno palnęłabym coś tak głupiego, że biedny Bobby w swoim środowisku stałby się pośmiewiskiem. Nie mogę mu czegoś takiego zrobić!

– Teri! Jeśli go teraz rzucisz, będziesz żałować tego aż do śmierci!

Niestety, nie to Teri chciała teraz usłyszeć. Gnała tu samochodem jak szalona w jednym, określonym celu. Droga przyjaciółka miała utwierdzić ją w przekonaniu, że nie ma innego wyjścia, tylko trzeba Bobby'ego odstawić od piersi.

– Wcale nie chcesz mi pomóc! – krzyknęła rozzalonym głosem. Zerwała się z sofy i popędziła do drzwi.

Droga powrotna również zroszona była łzami plus poczuciem kompletnej bezradności. Olbrzymi diament połyskiwał w słońcu, zupełnie jakby się z niej wyśmiewał.

Starła się na niego nie patrzeć, i te starania rozpraszały ją jeszcze bardziej.

Jakoś jednak dojechał pod swój dom, a tu okazało się, że przecucie jej nie myliło, bo czekał na nią znajomy, nieludzko długi luksusowy pojazd. Ledwie zdążyła zaparkować, kiedy koło jej samochodu pojawił się chudzielec w mundurze szofera.

Teri spojrzała na niego ze złością i demonstracyjnie pociągnęła nosem.

– Panno Teri, czy pani źle się czuje? – spytał James z niepokojem.

A Teri przez moment milczała, ustalając plan działania.

Bobby przysłał po nią Jamesa, czyli jest możliwość załatwienia sprawy od ręki, posługując się inną osobą.

– Nigdzie nie jadę – oznajmiła.

– Jak to? Nie jedzie pani? Przecież Bobby czeka na panią!

A komu jak komu, ale Bobby’emu Polgarowi nikt nie kaze na siebie czekać. To było w podtekście. Jednocześnie Teri zaczęła mieć wątpliwości, czy obrana taktyka okaze się skuteczna. Chyba nie. Jeśli nie pojedzie z Jamesem, nieludzko długa limuzyna niebawem tu powróci już nie tylko z Jamesem, lecz i z Bobbym w środku. Kto wie, czy nie dojdzie do gorszącej sceny na oczach sąsiadów, ludzie będą mieli o czym gadać. Tragedia...

Jej bezradność sięgnęła zenitu.

Teri oparła się czołem o kierownicę i po raz kolejny tego dnia rozryczała się.

– Panno Teri! – Biedny James był przerażony. – Moze zadzwonię po lekarza!

– Nie... nie – wykrztusiła, podejmując w duchu decyzję. Trudno. Konfrontacja z Bobbym na pewno nie będzie należała do łatwych i przyjemnych, ale nie ma innego wyjścia.

– Jadę – powiedziała drewnianym głosem.

– To ja wezmę pani walizki, panno Teri.

– Nie mam. – Bo i po co? Przecież nigdzie nie pojedzie z Bobbym. Nie wyjdzie za niego. Klamka zapadła.

Wysiadła ze swego samochodu, sięgnęła po torebkę i pozwoliła się poprowadzić Jamesowi do lśniącej czarnej

limuzyny z przyciemnionymi szybami. James otworzył drzwi, wsunęła się do środka i znów się rozryczała. Ponieważ luksusowe auto było długie jak tor w kręgielni, nie widziała, co robi James, podejrzewała jednak, że kiedy tylko wyjechał z parkingu, zadzwonił do Bobby'ego. W końcu miał mu niejedno do powiedzenia.

– Wyluzuj, dziewczyno – mruknęła, pragnąc choć w minimalnym stopniu odzyskać panowanie nad sobą. Otarła twarz, spojrzała w okno i zorientowała się, że jadą na lotnisko w Bremerton. Czyli Bobby przyleciał tu prywatnym samolotem. Był nie tylko mistrzem w szachach, miał również więcej pieniędzy, niż leżało ich w skarbcu Stanów Zjednoczonych. Latał sobie po całym świecie, więc przemieszczenie się z Londynu do Bremerton w stanie Waszyngton było dla niego jak przysłowiowe splunięcie.

Kiedy James wjechał na małe lotnisko, Teri zauważyła na pasie startowym learjeta. Jej serce zabiło jak dzwon, a wszelkie próby powstrzymania łez okazały się bezowocne. Zapowiadał się nowy potop. W chwili gdy James po podjechaniu do samolotu otwierał przed nią drzwi limuzyny, znowu ryczała.

Bobby czekał w samolocie. Stał z rękoma założonymi w tył. Sam, czyli musiał całej załodze kazać opuścić pokład. Kiedy roztrzęsiona i rozsłochana dotarła do szczytu schodów, jednym szarpnięciem pozbawiła swój palec pierścionka z gigantycznym diamentem i wręczyła klejnot Bobby'emu.

Bobby ostrożnie włożył pierścionek do kieszeni, potem nacisnął jakiś przycisk. Schody złożyły się, drzwi samolotu zamknęły się i Teri, idąc za ciosem, natychmiast

wyłożyła swoje stanowisko:

– Nie wyjdę za ciebie.

Bobby jej stanowisko kompletnie zignorował.

– Siadaj – powiedział, wskazując eleganckie obrotowe krzesło obite białą skórą. Usiadła, Bobby podał jej chusteczkę. Wydmuchała nos, niestety, zatrafiła. Stanowczo nie należała do kobiet, które potrafią elegancko płakać.

– Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie? – spytał Bobby.

Był wyraźnie speszony, jakby bał się, że zrobił coś nie tak.

– Nie domyślasz się?! – krzyknęła. – Nie?! Przecież wcale nie chcę cię kochać. A... Kocham!

– Wiem.

– To wszystko twoja wina! Tylko twoja! – krzyknęła jeszcze głośniejsze.

– Moze. Bardzo się starałem, żebyś mnie pokochała. Jesteś taka wesoła, inteligentna i piękna.

– Nie sądzisz, że jestem trochę za gruba?

– Moze... odrobinę, ale mi to absolutnie nie przeszkadza.

Podobasz mi się taka, jaka jesteś. Czy możemy wziąć już ślub?

– Nie, Bobby. Bardzo mi przykro, ale nie.

Bobby spochmurniał. Pomyślał chwilę i przykląkł przed Teri na jedno kolano.

– Teri! Mówiłem ci już, że w uczuciach jestem analfabetą.

Po prostu muszę wciąż myśleć i robię się tego za dużo. A kiedy jestem z tobą, wcale mi się nie chce myśleć.

Chcę właśnie czuć, odczuwać, co bardzo mi się podoba.

Poza tym, kiedy jestem z tobą, po raz pierwszy w życiu chce mi się robić takie... rzeczy, które nie mają nic

wspólnego z szachami.

– A jakie to... rzeczy? – spytała ostrożnie Teri.
Spojrzenie Bobby'ego było tak jasne, szczere i otwarte, tak pełne miłości, że Teri nie była w stanie spojrzeć w bok czy zerwać się z tego eleganckiego krzesła. Nie opierała się, kiedy Bobby na jej ustach złożył długi pocałunek. Uwielbiała jego pocałunki. Dotychczas serwowano jej pocałunki pośpieszne i egoistyczne, tylko wstęp do dalszych działań. A pocałunki Bobby'ego były delikatne i powolne, jakby rozkoszował się nią, Teri Miller. A rzeczona Teri Miller za każdym razem miała wrażenie, że całuje się po raz pierwszy w życiu, gdy jak na ironię prawda była taka, że to ona dysponowała niemałym doświadczeniem w sprawach seksu, a nie Bobby.

– Czy teraz... wyjdiesz za mnie? – spytał Bobby.
Teri, przełknąwszy łyżę, pokręciła przecząco głową.

– Bobby, przecież wcale mnie nie znasz...
Zamiast dyskutować, pocałował ją w szyję.

– W moim życiu był już niejeden mężczyzna...
– Wiem. Ale teraz będę już tylko ja.
On wie?! Przerazona Teri odepchnęła go od siebie.

– Wiesz... wszystko? – spytała słabiutkim głosem.
Bobby skinął głową, zaś ona miała ochotę zapaść się pod ziemię. Bo jak się okazuje, Bobby ma już wykaz jej niewydarzonych, destrukcyjnych związków.

– Skąd to wiesz?
– Czy mogę jeszcze raz cię pocałować?
– Nie. Odpowiedz na pytanie.
– A jak odpowiem, to będę mógł cię pocałować?
Teri westchnęła i pokiwała głową. Nie miała siły mu odmówić.

– Ale najpierw mów, co wiesz o mnie.

– Dwight Connell.

Facet, który wyczyścił jej konto.

– Ray Hawkins.

Ten, którego wyrzucała ze swojego mieszkania przy wydatnej pomocy zastępcy szeryfa.

– Carl Jackson.

Jej pierwszy chłopak. Teraz za kratkami.

– Randy...

– Wystarczy, wystarczy. Jak się o tym dowiedziałeś?

– Nic trudnego. Mój zawód to szachy, twój – podcinanie włosów, a niektórzy ludzie żyją z tego, że dowiadują się pewnych rzeczy. Jednego z nich o to poprosiłem.

– Rozumiem.

Bobby wyjął z kieszeni pierścioneł z diamentem i wziął Teri za rękę. Pierścioneł bez zadnych oporów szybciotko wsunął się na jej palec, jakby z ulgą wracał na swoje miejsce. Potem Bobby znów nacisnął tamten przycisk. Drzwi samolotu otwały się, schody rozłożyły się, na pokład wkroczyło dwóch mężczyzn w mundurach, za nimi James. Mundurowi minęli Teri, każdy z nich przywitał ją grzecznie, i obaj weszli do kokpitu.

Po kilku minutach samolot był już na początku pasa startowego.

– Bobby, dokąd lecimy? – spytała Teri.

– Do Las Vegas!

Ta informacja sprawiła, że Teri na moment odjęło mowę. Jak mogło do tego dojść? Pół godziny temu kategorycznie odmawiała spotkania z tym oto mężczyzną, dziesięć minut temu jej nastrój wcale nie uległ diametralnej zmianie. A teraz... teraz po prostu z owym mężczyzną leci do Las Vegas. Zeby wyjść za niego. Za Bobby'ego

Polgara, z którym oprócz licznych rozmów przez telefon widziała się zaledwie trzy razy. Nawet się z nim nie przespała – a teraz miała wyjść za niego?!

– Chwileczkę! A czy ja się zgodziłam?

– Ja chcę się z tobą ożenić, a ty chcesz wyjść za mnie.

Dla Bobby'ego był to bezsporny fakt, dlatego, kierując się logiką, uczynił kolejny krok, to znaczy byli w drodze do Las Vegas.

– Ale ja nie mam odpowiedniej sukienki! Nie wzięłam nic z sobą!

– Ubranie będzie ci niepotrzebne – odparł z uśmiechem Bobby.

Teri zachichotała i nagle... nagle poczuła się tak szczęśliwa, że miała ochotę zaśpiewać. Oczywiście, nie zrobiła tego. Głos miała okropny. A Bobby wręczył jej telefon.

Zadzwoiła do Rachel i poprosiła, żeby na kilka kolejnych dni zorganizowała dla niej zastępstwo. Obiecała też, że jeszcze się odezwie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, coś jej się jeszcze przypomniało.

– Bobby, nie mam z sobą żadnych środków antykoncepcyjnych.

– To dobrze – powiedział miękko. – Chcę, żebyś zaszła w ciążę. Z twoimi biodrami na pewno będziesz miała lekki poród.

– Jeśli tylko chcesz, będziesz mógł być obecny przy porodzie.

– Na pewno chciałbym, ale nie jestem pewien, czy będę w stanie patrzeć, jak cierpisz.

Trudno nie kochać takiego mężczyzny, prawda?!

– Dobrze, Bobby. Darujemy to sobie. Chciałabym jednak, żebyś wiedział, że żadne z dzieci, które urodzę, na pewno nie będzie dysponować wystarczającym intelektem,

by zostać mistrzem w szachach.

– To dobrze. Chcę, żeby moje dzieci miały życie bardziej normalne niż ja.

Mniej więcej po trzech godzinach wylądowali w Las Vegas. Tam czekała na nich limuzyna, która zawiozła ich na Strip, najślawniejszą ulicę Las Vegas. Teri otworzyła dach w samochodzie, wystawiła głowę i ręce i wymachując jedną, tą z diamentem, darła się jak opętana.

– Wychodzę za mąż! Wy-cho-dzę!

Pastor czekał na nich w apartamencie na ostatnim piętrze luksusowego hotelu z kasynem. Pokój tonął w kwiatkach, wszystkie kwiaty białe. Teri miała tylko podpisać dokument i okazać jakiś dowód tożsamości. Potem ona i Bobby złożyli małżeńską przysięgę. James był świadkiem. Dwie minuty po uroczystości byli już w apartamencie sami.

Bobby pocałował ją powtórnie i spytał:

– Czy teraz mogę się z tobą kochać?

Był taki szczery, taki słodki.

Teri skinęła głową.

– Bardzo proszę.

Zaprowadził ją do sypialni, zgasił światło i nagle Teri poczuła się niepewnie. W sprawach łózkowych nie była nowicjuską. Choć ze swej przeszłości nie była zadowolona, jednak się jej nie wstydziła. Tak potoczyło się jej życie i już. Ale oddałaby wszystko, żeby to Bobby, jej mąż, był tym pierwszym.

Wszystkie jednak obawy i smutki rozwiąły się jak dym, kiedy Bobby, jej mąż, wziął ją w ramiona. Był tak delikatny, tak ostrożny, tak nieskończenie czuły, że w rezultacie, podobnie jak w przypadku pocałunków, miała

wrażenie, jakby to był jej pierwszy raz.

Stąd jej łyzy, kiedy potem wypoczywała w jego objęciach.

Bobby łyzy scałował, a ona zaszepiała:

– Kocham cię, Bobby.

– Ja też. Jak myślisz, czy jesteś już w ciąży?

– Hm... – Teri zmarszczyła brwi, udając, że zastanawia się nad tym bardzo głęboko. – Niestety, Bobby,

nie jestem tego pewna. Może spróbujemy jeszcze raz?

Taka poprawka...

Roześmiał się, a Teri pomyślała, że Bobby sprawia wrażenie człowieka szczęśliwego. Jak miło pomyśleć, że szczęśliwy jest dzięki niej.

Kiedy obudziła się nad ranem, Bobby już nie spał.

Leżał na boku i wpatrywał się w nią. Kiedy otworzyła oczy, delikatnie powiódł palcem wzdłuż jej brwi i spytał nieśmiałym głosem:

– Czy możemy... znowu?

Teri zarzuciła mu ręce na szyję, przekazując tym dobitnie, że absolutnie nie zgłasza żadnego sprzeciwu.

Spali potem bardzo długo. Obudziło ich łomotanie do drzwi, James wołał, że szef koniecznie musi zejść na dół.

Bobby spojrział na zegarek, zerwał się z pościeli i zaczął gorączkowo szukać spodni.

– Spóźniłem się.

– Masz dzisiaj mecz? Rano?

Teri, raptem przypominając sobie o skromności, naciągnęła prześcieradło na biust. Zaraz potem prześcieradło powędrowało w dół. Przecież nie ma powodu wstydzić się przed Bobbym! Przecież to jej mąż, a wspomniany biust tej nocy wielokrotnie był przez niego całowany i głaskany.

– Tak. Turniej – rzucił przez ramię. Spodnie już włożył, teraz tropił skarpetki i buty.

– Dziś rano? – upewniła się Teri.

– Tak, o dziewiątej.

Znalazł koszulę, włożył ją i zaczął zapinać, niestety krzywo.

– Chodź tu, Bobby. – Teri podsunęła się bliżej i zajęła się jego koszulą.

– Wcale mi się nie chce tam iść – powiedział smętnym głosem Bobby. – Przepraszam, Teri. Bardzo mi przykro.

– Mnie też, bo najbardziej lubię się kochać rano.

– Aha... Teri... – Bobby odchrząknął. – Niedługo wrócę. Zamów śniadanie do pokoju, weź prysznic i nie ruszaj się stąd.

– Dobrze.

Teri nabrała głęboko powietrza.

– Chodź tu jeszcze do mnie, Bobby! – powiedziała, klękając w nogach łóżka. – Na moment!

James znowu zapukał, ale Bobby zamiast do drzwi, podszedł do Teri, która znów objęła go za szyję i pocałowała w taki sposób, który gwarantował, że Bobby tu powróci.

– To na szczęście.

Zamówiła do pokoju kawę. Przyniesiono, kiedy wychodziła spod prysznica. Znalazła pilota i zaczęła przeglądać kanały, w końcu znalazła stację, która na żywo transmitowała turniej szachowy. Komentator mówił właśnie o Bobbym. Teri siadła sobie na łóżku, popijając kawę, i słuchała, jak komentator w skrócie przedstawiał rozwój błyskotliwej kariery jej męża. Męża! Jak to cudownie zabrzmiało...

Patrzyła, jak Bobby siada twarzą w twarz z przeciwnikiem, podobno, jak mówił komentator, bardzo znanym rosyjskim szachistą. Po dwudziestu ruchach gra była skończona. Bobby wstał. Komentator podbiegł do niego, chciał przeprowadzić wywiad, ale Bobby, potrząsając głową, minął go i wymaszerował z sali. Po pięciu minutach wmaszerował do sypialni na najwyższym piętrze luksusowego hotelu z kasynem.

Stanął w nogach łóżka i uśmiechnął się do Teri. Jego oczy błyszczały.

A Teri powtórzyła słowa komentatora:

– Bobby Polgar tworzy nową historię szachów.

– Po prostu się śpieszyłem.

Teri rozpostarła ramiona.

– Kiedy następna rozgrywka?

– Za godzinę.

– Wystarczy.

Bobby Polgar, mąż Teri Miller-Polgar, nową historię szachów tworzył do końca tygodnia. Po każdym meczu bez słowa wyjaśnienia gdzieś znikał, na kilka meczów po prostu się spóźnił. Nie udzielał żadnych wywiadów. Nigdy nie był zbyt wylewny i towarzyski, jednak teraz w opinii wszystkich zrobił się z niego prawdziwy odludek. Zaczęto namiętnie spekulować, co może być powodem takiego stanu ducha mistrza.

Teri przez pięć dni nie opuszczała apartamentu. Niczego jej nie brakowało, wystarczyło skinąć ręką. Miała wszystko, czego chciała lub co było jej potrzebne. Och, miała o wiele więcej! Miała to, o czym kiedyś nie śmiała nawet marzyć...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Chciałbym z tobą chwilę pogadać, Justine – powiedział Seth po kolacji spożytej w całkowitym milczeniu.

Była środa, a od piątku nie zamienili ani słowa na temat Latarni Morskiej, także na temat jej pomysłu z herbaciarnią. Sama Justine do tego już nie wracała, gorzko rozczarowana postawą męża, który ją po prostu lekceważył.

– Dobrze – mruknęła, odwracając się od zlewu. Przez kilka ostatnich dni ich rozmowy ograniczały się do wymiany krótkich informacji, głównie dotyczących małego Leifa. Nadal sypiali w jednym łóżku, szli spać jednak o różnych porach i układali się możliwie jak najdalej od siebie.

Seth unikał jej. Długie godziny spędzał w pracy, tak przynajmniej przypuszczała Justine, poza tym na pewno miał spotkania z budowniczym. Realizował swoje plany, odstawiając żonę na boczny tor. Przykro było o tym myśleć. Wytarła ręce w ściereczkę od naczyń i spojrzała, co robi synek. Leif układał puzzle, obok leżała zwinięta w kłębek Penny. Leif będzie miał zajęcie jeszcze przez co najmniej kwadrans, a więc można pogadać. Justine usiadła na krześle przy kuchennym stole. Seth nalał do kubka kawy, ale nie usiadł do stołu, tylko został tam, gdzie był, oparty o kuchenny blat. Tę konfigurację Justine oceniła jako bardzo niekorzystną dla siebie. On stał, ona siedziała i nie miała ochoty podnieść się z krzesła. Znakiem tego miała w sobie mniej energii niż Seth.

W pierwszych słowach mąż ją zaskoczył:

– Muszę cię przeprosić, że twego pomysłu o herbaciarni nie potraktowałem poważnie, ale byłem całkowicie pochłonięty planami odbudowy, które, prawdę mówiąc,

powinienem być z tobą omówić...

– Nie wiedziałam, że masz już konkretny plan działania, Seth. – Konsekwentnie wpatrywała się w podłogę.

– Dla mnie był to szok.

– Na pewno nie większy niż mój szok, kiedy się okazało, że za moimi plecami spotykasz się z Warrenem! Justine otworzyła usta, żeby się bronić, ale odpuściła. Kłótnia nic nie da, poza tym Leif już dość się nasłuchał wrzeszczących na siebie rodziców.

– A zresztą... nieważne – mruknął Seth, odgarniając z czoła gęste, bardzo jasne włosy. – Justine, posłuchaj... Kocham cię. – Patrzył jej prosto w oczy. – Ty i Leif jesteście dla mnie najważniejsi. Nie chcę was stracić. Nie chcę niszczyć naszego małżeństwa tylko dlatego, że wbilem sobie do głowy pewien pomysł i nie potrafię z niego zrezygnować.

Wzruszona tą deklaracją Justine zamrugnęła, by powstrzymać łzy.

– Ja też cię kocham, Seth.

– Bardziej niż Warrena Sageta?

– Seth!

– Dobrze, już dobrze... – Usiadł na krześle po drugiej stronie stołu i wziął Justine za rękę. – Doszedłem do wniosku, że ponieważ nie możemy się pogodzić, najlepiej będzie, jak sprzedamy tę ziemię. Skontaktowałem się już z agentem nieruchomości. Jeśli się zgodzisz, można już tę działkę wystawić na sprzedaż.

– Seth! Czy ja dobrze słyszałam? Chcesz sprzedać ziemię?! – Nigdy w życiu. Chociaż szczerze mówiąc, też w którymś momencie zastanawiała się nad sprzedażą.

– W ciągu ostatnich pięciu lat ceny gruntu znacznie się

podniosły. Kwota ze sprzedaży plus odszkodowanie pozwolą nam wyjść z długów.

Splacą wszystkie długi. To ważne, a jednak przykro, że Seth, mimo wzruszającego wstępu, forsuje swój nowy pomysł, natomiast o herbaciarni ani słowa. No cóż...

– Czy mogę się z tym przespać? – spytała.

– Jasne.

– Coś mi się zdaje, że polubiłeś sprzedawanie, Seth.

– Podobno mam do tego smykałkę, a naszą ziemię prawdopodobnie będziemy mogli sprzedać od ręki. Słyszałem, że pewna franszyza z fast foodów na gwałt szuka odpowiedniej lokalizacji w Cedar Cove. Całkiem możliwe, że w ciągu miesiąca interes zostanie ubity i będziemy mieli już pieniądze.

– Kto ci o tym powiedział? Ten agent nieruchomości?

– Tak.

– A nie będziesz tego załował, Seth? – spytała Justine, przyglądając mu się bacznie.

– Nie, choć nie bardzo podoba mi się fakt, że w miejscu, gdzie była nasza restauracja, będą sprzedawać hamburgery i frytki. Ale jakoś się do tego przyzwyczaję.

Może on... Bo Justine wiedziała, że będzie miała z tym wielkie trudności.

– A więc prześpijmy się z tym pomysłem – powiedziała.

– Oboje.

Seth położył Leifa spać, w tym czasie Justine wyszła z psem. Kiedy wróciła, Seth jeszcze czytał synkowi „Dobranoc, księżycu”, bajkę, którą rodzice znali już na pamięć. Leif zwykle zasypiał w połowie opowieści.

Seth czytał, a Justine zrobiła sobie kąpiel z bąbelkami o zapachu gardenii. Seth uwielbiał ten zapach. Kiedy po

wyjściu z wanny wycierała pachnące gardeniami ciało, w drzwiach łazienki stanął Seth, a na jego twarzy pojawił się nieśpieszny, znaczący uśmiech.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytał leciutko zachrypniętym głosem.

Justine też się uśmiechnęła.

– Mam nadzieję, że tak.

Kiedy kładli się do łóżka, na dworze było jeszcze jasno. Seth wyciągnął do Justine rękę, ona skwapliwie wsunęła się w jego ramiona. Kochali się wśród głębokich westchnień i zadyszanych szeptów, a potem Seth mocno przytulił Justine do siebie.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogę być już w ciąży, Seth – powiedziała sennym głosem.

Od jakiegoś czasu nie brała tabletek antykoncepcyjnych.

Seth o tym wiedział i nie zgłaszał sprzeciwu. A nie brała – bo po co? Przecież i tak nie żyli z sobą.

– I bardzo mi się to podoba – stwierdził Seth.

– Chciałbyś mieć dzidziusia? Przyznaj się.

– A pewnie. – Pocałował ją w czubek głowy. – Nie miałbym nic przeciwko bliźniakom! Czy to może być dziedziczne?

Pytanie było absolutnie na miejscu, skoro Justine miała brata bliźniaka.

– Całkiem możliwe. A dlaczego pytasz, Seth?

– Dlaczego? – Pieszczotliwie przesunął palcami przez jej włosy. – Przy dwojce niemowląt plus Leif nie będziesz miała czasu nawet pomyśleć o Warrenie!

– Seth... – szepnęła, unosząc głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. – Chyba nie jesteś zazdrosny? Bo naprawdę nie ma żadnego, nawet najmniejszego powodu. Przysięgam.

– Cieszę się, że to słyszę.

Pocałowała go w brodę.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, złożę w banku wymówienie.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– To dobrze... – Justine ziewnęła. – Dobranoc, Seth.

Uwielbiam zasypiać w twoich ramionach...

Kiedy prowadzili restaurację, bardzo rzadko udawało im się kłaść do łóżka o tej samej porze. Potem, po pożarze, nadszedł czas gniewu i żadne z nich nie miało na to ochoty.

Dopiero dziś...

– Kocham cię... – szepnęła i znów ziewnęła szeroko.

– Śpij, kochanie – powiedział miękko Seth.

Justine zasnęła prawie natychmiast. Po raz pierwszy po pożarze spała cudownym, głębokim, zdrowym snem.

Obudziła się bardzo wcześnie, około piątej, rześka i wypoczęta.

Wstała z łóżka, narzuciła szlafrok i poszła do

kuchni, a tam, jeszcze zanim włączyła ekspres do kawy, chwyciła ołówek i kartkę. Nigdy nie była dobra z rysunków, ale wizja herbaciarni nadal nie dawała jej spokoju.

Starła się o niej zapomnieć, z obawy że dalsze dyskusje na ten temat tylko rozdrażnią męża, teraz jednak już postanowiła. Raz koźie śmierć. Seth musi jej wysłuchać.

Kiedy wszedł do kuchni, stała pochylona nad stołem, popijając kawę. Podeszedł do niej z tyłu i objął ją w pasie.

– Wcześnie się obudziłaś, kochanie...

– Tak. I chcę ci coś powiedzieć, Seth. Koniecznie, a ty obiecaj, że mnie wysłuchasz. Musisz to zrobić, zanim wystawisz ziemię na sprzedaż.

– Znowu o tej herbaciarni? – Opuścił ręce i odszedł na bok. – Justine...

– Seth! Powiedz szczerze! Naprawdę sobie wyobrazasz, że w tak cudownym miejscu z widokiem na zatokę miałyby stanąć budka z fast foodami? Bo ja nie. Dla mnie byłoby to zwykłe barbarzyństwo.

– No... W porządku. W takim razie przekonaj mnie, że ten pomysł z herbaciarnią ma ręce i nogi.

– Bo ma! Proszę!

Podsunała mu pod nos swój szkic budynku w stylu wiktoriańskim, z wieżyczką i spadzistym dachem.

– Dom wiktoriański? W miejscu, gdzie stała restauracja, chcesz postawić taki dom i serwować herbatkę? Nie sądzę, Justine, żeby miasto wydało nam pozwolenie na postawienie domu mieszkalnego w rejonie handlowym miasta.

– Ale to nie jest dom mieszkalny! To jest właśnie herbaciarnia. Herbaciarnia Wiktoriańska, rozumiesz?

– Herbaciarnia Wiktoriańska... a czym się różni od zwyczajnej herbaciarni?

– No... może niczym, ale posłuchaj, jakie będą zalety. Otwarta od rana, oczywiście serwujemy najlepsze gatunki herbaty, także śniadanie, potem lunch. I na tym koniec, wracam do domu na obiad razem z tobą i Leifem. Aha, oczywiście zadnego alkoholu. Wiadomo, w Latarni Morskiej było to konieczne, skoro restauracja otwarta była do późnych godzin wieczornych, ale tu absolutnie nie jest potrzebny. Jestem pewna, Seth, że stanie się to bardzo popularnym miejscem wśród naszych pań. Można będzie też organizować małe przyjęcia w sali albo na dworze, na patio...

Mówiła, mówiła, a Seth słuchał. Nareszcie jej słuchał, i to z wielką uwagą.

– Wszystko jasne – powiedział. – Tylko jeszcze jedno pytanie. Czy wezmę w tym udział?

– Jeśli tylko będziesz chciał i na ile będziesz chciał. Seth, z tą sprzedażą łodzi idzie ci świetnie, a z samej herbaciarni nie damy rady wyżyć. A więc...

– A więc robisz to sama?

– Alez nie! Absolutnie! Jesteś bardzo potrzebny. Nie chodzi o codzienną pracę w herbaciarni. Zaangażujesz się na tyle, na ile chcesz, a najbardziej potrzebuję twojej rady, wsparcia, sugestii i tak dalej. I co najważniejsze – twojej miłości!

– Gwarantuję, że dostaniesz to wszystko – powiedział z uśmiechem.

– Dzięki! To wypali, Seth. Jestem pewna! Zobaczysz! Przytulił do siebie żonę i pocałował, tym samym ostatecznie wyrażając zgodę na coś, co w sumie było najlepszym rozwiązaniem. Dla nich obojga.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Cal nie odzywał się od tygodnia. Na początku dzwonił do Linnette co kilka dni, potem coraz rzadziej. A teraz mija już siódmy dzień i nic. Cisza.

Rozumiała, po co wyjechał z Cedar Cove. Ratowanie mustangów to bardzo szczytny cel. Trudno, żeby do Linnette to nie dotarło. Była również wystarczająco rozbawiona, by wiedzieć, że w słabo zaludnionym Wyomingu w wielu rejonach jest problem z zasięgiem. Niezależnie jednak od tego faktu, że Cal tak długo nie dzwonił, był co najmniej zastanawiający. Tak samo jak fakt, że kiedy przedtem dzwonił, zawsze sprawiał wrażenie, jakby chciał jak najszybciej skończyć rozmowę.

Czyli był problem i z tym problemem Linnette postanowiła udać się do Grace Harding, żony Cliffa. Bo nawet jeśli Grace jest tak samo niezorientowana w sytuacji jak Linnette, zawsze może się zdarzyć, że podczas rozmowy nieświadomie przekaze coś bardzo istotnego.

Wybrała się do biblioteki w czwartek, w przerwie na lunch. Miała tam wkroczyć po raz pierwszy w życiu, bo nie była zbyt namiętną czytelniką. Jej lektura ograniczała się do czasopism fachowych z dziedziny medycyny.

Mieszkając już cały rok w Cedar Cove, nie miała nawet karty bibliotecznej.

Biblioteka sprawiała na niej jak najlepsze wrażenie.

Podłoga wysłana grubą wykładziną tłumiącą kroki, w czytelni wygodne krzesła, no i multum książek.

Stojąc za kontuarem Grace rozmawiała z jakąś panią, która przeglądała cały stos książek. Kiedy zauważyła Linnette, uśmiechnęła się do niej i pomachała.

Linnette podeszła do kontuaru i poczekała cierpliwie,

az wspomniana pani wypożyczy książki i zniknie za drzwiami.

– Jak miło cię tu widzieć, Linnette! – z uśmiechem powitała ją Grace.

– Dzień dobry... – bąknęła, bo poczuła, jak coś ściska ją za gardło. Czyzby miała się rozpłakać? Byłby to upokarzający dowód, jak okropnie jest uzależniona od Calu.

– W czym mogę ci pomóc, Linnette?

Grace, zona Cliffa, bardzo się jej podobała. Matka Linnette zawsze wyrażała się o niej w samych superlatywach, a z tego, o czym kiedyś wspomniał ojciec, wynikało, że Grace swego czasu była jego klientką.

– Nie zapisałam się jeszcze do biblioteki...

– To już należy do przeszłości! – oświadczyła energicznym głosem Grace i wręczyła Linnette formularz.

– Proszę go wypełnić.

– Dziękuję. – Odebrała kartkę drżącą ręką. – Szczerze mówiąc, przyszłam tu głównie po to, by porozmawiać z panią.

– Ze mną? – zdziwiła się Grace. – Alez bardzo proszę! Będzie mi miło, niezależnie od tego, czy zapiszesz się do biblioteki, czy nie!

– Nawet... jeśli chcę porozmawiać o Calu?

237

– Och... – Z miny Grace wynikało niezbcie, że akurat tego tematu chciałyby uniknąć. – Wolałabym tutaj o tym nie rozmawiać. Przepraszam, Linnette... – Podeszła do jednej z pracownic, zamieniła z nią kilka słów, potem wróciła i sięgnęła po torebkę. – Załatwione. Dziś wychodzę na lunch wcześniej. Więc ruszajmy.

– Dziękuję – szepnęła Linnette, położyła formularz na kontuarze i podążyła za Grace.

Całe nabrzeże udekorowane było koszami kwitnących kwiatów porozwieszanymi na latarniach. Linnette bardzo lubiła tu spacerować. Wiele razy przechadzała się tu razem z Calem. Trzymali się za ręce i rozmawiali, to znaczy głównie mówiła ona, ale Cal nie miał nic przeciwko temu. Podejrzewała, że niezależnie od wady wymowy, jest z natury małomówny.

– Czy Cal ostatnio odzywał się do państwa? – spytała po dłuższej chwili Linnette, z trudem dostosowując swój krok do tempa Grace. Zwykle szła dwa razy szybciej.

– Dzwonił niedawno do Cliffa, chyba nawet wczoraj. A do mnie nie zadzwonił, pomyślała.

– Czy u niego wszystko w porządku?

Grace powoli pokiwała głową. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, milczała jednak. Czyzby ugryzła się w język? W każdym razie na pewno to, co chciała powiedzieć, do powiedzenia nie było łatwe.

– Czy Calowi coś się stało? – spytała z niepokojem Linnette. – Jest ranny? Potłukł się?

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy!

Weszły do kawiarenki. Grace zamówiła latte o smaku waniliowym, bez cukru.

– A ty na co masz ochotę, Linnette?

– Dziękuję, jakoś na nic. – Była tak zdenerwowana, że niczego by nie przełknęła. – Czy pani podczas lunchu zawsze pije tylko kawę?

– Zwykle jem też kanapkę albo zupę – powiedziała Grace, odliczając pieniądze za kawę. – Tyle ze powinnam

bardziej uważać na swoją wagę. Mam z tym trochę problemów, w przeciwieństwie do innych osób, chociażby twojej mamy czy Olivii! – Uśmiechnęła się. – Ale teraz tylko kawa. Zjem później.

Poczekają, aż kawa będzie gotowa, poszły do altanki koło parku i usiadły na ławeczce, skąd roztaczał się piękny widok na zatokę.

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby pani mi powiedziała, co się stało.

Grace powoli wypila łyk latte, wreszcie powiedziała:

– Na pewno wiesz, że razem z Calem w Wyomingu jest Vicki Newman?

– Tak. Wiem. Dojechała tam później.

– Vicki jest świetnym weterynarzem, a wiele z tych koni ma problemy ze zdrowiem.

– Słyszałam o tym... – Linnette wiedziała już, ku czemu Zmierzala Grace. Cal zakochał się w Vicki. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, czuła, że stało się właśnie to.

Grace znów zamilkła na dłuższą chwilę, więc Linnette postanowiła ułatwić jej zadanie.

– Cal związał się z Vicki? – spytała wprost.

– Nie rozmawiałam z nim o tym – powiedziała cicho Grace – ale z tego, co mówi Cliff, wynika, że Cal coś do niej czuje. Z tym że znając Vicki, można być pewnym, że to nie jej inicjatywa. To nie jest kobieta, która rzuciłaby się na czyjś faceta...

– Pewnie tak... – Wcale nie było to pocieszające. Bo co z tego, że Vicki nie rzuca się na Cala, skoro Cal i tak jest nią zainteresowany.

Grace wzruszyła ramionami.

– Dla mnie to wszystko jest jakieś dziwne. Przecież

ona jest tak... mało kobieca. Nie chcę być jędzą, ale przecież wszyscy to widzą. Nigdy nie uczesze się, nie ubierze jak prawdziwa kobieta. Nikt nigdy nie słyszał, żeby miała chłopaka czy w ogóle jakieś życie towarzyskie. Prawdę mówiąc, dla Cliffa i dla mnie to po prostu szok... Z drugiej strony są z sobą dzień w dzień, pracują razem... To wszystko, co wiem na ten temat.

– Tak, rozumiem. Dziękuję, że pani mi to powiedziała. Jestem pewna, że to tylko chwilowe zauroczenie. – Linnette starała się wygłosić to spokojnym, stanowczym głosem. Gdy Grace milczała, dodała, nie kryjąc paniki w głosie: – Muszę z nim porozmawiać! Co prawda niedługo wraca, ale wolałabym wcześniej wyjaśnić tę sytuację...

– Masz rację, Linnette – powiedziała Grace. – Jestem pewna, że wkrótce będziesz miała okazję z nim porozmawiać. Ta okazja zdarzyła się nadszpedziewanie szybko, bo kiedy wróciła do samochodu, sprawdziła komórkę. Okazało się, że ktoś się nagrał. Ktoś, czyli Cal. Oddzwoniła do niego, ale nie odbierał, więc się nagrała. Przekazała, że dziś wieczorem będzie w domu i czeka na telefon od niego.

Zadzwoił przed ósmą.

– Linnette...

A ona, zniecierpliwiona długim czekaniem, nie dała mu szansy na żadne głupie „dzień dobry!”.

– Lepiej od razu mi powiedz, co jest między tobą a Vicki Newman! – wrzasnęła, ale jej zdenerwowanie osiągnęło już stadium, w którym nie ma miejsca na uprzejmości.

- Ty wiesz?
- Ze chodzi o Vicki? Owszem. I uważam, że powinniśmy z sobą uczciwie porozmawiać.
- Bardzo mi przykro.
- Nie wyobrazam sobie, żeby było inaczej!
- Linnette, przestań!
- Co mam przestać?
- Przepraszam.
- Dobrze. Wybaczam ci. Przeprosiny przyjęte. – Pomyślała, że może to tylko burza w szklance wody. Ona tutaj szaleje, a Cal już się opamiętał. Poczła wielką ulgę, serce zaczęło bić wolniej, ustąpiło okropne pulsowanie w skroniach...
- Kocham Vicki.
- Co?! – krzyknęła z rozpaczą, jednocześnie powtarzając sobie w duchu, że to po prostu niemożliwe.
- Chciałem wyjechać do Wyomingu nie tylko ratować mustangi. Chciałem wyjechać, żeby spokojnie pomyśleć. Z dala od ciebie. Czyli chciał uciec...
- Co?!
- Bardzo jestem wdzięczny za to, co było między nami, ale chciałem porozmawiać z tobą. Próbowałem, ale nie udało się.
- Dlaczego?
- Bo w mówieniu nie jestem dobry. Później, już tutaj, pomyślałem, żeby do ciebie napisać. Tyle że wyszedł beznadziejny list. Bo to wszystko razem jest jakieś takie... wredne.
- A nie jest?
- Linnette, naprawdę oddałbym wszystko, żeby ciebie

nie zranić.

Juz to zrobił. Bolało okropnie, tak bardzo, że zaczynało brakować jej powietrza. Przysiadła na krześle, w jednym ręku ściskając telefon, drugą przyciskając do czoła.

– Nawet jeszcze jej nie pocałowałem – powiedział cicho Cal.

– Ale twierdzisz, że ją kochasz.

– Tak. Ja to wiem.

– Rozumiem... – Myślała gorączkowo. Może jeszcze jest nadzieja? – Cal, uważam, że powinieneś to spokojnie przemyśleć, zastanowić się nad swoimi uczuciami i reakcjami. Jesteście tam tylko we dwoje, sami. To logiczne, że ona zaczęła ci się podobać. Ale kiedy tu wrócisz, wszystko się zmieni.

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie zmieni się.

Zauważyła, że jest bardzo opanowany, kwestie wygłasza prawie bez zająknięcia, jakby starannie przygotowywał się do tej rozmowy, jakby wielokrotnie przećwiczył te zdania.

– Wracam do Cedar Cove, Linnette. Wyjeżdżam jutro rano...

– Chwała Bogu! – Kiedy wróci, na pewno uświadomi sobie swój błąd.

– Wiem, że moje uczucia do Vicki nie zmienią się. Chcę ją prosić, by została moją żoną.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

W środę Grace przyjechała do Pancake Palace pierwsza, Olivia pojawiła się kilka minut później. Miały w planach kawę, coś słodkiego i najświeższe plotki – taka mała nagroda za wyciskanie z siebie siódmych potów na aerobiku. Grace początkowo gotowa była darować sobie aerobik i jechać od razu do Pancake Palace, Olivia jednak była nieugięta. Najpierw trening, potem rozpusta. Grace pojęczała trochę, ale Olivia nie odpuściła. Z czego Grace w sumie wcale nie była tak bardzo niezadowolona. Kiedy usiadła przy stoliku koło okna, natychmiast pojawiła się Goldie, mocno starsza już kelnerka, i zgodnie z obyczajem panującym w Pancake Palace, naląła do kubka Grace bezkofeinową kawę.

– Olivia zaraz tu będzie – powiedziała Grace, podsuwając drugi kubek.

Goldie napełniła go.

– Co wam przynieść, dziewczynki? To co zwykle?

Grace skinęła głową. Śmiało mogła podjąć decyzję w imieniu przyjaciółki, skoro ich przyjaźń datuje się od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Tyle lat. Teraz były już po pięćdziesiątce, obie powtórnie wyszły za mąż, a ich przyjaźń trwała. Nadal były sobie tak bliskie jak wtedy, kiedy po lekcjach przybiegały tutaj na wodę sodową.

Pancake Palace w Cedar Cove miał status powszechnie szanowanej instytucji, a Goldie była tu od zawsze, stąd to jej: „Co wam przynieść, dziewczynki?”.

Do restauracji weszła Olivia. Grace spojrzał na przyjaciółkę z podziwem. Miały za sobą intensywny trening, a u Olivii każdy włoszek był na swoim miejscu. Zawsze taka była. Dokładne przeciwieństwo obecnego męża,

Jacka Griffina. Tworzyli bardzo interesującą parę. Olivia propagowała porządek, a Jack... no cóż, raczej nie. Ale niezależnie od tego udawało im się z sobą wytrwać, i to bez większego wysiłku.

– Zamówiłam już – powiedziała Grace, kiedy Olivia rozsiadła się na krześle. – To co zwykle.

– Świetnie... – Olivia wypła łyk kawy i stwierdziła z satysfakcją: – Doskonała. A co u ciebie, Grace? Jak minął wam tydzień?

– Chyba nieźle.

– Chyba?

– Cliff rozmawiał z Calem, który wraca do Cedar Cove z dwoma mustangami.

– Jak rozumiem, to dobra wiadomość?

– Niby tak...

– Grace, co się dzieje?

Do tej chwili rewelację o romansie Cala i Vicki Newman trzymała w tajemnicy. Uważała, że nie ma prawa tego rozgłaszać, tym bardziej że Cal związany był z Linnette McAfee. Ale w zeszły czwartek Linnette przyszła do biblioteki, bo czuła, że dzieje się coś niedobrego. Grace miała wielką ochotę zmyć Calowi porządnie głowę, bo nie zachował się uczciwie wobec Linnette.

– Grace! Odpłynęłaś?

– Och, przepraszam. Zamyśliłam się. To przez Cala.

– Powiedziałaś, że wraca.

– Tak, ale wyobraź sobie, że wczoraj, kiedy rozmawiał przez telefon z Cliffem, przekazał prawdziwą sensację. Chce się zenić. Z Vicki Newman!

– Co? – zdumiała się Olivia. – Przecież spotyka się z Linnette McAfee!

– Spotykał się.

– O nie... Czy Linnette wie o tym?

– Cliff nic mi o tym nie mówił, ale Linnette musi się czegoś domyślać, bo w zeszłym tygodniu przyszła do mnie do biblioteki i spytała wprost, czy Cliff i ja mamy jakieś wieści od Cala.

– Powiedziałaś jej?

– Tak. Owszem, to nie moja sprawa, ale czułam, że powinnam coś powiedzieć tej biednej dziewczynie. Staralam się zrobić to jak najdelikatniej. – Co z tego, skoro teraz czuła się okropnie. Przecież swoimi słowami doprowadziła

Linnette do rozpacz.

– A jemu najchętniej skreśliłabyś kark? – spytała Olivia.

– Zasłużył na to. Spodziewałam się, że potrafi lepiej to rozegrać. Linnette jest zdruzgotana. Z tego, co mówiła Corrie, po raz pierwszy w życiu tak bardzo się zaangażowała.

– Biedna dziewczyna...

Grace już podczas pożegnalnego przyjęcia miała przeczucie, że między Caliem a Linnette nie wszystko jest idealnie. Potem Cliff napomknął, że Cal jakoś za bardzo wyrywa się do Wyomingu, jakby przede wszystkim chciał stąd wyjechać. No i teraz wszystko już jasne...

– Grace, a co ty wiesz o tej Vicki Newman?

Grace chodziła do Vicki z ciężko chorą na nowotwór suczką Buttercup. Była pod wrażeniem, ile serca okazuje zwierzętom Vicki. Chodziła też do niej z kotem Sherlockiem, na szczęście tylko na szczepienia i sprawdzenie ogólnego stanu zdrowia. Poza tym Vicki często przyjeżdżała na ranczo, do koni. Czasami razem z Grace i Cliffem

piła kawę, lecz rozmowa przy takich okazjach była raczej sztywne.

– Wydaje się miła, ale...

– Ale co?

Grace wcale nie miała ochoty mówić tego głośno, nawet przyjaciółce, mimo to powiedziała, choć czuła się z tym paskudnie.

– Dla mnie ona jest taka jakaś... inna. Tylko nie zrozum mnie źle. Lubię ją, jest bardzo dobrym weterynarzem, zawsze zachowuje się poprawnie. Chodzi mi tylko o to, że chyba ma lepszy kontakt ze zwierzętami niż z ludźmi.

– To samo można powiedzieć o Calu, prawda?

– Święta prawda... Wyobraź sobie, że Cal przy koniach w ogóle się nie jękał. Dzięki wizytom u logopedy zrobił wielkie postępy, sędzę jednak, że komunikowanie się z innymi ludźmi wciąż jest jego słabą stroną, co niewątpliwie wpływa na jego relacje z Linnette. W ogóle oceniam, że to człowiek bardzo skryty.

Goldie przyniosła torcik z kremem kokosowym, dołała kawy i się oddaliła.

– Bardzo szkoda mi Linnette – powiedziała Olivia.

– Mnie też – przyznała ze smutkiem Grace. – Pozostaje tylko nadzieja, że Cal podjął słuszną decyzję. Olivio, a co tam u ciebie? Jakież sensacje?

– Dwie.

– O! Cała zamieniam się w słuch!

– Pierwszą przekazała mi mama. Wyobraź sobie, że z Benem skontaktował się jego starszy syn, Steven.

– Ten, który mieszka w Kalifornii?

– W Kalifornii mieszka David. Steven mieszka na Saint Simons Island w Georgii.

– No przecież!

– Wygląda na to, że David znowu ma kłopoty finansowe i prosił brata o pożyczkę. Steven zadzwonił do ojca, żeby mu o tym powiedzieć.

Grace rozsiadła się wygodniej.

– David ma problemy finansowe? Dziwi cię to?

– Oczywiście, że nie! W jego przypadku to reguła.

Pamiętam, jak próbował wyłudzić od mojej matki pięć tysięcy dolarów! Naopowiadał jej, że musi poddać się operacji! Jak sobie o tym przypomnę, cała się trzęsę!

Prawdopodobnie już kilka lat temu ogłosił bankructwo...

– Ale wierzyciele i tak go ścigają. – Grace miała za sobą podobne przeżycia. Zaraz po zniknięciu Dana przeżyła prawdziwy koszmar. Nikomu nie życzyła, żeby przechodził przez to co ona. Nawet David Rhodes. – Pamiętam, że ciebie prosił o załatwienie anulowania mandatu.

– Dobrze pamiętasz!

– Olivio, miały być dwie sensacje.

Olivia jakby trochę się zmieszala.

– Och, to nic takiego...

– Ale powiedz! Skoro zaczęłaś...

– Chodzi o mojego brata, Willa.

– Tak? A co się stało? – Grace starała się powiedzieć to jak najbardziej obojętnym tonem. Will oczywiście nic już dla niej nie znaczył, niemniej rozmowa na jego temat trochę ją kosztowała.

– Już ci wspominałam, że rozwodzą się z Georgią. Sprzedali dom, majątkiem dzielą się po połowie.

– Aha...

Grace było bardzo szkoda, oczywiście nie Willa, a jego żony. Ileż ta biedna kobieta musiała przejść przez te lata!

Niestety Grace też miała w tym swój udział, czego bardzo żałowała. Była na tyle głupia, żeby związać się z Willem. Wreszcie zaczęło do niej docierać, że ich romans – na szczęście platoniczny – nie jest pierwszym w życiu Willa. Całe szczęście, że się z nim nie przespała, gdyby jednak trwało to dłużej, kto wie, czy do tego by doszło. Azgodnie z tym, co mówiła Olivia, Will, uwodząc Grace, jednocześnie romansował z innymi kobietami.

– Wiesz, Grace, co Will powiedział mamie? Wraca do Cedar Cove.

Grace z wrażenia na moment zaniemówiła, wreszcie wyrzuciła z siebie:

– Zartujesz! A co z jego pracą?

– Przeszedł na emeryturę. Chyba nie ma teraz żadnego zajęcia.

Grace zamknęła oczy. Kiedy Will ostatnim razem przyjechał do Cedar Cove, była to po prostu katastrofa. Przyjechał niedługo po tym, jak zerwała z nim znajomość. Wpadli na siebie przypadkiem i wtedy Will starał się ją namówić do zmiany decyzji. Kiedy tak ją przekonywał, nagle pojawił się Cliff i wściekły Will zamachnął się na niego. W rezultacie doszło do okropnej sceny, Will groził Cliffowi sądem, na szczęście Olivia, która była świadkiem zajścia, uświadomiła bratu, że nie ma ku temu żadnych podstaw.

– Martwię się – powiedziała Olivia.

– O kogo? O mnie i Willa? Dobrze wiesz, że nie ma żadnego powodu do zmartwienia.

– To on mnie niepokoi, Grace. Mój brat potrafi wykazać się największą głupotą. Może znów się do ciebie przyczepić.

– Przecież wie, że jestem mężatką.

– Co z tego? Sam nosił obrączkę na palcu i przed niczym go to nie powstrzymywało. Kto wie, czy nie będzie się łudzić, że dla ciebie obrączka też nie jest żadnym hamulcem.

– Wtedy dobitnie mu uświadomię, że jest.

Wtakiej sytuacji Cliff na pewno z chęcią włączyłby się do dyskusji, Grace jednak już postanowiła, że dopilnuje, by nie było takiej okazji. Ci dwaj mężczyźni mają trzymać się od siebie z daleka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Anson Butler po raz pierwszy pocałował Allison Cox w końcu października, w piątek wieczorem. Po skończonym meczu wszyscy zaczęli wchodzić do budynku szkoły, żeby potańczyć, a Anson i Allison zostali na boisku. Usiedli na ławce i gadali, póki ostatnia osoba nie znikła za drzwiami. Wtedy Anson pocałował Allison. Ten pocałunek pamiętała bardzo dokładnie, jakby wydarzyło się to wczoraj.

Anson nie był pierwszym chłopakiem Allison. W jedenastej klasie na przykład chodziła z Clayem, gwiazdą szkolnego sportu, bardzo sympatycznym wesołym chłopakiem. Uczeń z niego był jednak kiepski, interesował go tylko sport, więc niewiele mieli z sobą wspólnego i na początku wakacji zerwali.

Anson był inny. Od kilku lat chodzili do tej samej klasy, ale Allison zwróciła na niego uwagę podczas lekcji francuskiego, kiedy usiedli naprzeciwko siebie. Anson był porażająco zdolny do języków. Wiedzę przyswajał błyskawicznie, najszybciej ze wszystkich, tyle że lekcewazył swoje zdolności, swoją inteligencję, co Allison bardzo się nie podobało.

Teraz siedziała na tej samej ławce, na której pocałował ją po raz pierwszy. Pamiętała wszystko dokładnie, każdy szczegół. Było bardzo zimno, światła na stadionie pogaszone, wiatr pędził chmury po niebie co chwilę zasłaniające księżyc w pełni, i ta powracająca ciemność dawała im poczucie odizolowania od reszty świata. Anson miał na sobie długi czarny płaszcz, na głowie wełnianą czapkę zrobioną na drutach, naciągniętą na uszy. Ręce miał lodowate, bo nie nosił rękawiczek. Allison natomiast

opatulona była od stóp do głów w czerwony płaszcz, szal, kapelusz, rękawiczki, ciepłe buty.

Siedzieli przytuleni do siebie, chroniąc się przed wiatrem.

Najpierw Anson błaznował. Mówił po francusku, ona też coś tam mówiła, śmiała się i nagle, nie wiadomo dlaczego, oboje spowaz'nieli. I wtedy Anson zaczął ją całować. Jakoś tak niepewnie, jakby spodziewał się, że Allison go odepchnie. A ona wcale go nie odpychała, przeciwnie, bardzo chciała, żeby robił dalej to, co zaczął robić. I dała temu wyraz.

To była cudowna chwila. Idealna. Po pocałunku długo patrzyli sobie w oczy, a potem Anson powiedział, że ten pocałunek był jeszcze lepszy, niż to sobie wyobrażał. Ona myślała podobnie.

Piękne wspomnienia przerwała wrzaskliwa komórka.

I dobrze, już dziewiąta, a o dziewiątej miał przecież zadzwonić Anson.

– Anson... – szepnęła.

– Tak, to ja. Shaw mówił, że zadzwonię?

– Tak, dzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Och, Anson, nie masz pojęcia, jak ja za tobą tęsknię.

– Ja też. Jak zakończenie roku szkolnego?

– Bardzo uroczyste. Szkoda, że ciebie nie było. Dziękuję za różę, jest taka piękna. I za to, co napisałeś...

– Allison, a rozmawiałaś z szeryfem? Przekazałaś tę informację od Shawa?

– Tak. Powiedziałam mojemu ojcu. W poniedziałek pojechał razem ze mną do szeryfa. Anson, szeryf Davis koniecznie chce z tobą rozmawiać!

– Pewnie, że chce!

– Przecież nie możesz ukrywać się do końca życia!

– Wiem i dlatego próbowałem dodzwonić się do szeryfa Davisa.

– Rozmawiałeś z nim?! – Co za cudowna wiadomość! Dlaczego nikt jej o tym wcześniej nie powiedział?

– Niestety, nie było go. Spytałem, kiedy będzie, i jakoś nikt nie potrafił mi odpowiedzieć.

– Dlaczego? Czekaj, już wiem. Niedawno umarła jego żona. Moja mama mówiła, że pani Davis chorowała od wielu lat. Po pogrzebie szeryf wziął urlop, pewnie dzwoniłeś w tym czasie. Postaraj się skontaktować z nim jeszcze raz. Koniecznie!

– Dobrze.

– Dzięki za różę – powtórzyła. Włożyła ją między kartki grubej książki, żeby się zaszuszyła, dzięki temu Allison będzie mogła ją przechować na zawsze. Liścik też.

– Oddałbym wszystko, żeby być z tobą, Allison.

Gdzieś w tle usłyszała jakieś głosy, szum, hałas trudny do określenia. Co to może być? Gdzie teraz jest Anson?

– Muszę iść – powiedział cicho.

– Szkoda... A wiesz, gdzie teraz jestem? Na boisku. Siedzę na tej ławce, gdzie siedzieliśmy kiedyś razem i po raz pierwszy mnie pocałowałeś. Pamiętasz?

– Oczywiście! Przez cały wieczór miałem ochotę cię pocałować. Wyglądałaś bardzo ładnie. Miałaś czerwone policzki od mrozu i czerwony płaszcz. Mogłaś wybrać sobie każdego chłopaka, ale byłaś ze mną.

– Przestań!

– Dlaczego?

– Bo się rozplaczę! Bo wyglądałam wtedy okropnie!

– Niby zartowała, ale czuła, że jeszcze chwila i naprawdę zaleje się łzami.

- Chciałbym cię teraz pocałować, Allison.
- Ja też bym chciała... – szepnęła. – Och, Ansonie! Dlaczego tak jest? Dłużej tego nie wytrzymam!
- Wytrzymaj, Allison. Myślę o tobie bez przerwy i tylko dzięki temu udaje mi się przebrnąć przez kolejny dzień. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie ty. Gdyby ciebie nie było. Pamiętaj o tym, dobrze? Nieważne, jak to będzie z tym pozarem, co w ogóle się stanie. Jesteś dla mnie wszystkim. W całym moim życiu nie spotkało mnie nic lepszego niż ty.
- Dobrze... – szepnęła. Wypadło to bardzo załośnie.
- Allison, co z tobą? Masz jakiś problem?
- Och, nieważne.
- Ważne. Co się stało, Allison?
- To nie jest związane ani z tobą, ani z tym pozarem.
- Ale możesz mi o tym powiedzieć.
- Pewnie, że mogę. Pamiętasz Cecilie?
- Ta, co pracuje u twojego ojca?
- Pracowała. Przeprowadza się. Jej mąż służy w marynarce, przenieśli go do San Diego.
- Bardzo mi przykro.
- Ale dlaczego tak jest? Dlaczego odchodzą ode mnie ci, których najbardziej kocham?
- Allison...
- Och, przepraszam. Nie powinnam ci była o tym mówić. Masz tyle swoich problemów.
- Dobrze, że mi powiedziałaś. Przecież kocham cię, Allison.
- Ja ciebie też...
- Opowiedz mi o Cecilii.
- Jest kochana. To wspaniała przyjaciółka. Kiedy moi

rodzice się rozwiedli, zrobiłam się okropna, ale zaczęłam też pracować, dzięki czemu poznałam Cecilie. Też przeżywała kiedyś rozwód swoich rodziców. Powiedziała mi, że tak samo się wtedy buntowała. Na początku wcale nie chciałam jej słuchać. Dalej robiłam swoje, czyli jedną głupotę za drugą. Az kiedyś, kiedy weszłam do pokoju, w którym jadało się lunch, zobaczyłam Cecilie. Siedziała tam sama i płakała. Mogłabym przysiąc, że na coś patrzyła, a kiedy weszłam, szybko schowała do torebki. Domyślasz się, że przy pierwszej okazji zajrzałam do jej torebki... Na szczęście nikt mnie na tym nie złapał. I znalazłam zdjęcie jej zmarłej córeczki. Ansonie, czy wiesz, że ta malutka nazywała się Allison?! Cecilia powiedziała mi potem, że między innymi dlatego tak mnie polubiła... Potrafimy gadać godzinami... Och, nie, Ansonie! Ja tego nie przeżyję! Najpierw ty, teraz ona!

- Ale na pewno utrzymacie z sobą kontakt.
- Oczywiście. Przymknęliśmy, że nigdy o sobie nie zapomnimy.
- A widzisz. I to już coś jest, Allison. A ja na pewno do ciebie wrócę. Przymknę. Jakoś to wszystko zorganizuję. Dawał jej nadzieję, którą będzie się karmić każdego dnia i każdej nocy...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W sobotę, po bardzo długiej zmianie, Rachel sprawdziła komórkę. Dzwonił Nate, i to aż trzy razy, ale nie miała zamiaru oddzwonić, wiedziała przecież doskonale, czego chciał. Do Cedar Cove przyjechali jego rodzice, a Rachel na samą myśl, że miałyby się z nimi spotkać, dostawała gęsiej skórki.

Na szczęście miała świetną wymówkę, bo Teri umknęła w świat z Bobbym Polgarem i ktoś musiał ją zastąpić. Rachel, mimo nawału pracy, starała się obsłużyć jak najwięcej klientek Teri. Po prostu harowała jak wół. Pod koniec dnia, kiedy w salonie były już tylko ona i Jane, obie ledwie żywe, nagle do środka weszła Teri Miller-Polgar! Swobodnym krokiem, jakoś tak bez emocji, jakby z salonu wyszła zaledwie na kilka minut.

Na jej widok Rachel zapiszczała radośnie i wykonawszy krótki sprint, rzuciła się na szyję przyjaciółce.

– Teri! Najwyższy czas, żebyś już do nas wróciła!

– zawołała Jane znad biureczka w recepcji, zajęta liczeniem pieniędzy. Zostawiła to oczywiście i też pobiegła uściskać Teri, a potem chwyciła ją za rękę, żeby dokładnie obejrzeć i pierścionek zaręczynowy, i obrączkę.

– No nie! Po prostu gigant!

– Nie tylko to! – oznajmiła Teri, mrugając do nich wesoło.

– Teri! – Rachel, udając bardzo zgorzoną, klepnęła ją po rękę.

– A skoro o gigantach... gdzie jest nasz wielki pod każdym względem pan Polgar? – spytała Jane.

– Trochę za bardzo go rozpraszałam – Teri spojrzała na przyjaciółki roziskrzonym wzrokiem – dlatego na

turniej do Rosji pojechał sam.

– Nie pojechałaś z nim?!

– Nie. A chociażby dlatego, że... No powiedz, czy ja wyglądam na kogoś, kto ma paszport? – zartowała dalej Teri, biorąc się pod bok. – James przywiózł mnie do Cedar Cove, a ja już czuję się nieszczęśliwa bez mojego Bobby’ego. I założę się, że on czuje się tak samo.

– Twój szofer James? – spytała Jane z przepięknym wyspiarskim akcentem.

– Tenże, moja droga – odparła Teri również dystyngowanie jak rodowita Angielka. – Czeka na mnie...

– Spojrzenie Teri przemknęło po salonie. – Och, dziewczyny, nie uwierzycie, ale naprawdę tęskniłam za tym miejscem! Kazałam mu przywieźć się najpierw tutaj. W domu jeszcze nie byłam...

– Teri, ale powiedz – przerwała jej Rachel. – Bo umieram z ciekawości. Jak to jest być żoną tak znanego faceta?

– Zwyczajnie! Dla mnie Bobby to po prostu Bobby. Prawie przez cały czas rozmyśla o szachach i mówi o tym. Chyba że... – na twarzy Teri pojawił się uśmiech pełen satysfakcji – ...chyba że jest ze mną w łóżku. Dziewczyny, ja go po prostu kocham nieprzytomnie. I kto by pomyślał... ja i Bobby Polgar!

– Wracasz do pracy, Teri? – spytała Jane.

– Oczywiście! Powiedziałam Bobby’emu, że bez pracy nie wytrzymam. On robi swoje, ja też chcę robić swoje. Dla zdrowia psychicznego. Oczywiście mogłabym nie pracować, tylko jeździć z Bobbym z miasta do miasta, z meczu na mecz, ale ja tego nienawidzę. Bo wtedy prawie go nie widuję. Wolę więc mieć sensowne zajęcie, a Bobby,

kiedy tylko będzie mógł, przyjedzie do mnie. Mogę się też z nim spotkać w Nowym Jorku. Ale tak ogólnie rzecz biorąc, wolę być tutaj. Dobrze wiecie, że mam młodsze rodzeństwo, które powinnam mieć na oku. Pilnować braciszka, żeby się wyedukował. Siostrze też jestem potrzebna, bo właśnie pozbywa się beznadziejnego męża.

– Nowy Jork... – powtórzyła rozmarzonym głosem Jane i ruszyła w drogę powrotną do biurka. – Nowy Jork...

– Bobby ma tam apartament na najwyższym piętrze drapacza chmur. Gdzieś na Manhattanie. Nie byłam tam jeszcze, ale wkrótce tam pojedę.

– On ma apartament na Manhattanie, a ty mieszkanko w Cedar Cove – rzuciła znad biurka Jane. – Super! Na całym świecie nie ma bardziej niedobrej pary!

Rachel spojrzała na nią z niesmakiem.

– Jane! Oni się kochają! I to jest najważniejsze.

– I kto to mówi! Miłość najważniejsza? A biedny Nate wydzwania do ciebie od rana, dzwoni przecież i na stacjonarny, ale ty nie raczysz oddzwonić!

– To całkiem inna historia!

– Przede wszystkim to my wiemy, co jest grane. Boisz się spotkać z jego rodzicami, dlatego go unikasz. Dajesz dyla, choć to ty, a nie kto inny, wciąż trąbisz na wszystkie strony, że miłość zawsze zwycięży!

– Nie spotkam się z nim w ten weekend tylko dlatego, że wcześniej umówiłam się z Jolene!

– Umówiłaś się z nią specjalnie w weekend, żeby z nim się nie spotkać, czyli nie spotkać się z jego rodzicami!

Tak było, ale Rachel nie miała zamiaru do tego się przyznać.

– Och, przestań już, Jane! Teri, opowiedz nam lepiej o Las Vegas. Rewelacja, co?

– Jasne! – Oczy Teri rozbliły. – Z tym że prawie nie wychodziliśmy z pokoju. W rezultacie byłam w Las Vegas, ale nawet nie pograłam na automacie, o ruletce nawet nie wspominając. Chcecie wiedzieć, w jaki sposób Bobby wypełniał mój czas?

– Chyba się domyślamy – powiedziała szybko Rachel, stojąc na stanowisku, że pewne szczegóły zachowuje się dla siebie.

Znów odezwał się telefon. Jane spojrzała na Rachel.

– Odebrać czy niech się nagra?

– Niech się nagra.

– Rachel, jesteś zwyczajnym tchórzem.

Co było najprawdziwszą prawdą. Rachel umierała ze strachu przed jego rodzicami, zwłaszcza mamuszką. Nic na to nie mogła poradzić. Jedna króciutka rozmowa przez telefon z Patrice Olsen wystarczyła, by przekonać się, że wszelkie obawy są jak najbardziej uzasadnione. Patrice nie widziała jeszcze Rachel na oczy, a już jej nie lubiła, dając jasno do zrozumienia, że należą do dwóch całkiem odmiennych światów.

Oczywiście! Z tym że Rachel wcale nie była pewna, czy chciałaby należeć do świata Patrice Olsen.

– Rachel? – odezwała się półgłosem Teri.

– Ach, nieważne. – Machnęła lekceważąco ręką, pragnąc zakończyć temat Nate'a. – Opowiadaj o sobie i o Bobbym.

Czego nie trzeba było Teri powtarzać dwa razy.

– Bobby chce mi kupić dom w Cedar Cove, a ja postanowiłam w tajemnicy przed nim nauczyć się grać w szachy. Trochę poczytałam już na ten temat. Czy

wiecie, że za ojczyznę szachów uważa się Indie? Na początku było to coś w rodzaju gry w kości. Wymyślono je tysiąc czterysta lat temu! Macie pojęcie? Tysiąc czterysta!

– Nie mów! – Jane z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Mnie też trudno było w to uwierzyć. I wyobraźcie sobie, że w szachy grało wiele bardzo znanych osób. Charles Dickens, Tolstoj, sir Walter Scott. Także Humphrey Bogart i John Wayne. To po prostu fascynujące! Choć szczerze mówiąc, niewiele miałam czasu na czytanie... Oczywiście Teri zaiskrzyły się niebezpiecznie, Rachel uznała więc za stosowne zmienić temat.

– Będziesz miała dom? A co z twoim mieszkaniem? Sprzedasz je?

– Och, tym zajmie się Bobby. To znaczy ma człowieka, który tym się zajmie. Ja nie muszę się niczym martwić. No i powiedzcie same, czy ten mój Bobby nie jest cudowny? A traktuje mnie tak, jakbym była jedyną kobietą we wszechświecie! Ja już sama nie wiem, czym sobie zasłużyłam na tyle szczęścia...

– Po prostu go ostrzygłaś! – zawołała Jane, wkładając w gumkę recepturkę zwitek rachunków. – Jedno strzyżenie i proszę, jak potrafiła się urządzić!

Teri, zbyt zadowolona z życia, żeby się obrazać, zaśmiała się.

– Dziewczyny, jedziemy do mnie. Zapraszam was na obiad.

– Dzięki, Teri, ale nie mogę – powiedziała wyraźnie rozczarowana Jane. – Idziemy do teściów.

– Ja też, niestety, nie mogę – powiedziała Rachel.

– Kiedy wracasz do pracy, Teri?

– Może wtorek?

– Świetnie. Wszyscy będą zachwyceni, kiedy ciebie zobaczą.

Jane i Rachel zaczęły zbierać się do odejścia. Kiedy Rachel kończyła porządkować swoje stanowisko pracy, Teri nachyliła się do niej i spytała:

– Wychodzisz dziś? Z kim?

– Nie, siedzę w domu, ale Bruce przyprowadzi Jolene.

Teri, może wpadniesz do mnie na chwilę? Moim sąsiadom oko zbieleje, kiedy zobaczą twoją limuzynę i Jamesa.

– Przepraszam, Rachel, ale nie. Niebawem będzie dzwonił do mnie Bobby.

– A nie możesz pogadać z Bobbym u mnie?

– Chcesz, żeby mała Jolene podsłuchiwała naszą rozmowę?

– Nie, nie! – Rachel zaśmiała się pogodnie. – Tego na pewno nie chcę!

Wyszły na parking, gdzie James stał karnie obok limuzyny, czekając na polecenia.

Teri zatrzymała się.

– Rachel, nadal ci na nim zależy? Oczywiście chodzi o Nate’a.

Rachel westchnęła. Wiadomo, że szalała za Nate’em, ale nie była aż tak szalona, żeby stanąć twarzą w twarz z jego matką. Oczywiście, że kiedyś będzie musiało to nastąpić, ale im później, tym lepiej.

Przyjaciółki wymieniły serdeczne uściski i rozeszły się do swoich samochodów. Kiedy Rachel dotarła do domu, zaraz pojawił się Bruce z Jolene.

– Przynieśliśmy obiad! – obwieścił Bruce, demonstrując pudełko z pizzą. W drugiej ręce trzymał torbę z rzeczami córki, ponieważ Jolene miała zostać u Rachel na noc.

– Tata, to ty już idź sobie – powiedziała Jolene.
Rachel roześmiała się, Bruce był wyraźnie zdegrustowany.
– Chwileczkę, a kto kupił pizzę?
Jolene spojrzała pytająco na Rachel.
– Myślę, że twój tata powinien z nami zostać – stwierdziła z uśmiechem Rachel.
– No dobrze... – Dziewczynka wcale nie była zachwycona.
– Ale jak zjemy pizzę, to tata pójdzie. Przecież nie będzie razem z nami oglądał filmu!
– Jakiego filmu? – spytał Bruce półgłosem.
– „Naręczona dla księcia” – szepnęła Rachel. – Jej ulubiony film.
– Wszystko słyszałam! – zawołała Jolene. – Ale ty też lubisz ten film, Rachel!
– Oczywiście!
– Bez obaw, na pewno tego filmu nie będę oglądał. Mam lepsze zajęcie. Biorę się do malowania salonu – oznajmił Bruce.
Rachel poszła do kuchni, wyjęła z szafki trzy talerze i postawiła na stole.
– Masz może czerwoną paprykę? – spytał Bruce.
– Na górnej półce, z prawej strony! – poinstruowała go z głową w lodówce, skąd wyjmowała trzy puszki z colą. Zadzwoił dzwonek u drzwi.
– Ja otworzę! – krzyknęła Jolene i popędziła do drzwi. A Rachel zamarła sparalizowana straszliwym przecuciem. Które jej nie myliło. W drzwiach stał Nate Olsen razem ze swoimi rodzicami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Justine spędziła dwie godziny z architektem z Bremerton. Wszystko poszło tak, jak chciała. Podekscytowana i szczęśliwa, zadzwoniła do matki, która poprosiła, żeby Justine w drodze powrotnej wpadła do niej. Tego dnia – Dnia Flagi Narodowej – sądy były zamknięte. Urzędnicy federalni i stanowi mieli dzień wolny od pracy, cała reszta pracowała jak zwykle.

Kiedy Justine wchodziła do domu matki, usłyszała szum odkurzacza. A więc proszę, to tak pani sędzina spędza wolny dzień! Chociaż w sumie nie było to takie dziwne, skoro pani sędzina miała prawdziwego hopla na punkcie porządków, tak samo zresztą jej matka, Charlotte. Zgodnie twierdziły, że w starym porzekadle – schludność idzie w parze z pobożnością – jest sto procent prawdy. Teoretycznie Justine zgadzała się z nimi, w praktyce miała jeszcze inne priorytety. Nie tylko sprzątanie – także mąż, syn, praca, przyjaciele... Co do pracy, to w banku wręczyła już wypowiedzenie. Szef starał się ją zatrzymać, oferował nadzwyczajne warunki, jednak Justine miała inne plany.

Zapukała do drzwi, po czym sama je otworzyła i od razu w holu czekała na nią niespodzianka. Bo to nie Olivia operowała odkurzaczem, lecz jej mąż. Jack Griffin ze słuchawkami na uszach, przepasany fikuśnym fartuszkim małżonki, zajadle walczył z kurzem.

Kiedy zobaczył Justine, w jego oczach zobaczyła szok. Trudno. Ona złośliwej uwagi plus pełnego zachwytu uśmiechu nie mogła sobie darować:

– Proszę, proszę, i kogo my tu widzimy!

Jack spojrzał na nią ze złością i zdjął słuchawki.

A Justine pastwiła się nad nim dalej:

– Ale sensacja! Moze zadzwonić po reportera z „Chronicle”?

– Piñiesz komuś słowo i nie zyjesz!

Jeszcze raz spojrział na nią bardzo groźnie i zaczął wołać Olivię, która juz wychodziła z kuchni, wycierając ręce w ściereczkę do naczyń.

– Boze! Jak dzieci! Jak dzieci! – skomentowała incydent.

Jack przystąpił do wyjaśnień:

– Twoja matka uwaza, ze odkurzanie równie korzystnie wpływa na kondycję fizyczną, jak jogging. A ma wielką siłę perswazji, dobrze o tym wiesz. Pewnie skończy się na tym, ze w ten sposób będę trenował codziennie.

– Zawsze w fartuszkuz? – spytała niewinnym głosem Justine.

Jack spojrział na Olivię.

– To ona wymyśliła taki strój roboczy. – Zdjął fartuszek i z obrzydzeniem cisnął go na sofę. – Miała bowiem jeszcze jedną koncepcję. Wycieranie półek z kurzu! Justine, pamiętaj, ze wszystko, co tu się dziś wydarzyło, jest ściśle tajne!

– Będę milczała jak grób. – Podniosła dwa palce jak do przysięgi.

– Dajcie juz z tym spokój! – Olivia szybko podeszła do córki i serdecznie ją uścisnęła. – Miło, ze wpadłaś. Jak poszło spotkanie z architektem?

– Świetnie! Mamo, naprawdę zaczynam mieć nadzieję, ze twój pomysł wypali!

– Bo wypali! A tak dla ściśłości, to wcale nie był tylko mój pomysł. Wpadliśmy na niego razem, pamiętasz? Ja powiedziałam, ze dobrze by było, gdyby w Cedar Cove był elegancki lokal, dokąd mozna pójść na dobrą herbatę.

I wtedy ty zaskoczyłaś.

W tym czasie Jack wyłączył odkurzacz i upchnął go w szafie w korytarzu.

– Ale ja nie będę musiał tam chodzić na herbatkę z ciasteczkami? – spytał, udając, że podnosi filizaneczkę do ust, trzymając ją z pretensjonalnie wygiętym małym palcem. – Och!

– Nie, jeśli będziesz odkurzał w fartuszku! – odparowała Justine.

– Rzeczywiście, bardzo zabawne. – Po raz enty spiorunował ją wzrokiem.

– Nie denerwuj się, Jack. Następnym razem zamknę porządnie drzwi – uspokajała go zona.

– Następnego razu nie będzie.

– Będzie, kochanie.

Jack już nie dyskutował, tylko spojrzął na zegarek.

– Lecę do redakcji. Ktoś przecież musi pracować, prawda?

Pocałował Olivie, wystarczająco długo, żeby matka splonęła rumieńcem jak nastolatka, potem złożył elegancki ukłon i posunął do drzwi. Po drodze spojrzął przelotnie na Justine i mrugnął do niej. Ona do niego i Jack znikł za drzwiami.

Justine była zachwycona małżeństwem matki. Po raz pierwszy od śmierci Jordana Olivia była naprawdę pogodna, po prostu szczęśliwa.

Zasiadły do stołu, rozmowa oscylowała oczywiście wokół herbaciarni. Zastanawiały się, które gatunki herbaty są najlepsze, jakie filizanki będą najodpowiedniejsze, jakie kupić jeszcze naczynia. Justine zdecydowała, że nie będzie kupować jednakowych filizanek. Każda będzie

inna. Poza tym spytała mamę wprost, czy wkońcu zdradzi jej słynny rodzinny przepis na tort z kremem kokosowym. Mama powiedziała, że tak. Uzgodziły też, że na lunch w herbaciarni podawać się będzie zupy, sałatki i kanapki. Każdego dnia polecać się będzie coś specjalnego. Sporządziły listę potrzebnych przepisów kulinarnych, omówiły też wystrój wnętrza.

W południe Justine odebrała synka z przedszkola.

Kiedy Leif przysnął, rozłożyła na kuchennym stole pierwsze, pobieżne szkice architekta i zaczęła ołówkiem nanosić poprawki, które przysły jej do głowy po rozmowie z matką. Rozpierała ją energia. Zanim Leif się obudził, gotowy obiad stał na kuchence, sałatka była zrobiona. Butelka wina chłodziła się w wiaderku z lodem, a Justine nie mogła się doczekać powrotu męża z pracy. Miała mu przecież tyle do powiedzenia!

Kiedy wreszcie zadzwonił dzwonek do drzwi, pomyślała, że to nie Seth. Ktoś obcy, bo Penny, biegająca po podwórku, zaczęła ujadać. Niestety, Leif okazał się od mamy szybszy. Zanim zdążyła go powstrzymać, sam otworzył drzwi. Teraz stał, zadzierając głowę, i wpatrywał się w nieznanego pana.

Warrena.

– Witaj – powiedziała Justine uprzejmie, starając się nie dać poznać po sobie, że nie cieszy się jego widokiem.

– Dzień dobry, Justine. Mogę wejść na minutę?

A to już problem, ponieważ Seth może zjawić się w każdej chwili.

– Proszę, wejdź – powiedziała bez entuzjazmu, otwierając szerzej drzwi. Wyraźnie speszony Leif przykleił się do jej nogi, wzięła go więc na rękę. – Czego sobie

zyczysz, Warrenie?

– W zeszły piątek wpadłem do banku, ale ciebie nie zastałem. Powiedziano mi, że złożyłaś wymówienie. Nic mi o tym nie mówiłaś!

Bo to nie twoja sprawa. Tego oczywiście Justine nie powiedziała na głos.

– To była praca tylko na jakiś czas, dopóki razem z Sethem nie zdecydujemy, co dalej z restauracją.

– Podjęliście już decyzję?

– Tak! – Justine nie mogła się powstrzymać od promiennego uśmiechu. – Odbudowujemy!

– Mówiłaś mi, że jesteś rozczarowana, bo Seth nie chce słyszeć o twoich pomysłach. Czy to się zmieniło?

– Raczej tak – odparła bardzo oględnie, nie zamierzając zdradzać mu ani tajników swego przedsięwzięcia, ani małżeństwa.

– Znamy się od lat, Justine. Może powiesz coś więcej o waszych planach? Mam nadzieję, że włączysz mnie do ich realizacji?

Wtym momencie Justine gorzko pozałowała, że kiedyś była wobec niego bardzo szczerą. Nieważne, że przyjaciel, po prostu czuła się nielojalna wobec męża.

– Przepraszam, Warrenie, ale nie bardzo mam teraz czas, żeby o tym opowiadać. Mogę tylko powiedzieć, że jestem bardzo podekscytowana.

– To wspaniale.

Leif, znudzony rozmową dorosłych, zaczął się wiercić.

Justine postawiła go na podłodze, mały zaczął marudzić.

– Mamo, chodź! Poczytasz mi? „Dobranoc, księżycu!”

Juz teraz, dobrze?

– Przepraszam, Warrenie, muszę zająć się synkiem.

– Alez tak, oczywiście. – Warren ruszył do drzwi.

– Justine, moja firma może zająć się tą odbudową. Pokazesz mi projekt?

– Oczywiście. – Wiedziała jednak doskonale, że Seth za żadne skarby nie zleci tego Warrenowi. Po pierwsze znany był z kiepskich metod pracy i kiepskich materiałów, a po drugie będzie starał się wykorzystać każdą okazję, by jak najwięcej przebywać z Justine.

Warren doszedł do drzwi, ale przed progiem przystanął.

– Nigdy nie ukrywałem, co do ciebie czuję, Justine. Dobrze wiesz, że chciałbym być dla ciebie czymś więcej niż tylko budowniczym.

– Warrenie, proszę!

– Jesteś dla mnie wszystkim, Justine. Tak było zawsze.

– Warrenie! Nie zapominaj, że jestem mężatką! Kocham mego męża i synka.

– Ale między wami wcale nie jest dobrze!

– Były pewne problemy, jak w każdym małżeństwie, ale to już przeszłość.

– Czyżby? A może tylko cisza przed następną burzą? Nagle otworzyły się drzwi na tyłach domu. Do środka wszedł Seth z Penny przy nodze. Suczka zaczęła biec do Warrena, ale Seth krzyknął:

– Wróć!

– Dzień dobry, kochanie!

Justine, bardzo zadowolona z widoku męża, pocałowała go w policzek, obejmując go w pasie. Takie milczące przesłanie dla Warrena.

Seth nachylił się, ucałował synka i pogłaskał Penny.

– Witaj, Warrenie – powiedział, prostując się na całą swoją wysokość.

– Witaj – odparł Warren tak samo chłodno jak Seth.

– Warren właśnie wychodzi – powiedziała Justine.

Dalszych wyjaśnień postanowiła udzielić mężowi później, gdy zostaną sami.

– Przyszedłem tu, żeby porozmawiać o odbudowie waszej restauracji – powiedział Warren.

– Rozumiem... – mruknął Seth. Podeszedł do drzwi i otworzył. Warren nie ruszał się z miejsca. Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem, w oczach każdego to samo. Śmierć.

– Nie bądźcie śmieszni! – rzuciła gniewnie Justine, wkraczając między nich. – Warrenie, bardzo proszę, idź już!

Spojrzał na nią jak niesłusznie skarcony chłopczyk.

– Myślę, że powinnaś powiedzieć Sethowi.

– Co? Co ma mi powiedzieć?! – huknął Seth.

Penny zaszczekała, ale dalej karnie siedziała przy nodze swojego pana. Mały Leif uciekł do drugiego pokoju.

– Nie mam ci nic do powiedzenia! – krzyknęła wściekła Justine. Warren chciał zrobić aferę, żeby ona i Seth znów zaczęli się kłócić. Ale ona nie zamierzała do tego dopuścić. – Warrenie, masz trzymać się ode mnie z daleka! Nie życzę sobie, żebyś mi się narzucał! Czy to jasne?!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Maryellen swój stan odczuwała wyjątkowo intensywnie. Była w ciąży, po stokroć w ciąży. Dziecko w każdej chwili mogło przyjść na świat, a ona nigdy jeszcze w życiu tak bardzo na coś nie czekała. Wszystko przygotowane. Torba spakowana, dom wysprzątny dzięki Ellen i Joemu, kocyk dla maluszka zrobiony. Nowo narodzone dziecko Maryellen przywiezie do domu owinięte w jasnozółty kocyk, który sama zrobiła na drutach.

Mijał kolejny słoneczny dzień. Maryellen siedziała na sofie i składała ręczniki wyjęte z suszarki. Jeszcze ciepłutkie. Jon pracował w gabinecie na parterze. Miał tam ciemnię, komputer i drukarkę do fotografii cyfrowych. Był więc pod tym samym dachem, pod którym przebywali też jego rodzice, ale jakoś nie miał oporów, co było oznaką, że jego postawa ulega zmianie. Na razie niewielkiej, ale to już zawsze coś.

Joe i Ellen zabrali Katie na dwór, na słońce. Jak każdy maluch, Katie uwielbiała poznawanie świata. Przez przeszklone rozsuwane drzwi Maryellen widziała, jak cała trójka wędruje dookoła ogrodu, podziwiając każdy kwiatek i każde źdźbło trawy.

Katie ogromnie przywiązała się do dziadków. Do tego stopnia, że podczas ich nieobecności mówiła o nich bezustannie. Jon wtedy zręcznie zmieniał temat, choć nigdy nie powiedział złego słowa o swoich rodzicach. Zadzwonił telefon. Maryellen podniosła słuchawkę, zastanawiając się, czy to matka, czy siostra. Kiedy zbliżał się termin porodu, matka dzwoniła dwa razy w ciągu dnia. Kelly, która sama miała rodzić za kilka tygodni, też dzwoniła do Maryellen bardzo często.

I faktycznie była to Kelly.

– Cześć, kochana. No i jak tam? Jak się czujesz?

– A ty?

– Ja? Czuję, że jestem w ciąży – powiedziała Kelly ze śmiechem. – Ale niespodzianka, co?

– Ze mną identycznie. Też jestem w ciąży – poinformowała Maryellen, ale bez śmiechu.

– Wiesz, nie sądziłam, że dziewięć miesięcy może trwać tak długo – pozaliła się Kelly. Inaczej niż Maryellen miała problemy z zajściem w ciążę, ale kiedy już dopięła swego, ciąża przebiegała idealnie. – Kompletnie nie mam już co na siebie włożyć i codziennie robią mi się nowe rozstępy. Oczywiście nie narzekam, tylko już zapomniałam, jak to jest być w ciąży.

Maryellen miała wielką ochotę przypomnieć siostrze, że całą ciążę uwięziona jest na sofie w salonie i rozpaczliwie tęskni za takim normalnym, zwyczajnym życiem.

Kiedy mogła położyć się do zwyczajnego łóżka i przytulić do męża. Posiedzieć sobie w wannie – co teraz było niedopuszczalne, tak samo jak wchodzenie po schodach.

W rezultacie pokój dla dzidziusia na piętrze urządziły jej matka i Ellen, Maryellen tego pokoju jeszcze nie widziała.

Do tego dochodził ciągły niepokój o nienarodzone dziecko. Próbowwała narzucić sobie bezwzględny optymizm, ale bez skutku. Denerwowała się, że komplikacje w ciąży mogą odbić się na zdrowiu maleństwa.

Kiedy Maryellen odkładała słuchawkę, zauważyła, że w kuchni jest Ellen, zajęta przygotowywaniem zielonej sałaty do obiadu.

– Ellen, a gdzie Katie?

– Na dworze, razem z Joem.

Maryellen spojrzała w okno. W ogrodzie nie było nikogo, ani wnuczki, ani dziadka.

– Nie widzę ich! – zawołała, z trudem wstając z sofy.

– Na pewno gdzieś tam są. Pójdę i sprawdzę.

Ellen opłukała ręce i pomknęła do drzwi.

Maryellen stanęła w otwartych przeszklonych drzwiach. Widziała, jak Ellen szła przez ogród, rozglądając się dookoła, po chwili znikła jej z oczu. Słysząc tylko było, jak woła męża i wnuczkę. Coraz głośniejsze, z coraz większym niepokojem.

Serce Maryellen zabiło jak oszalałe. Serce matki, które wyczuwało, że stało się coś złego.

– Jon! Jon! Mozesz tu przyjść?!

Pojawił się natychmiast.

– Co się stało?

– Nie ma Josepha i Katie!

– Nie ma?! Co to znaczy?

– Katie była na dworze razem z Joem i Ellen. Widziałam ich przez okno. Potem rozmawiałam z Kelly przez telefon. Kiedy skończyłam, zauważyłam, że Ellen jest wkuchni, a w ogrodzie nie ma ani Katie, ani Joego. Jon, ty wiesz, jak Katie lubi wodę, ja...

Jon wybiegł już na dwór. Widziała, jak pędzi przez ogród do strumienia na tyłach posiadłości. Strumień płynął wzdłuż wału ciągnącego się do Pelvis Passage.

Gdyby dziecko tam wpadło, może porwać je szybki nurt i ponieść aż do Zatoki Pugeta!

Przerazona Maryellen czuła, że słabnie. Nagle zobaczyła zadyszana Ellen wybiegającą spośród krzewów zarastających tyły posiadłości. Ellen przechwyciła jej wzrok i pokręciła przecząco głową.

– Gdzie Jon? – krzyknęła Maryellen.

– Pobiegł w dół, do strumienia! Ja nie dałam rady tam zejść!

– A Joe?

– Nie wiem! Nie sądzę, żeby zszedł do strumienia!

Tam jest bardzo stromo! O Boże, Boże... – Głos Ellen drżał, była bliska łez. – Jak to się mogło stać! Przecież Joe cały czas był razem z nią...

Maryellen czując, że za chwilę osunie się na ziemię, oparła się o krzesło. Joe był razem z Katie, bawili się w chowanego. Wystarczyło, że odwrócił się na sekundę, dla trzyletniej dziewczynki wspaniała okazja uciec gdzieś dalej...

Nagle wśród krzewów coś się poruszyło. Maryellen wbiła tam pełen przerażenia wzrok. Jeszcze sekunda i nogi znów się pod nią ugięły, tym razem z przeogromnej ulgi, kiedy usłyszała załosny płacz. Płacze, ale – Boże wielki – jest!

Jon niósł na rękach zapłakaną i ubłoconą Katie.

– A gdzie Joseph? – krzyknęła z rozpaczą Ellen, podbiegając do niego.

Jon coś powiedział, czego Maryellen nie dosłyszała. Podał dziecko teściowej, odwrócił się i znikł wśród krzewów.

Katie płakała, Maryellen czuła jednak, że ze strachu, a nie z bólu. Kiedy Ellen podała jej córeczkę, objęła ją mocno i zaczęła kołysać. Jeszcze przez chwilę plecy małej drżały, potem westchnęła, wsadziła paluszek do buzi i wtulona w matkę ucichła.

Teraz płakała Ellen.

– O Boże, Boże, co z Joem?

Wśród krzewów znów coś się poruszyło, znów pojawił się Jon razem z przemoczonym, dygoczącym ojcem.

Twarz Joego była szara jak popiół, wargi sine.

– Joe! Co się stało? – pytała Ellen, podchodząc do męża.

– Bawiliśmy się w chowanego – wydyszał. – Pobiegła w te zarośla, na brzeg. Poślizgnęła się i zsunęła po brzegu.

Pobiegłem za nią...

Przed oczyma Maryellen natychmiast pojawił się przerażający obraz. Rwący potok, stary człowiek brnie przez wodę, potykając się o kamienie i przewalone drzewa, żeby chwycić wnuczkę, zanim woda poniesie ją z sobą.

Jon wbiegł na chwilę do domu. Przyniósł koc, którym owinął ojca.

– Ellen, zawieź tatę do lekarza. Szybko.

Wbiegła do domu po torebkę. Kiedy pojawiła się znów na tarasie, Jon spytał:

– Może chcesz, zebym jechał z wami? Poprowadzę.

Jego słowa bardzo zaskoczyły Ellen. Zawahała się, ale po sekundzie pokręciła przecząco głową.

– Dziękuję, Jon, ale dam sobie radę. Zostań z żoną i dzieckiem.

– Dopilnuj, zeby zbadali serce.

– Nic mi nie jest! – protestował Joe. – Najwazniejsze, ze z dzieckiem w porządku.

– Ellen! Rób, co powiedziałem! Idź do samochodu, ja podprowadzę tatę.

Ellen skinęła głową i posłusznie poszła do samochodu.

Jon podprowadził tam nadal protestującego Josepha i pomógł mu wsiąść. Ellen ruszyła z piskiem opon, samochód pomknął do drogi.

Jon biegiem wrócił na taras.

– Katie?

– Wszystko dobrze, Jon. Wystraszyła się, ale poza tym nic się nie stało.

– Chwała Bogu!

Jon zamknął oczy, na moment opuścił głowę. Na pewno dziękował Opatrzności. Maryellen już to zrobiła. Mogli przecież stracić dziecko! Gdyby Joe nie pobiegł za nią, nie wyciągnął jej z wody, mogłaby się utopić!

Jon poderwał głowę, odetchnął głęboko i wyciągnął ręce po córeczkę. Zabrał ją na górę, by wykąpać i przebrać w czyste ubranka.

Maryellen też przebrała się, jej top był przecież cały ubłocony. Potem usiadła i zorientowała się, że cała dygocze. Jej kolana dosłownie obijały się o siebie. Znow ta straszna myśl. Mogli stracić dziecko... Mogli stracić Katie...

Kiedy Jon zszedł na dół, bała się, że będzie krzyczał na nią. Powie, że jego rodzice nie mają już prawa wstępu do tego domu. Przecież od chwili ich przyjazdu Jon tylko czekał, kiedy będzie mógł ich stąd wyrzucić.

Prowadził czyściutką, przebraną Katie, wesolutką, rozgadaną, jakby nic się nie wydarzyło.

– Jon, a jak z tobą? – spytała Maryellen.

– Nie chciałbym po raz drugi przeżywać takiego dnia.

– Ani ja.

– Kiedy zobaczyłem Josepha z Katie na rękach, nie wiedziałem, jak się zachować. A najbardziej chciałem ryknąć na niego, że nie ma prawa zbliżyć się do naszej córki, ale...

– Ale?

– Ale pomyślałem, że Joseph jest o krok od zawału.
Gdzieś po godzinie zadzwoniła Ellen z krótkim raportem.
Doktor Timmons dokładnie zbadał Joego. Serce
w porządku, ciśnienie co prawda podskoczyło, ale po
takich przeżyciach to normalne. Wrócili już do hotelu,
teraz odpoczywają.

Potem zadzwoniła Grace. Kiedy dowiedziała się, co się
wydarzyło, przyjechała natychmiast razem z Cliffem
i obiadem. Maryellen obiadu prawie nie tknęła. Trudno
było mieć wilczy apetyt.

Po obiedzie Grace pokręciła się jeszcze w kuchni
i razem z Cliffem zaczęli zbierać się do wyjścia. Kiedy
Maryellen wstała z sofy, żeby pożegnać się z rodzicami,
zabolały ją plecy. Zabolały wyjątkowo i Maryellen wiedziała
już, co się święci.

Po prostu zaczyna rodzić.

– Mamo, moglibyście jeszcze zostać?

Grace spojrzała na Cliffa, Cliff skinął głową.

– Oczywiście, że tak.

– Jon... – Maryellen uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę
do męża. – Myślę, że warto by już było jechać do szpitala.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Charlotte spędziła cały ranek z przyjaciółkami w Klubie Seniora. Spotkanie fanek robienia na drutach miało w programie lunch oraz wymianę najświeższych plotek. Pogoda tego dnia, urzędowo pierwszego dnia lata, była wyjątkowo piękna, a do klubu z domu parę kroków, mimo to Charlotte zdecydowała się wziąć samochód, ponieważ potem planowała załatwić kilka sprawunków.

Ben został w domu. Nie, nie wybierał się na brydza, tak samo nie okazał chęci towarzyszenia jej podczas zakupów, od czego nigdy nie stronił. Wręcz przeciwnie, od początku ich znajomości uważał to za swój miły obowiązek. A teraz chciał pobyć sam, czyli coś musiało go gnębić. Gdyby byli małżeństwem z długoletnim stazem, może by i wyczuła, o co chodzi. Niestety dopiero uczyła się jego nastrojów.

Wjechała na parking przy sklepie spozywczym, zaparkowała, ale nie wysiadła od razu, tylko przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, rozmyślając o mężu. Bo zrobiło jej się jakoś nijako. Miała nadzieję, że Ben ufa jej wystarczająco, by zwierzać się ze swoich problemów, a tu okazuje się, że jest inaczej. Oczywiście, nie ma sensu się obrazać, lepiej zastanowić się, jak mu pomóc. A najlepiej zapytać wprost, co go gnębi.

Kiedy wchodziła do sklepu, w tym samym momencie ktoś inny zamierzał z niego wyjść. Jej córka Olivia, która od razu przekazała matce radosną wieść:

– Mamo! Maryellen już rodzi! Może nawet jest już po wszystkim! Grace dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. Jon zawiózł Maryellen do szpitala, a ona i Cliff pilnują Katie.

– To cudownie!

Charlotte naprawdę się ucieszyła. Maryellen wreszcie zobaczy swojego dzidziusia. I jaki dobry rok dla Grace! Znów będzie babcią, i to podwójnie, bo druga córka będzie rodzić już za kilka tygodni. Poza tym Grace wreszcie ułożyła sobie życie. Ma męża, są tacy szczęśliwi. Nie daj Boże, żeby Will, jeśli istotnie wróci do Cedar Cove, coś namieszał...

– Mamo?

– Och, przepraszam, Olivio, zamyśliłam się.

– Wracam do sądu. Wpadłam tu, żeby kupić coś do obiadu. Tofu. Tylko nie mów o tym Jackowi, on nie wie, że to je!

– Nie powiem, nie powiem – zapewniła ją Charlotte, łapiąc za wózek. – Zadzwoń, jak tylko będziesz wiedziała coś o maleństwie.

– Oczywiście. Pa, mamo. Później pogadamy.

Olivia poszła, Charlotte westchnęła. Życie jej nie oszczędzało. Z Benem problem, z Willem też. Ale teraz najważniejszy był Ben, o Willa będziemy się martwić później, uznała.

A zakupy zrobić trzeba. Charlotte kupiła chleb, mleko i środki czyszczące. W drodze powrotnej do domu zatrzymała się, żeby kupić truskawki od chłopaka, który ustawił się na poboczu drogi. Mówił, że są świeżusieńkie, dopiero co zebrane na Vashon Island. Charlotte kupiła aż dwie duże kbiałki. Pomyślała, że wieczorem upiecze kruche ciasteczka, na ciasteczkach położy truskawki z bitą śmietaną. Ben uwielbiał kruche ciasteczka, jeszcze ciepłutkie, prosto z piekarnika, te ciasteczka na pewno pomogą mu się otworzyć przed Charlotte. Jej wnuczka tę

metodę uzyskiwania informacji na pewno określiłaby jako staroświecką, ale Charlotte wiedziała swoje. Staroświecka czy nie, najważniejsze, że skuteczna.

Kiedy wróciła do domu, Ben natychmiast zjawił się przy samochodzie, żeby wnieść zakupy do domu. Charlotte szła za nim, niosąc rzeczy odebrane z pralni chemicznej.

Zdzierali tam z człowieka strasznie, ale Ben nalegał, by korzystać z ich usług. Po co tracić czas i energię na stanie przy desce do prasowania, skoro ktoś inny chętnie to robi.

Ben wniósł wszystko do kuchni.

– Maryellen, córka Grace, zaczęła już rodzić – poinformowała go Charlotte, lecz jedyną reakcją była cisza.

– Ben, czy ty mnie słuchasz? Maryellen zaczęła rodzić!

– Och, przepraszam. Mówisz, że już? To wspaniale!

– Olivia powiedziała, że jak Grace przekaze jej najświeższe wiadomości, zadzwoni do nas.

– Świetnie.

Charlotte, nastawiając wodę na herbatę, czuła coraz większy niepokój. Z Benem naprawdę jest niedobrze. Podczas jej nieobecności sytuacja pewnie jeszcze się pogorszyła.

– Ale nakupowałaś tych truskawek! – powiedział Ben i jedną z nich, ogromną, włożył sobie do ust.

– Najpierw trzeba je umyć! – skarciła go Charlotte.

– I jak? Słodka? Chłopak, który je sprzedawał, powiedział, że zrywali je dziś rano, dlatego są wyjątkowo słodkie.

Ben przełknął truskawkę.

– Taka sobie.

A Charlotte poczuła, że nie wytrzyma już ani sekundy

dłużej.

– Ben, czy z tobą wszystko w porządku?

Podszedł do krzesła, na którym wylegiwał się kot Harry, i zaczął go głaskać.

– Oczywiście – mruknął Ben.

– Nie chcę być wścibska, ale przecież widać gołym okiem, że ostatnio jesteś nieswój.

Ben westchnął. Zostawił kota. Podszedł do żony i objął ją.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Oczywiście!

– Chodzi o mojego syna.

– Davida?

– Oczywiście.

– Poczekaj chwilkę. Zaleję herbatę, niech naciąga, a my pogadamy.

Kiedy Charlotte zalewała wrzątkiem herbatę, Ben protestował:

– Nie, Charlotte. Nie chcę cię obarczać moimi kłopotami.

– Nonsens! Jestem przecież twoją żoną.

– Ale...

– Ben, proszę. Przecież jeśli nie będziesz mi mówić o swoich problemach, to jak ja mam ci mówić o problemach z moimi dziećmi? Będzie mi bardzo niezręcznie.

– Twoje dzieci są inne niż moje, a już na pewno nie takie jak David.

– Wcale bym nie była tego taka pewna, jeśli chodzi o Willa. Ale o nim pogadamy potem. Najpierw musisz mi powiedzieć, dlaczego ostatnio jesteś nie w sosie.

Postawiła czajniczek na stole i wyjęła filizanki. Ben zajął miejsce na krześle i posadził sobie na kolanach kota.

Harry był bardzo zadowolony, a jeszcze do niedawna

bardzo nieufnie traktował Bena, który jednak zdobył jego sympatię – jak zresztą wszystkich bliskich swojej zony.

– Mówiłem ci, Charlotte, że niedawno dzwonił do mnie Steven.

– Tak, mówiłeś.

Charlotte kiedyś rozmawiała ze starszym synem Bena.

Na początku rozmowa się nie kleiła. Steven nie był taki elokwentny jak jego młodszy brat, Charlotte jednak udało się tak pokierować rozmową, by Steven odczuł, jak bardzo jest zadowolona, że są teraz rodziną.

– Steven mówił, że David znów ma problemy finansowe.

– Wspominałeś mi o tym. Podobno już kilka lat temu ogłosił bankructwo.

– Zgadza się. Ale... – Ben wyraźnie unikał spojrzenia Charlotte – ...ale nie powiedziałem ci dokładnie, o jakie kłopoty finansowe chodzi tym razem. Szczegółów nie znam, wiem tylko, że zgodnie z tym, co powiedział Steven, oskarżono Davida o oszustwo i aresztowano. Chodziło o jego roszczenia względem towarzystwa ubezpieczeniowego.

– Aresztowany?! O Boże!

Palce Bena nadal przesuwają się delikatnie po lśniącem grzbiecie kota.

– Tak. Aresztowany. I okazało się, że stać go na wynajęcie jednego z najdroższych adwokatów.

– Czyli nagle zdobył jakieś pieniądze?

Ręka Bena znieruchomiała.

– Tak. Nagle. Tuz po podpaleniu Latarni Morskiej.

Charlotte poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

– Ben! Podejrzewasz, że David może mieć z tym coś wspólnego?

- Tak.
- Wykluczone! Nigdy w to nie uwierzę!
- Dowiedziałem się o tym tydzień temu. Porównałem daty. Zgadają się.
- Och, Ben!
- Nie mówiłem ci o tym wcześniej, ponieważ nie wiedziałem, czy w ogóle z siebie to wyduszę. Bo co innego podejrzewać, a co innego mieć dowody i powiadomić o tym szeryfa.

Charlotte na moment zabrakło tchu. Była przerażona. Boże wielki, w jakże okropnej sytuacji znalazł się Ben! Zadenuncjować własnego syna!

- Kiedy byłeś w Klubie Seniora, pojechałem do szeryfa Davisa – mówił dalej Ben beznamiętnym głosem, spoglądając cały czas na kota. – Szeryf wszystko sprawdzi. Jeśli okaże się, że David ma coś wspólnego z tym pozarem, obiecuję ci, Charlotte, że ani ty, ani nikt z twojej rodziny...

- Ben! Przecież ja cię kocham! Wszyscy moi najbliżsi też! Jeśli nie daj Boże okaże się, że David ma coś wspólnego z tym pozarem, nikt z mojej rodziny nie będzie cię obwiniać za postęпки twego syna!

Ben powoli podniósł głowę i po raz pierwszy podczas ich rozmowy spojrział jej prosto w oczy.

- Dziękuję... – szepnął, biorąc ją za rękę. – Jeśli David jest winien, wyrównam wszystkie straty, które ponieśli Justine i Seth.

- Nie, Ben! – Wypłata odszkodowania za zniszczenie Latarni Morskiej absolutnie nie była jego obowiązkiem, o tym, że wykończyłoby to ich finansowo, już niewspominając.

- Oni mają ubezpieczenie!

– Nieważne. Nigdy nie dopuszczę, żeby mój syn skrzywdził ciebie lub kogoś z twoich bliskich. Charlotte była bliska łez. Doskonale zdawała sobie sprawę, jakie męczarnie przeżywa Ben z powodu syna! Ile bólu zadaje lekkomyślny David tak szlachetnemu człowiekowi, który gotów jest przejąć na siebie wszystkie zobowiązania! Ale taki właśnie był Ben. I dlatego go pokochała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

– Czy nie możecie w jakiś sposób pomóc mojej zonie?

– spytał Jon pielęgniarki z sali porodowej, starszej już kobiety z włosami przetkanymi siwizną.

– Jon, nie szalej. Wszystko w porządku – szepnęła Maryellen, choć jej zroszone potem czoło i palce kurczowo zaciśnięte na dłoni męża świadczyły o czymś całkiem innym. Rodziła już dwadzieścia godzin, z każdą mijającą minutą Jon czuł coraz większy niepokój. Jaki był naiwny! Choć ciąża była bardzo trudna, z komplikacjami, był przekonany, że poród pójdzie gładko.

Cały personel zapewniał go, że wszystko przebiega normalnie.

– Rzadko kiedy dzieje się to błyskawicznie – zapewniła go pielęgniarka, czyli, zgodnie z tym, co było napisane na identyfikatorze, Stacy Eagleton. A Jon pomyślał, że jeśli jeszcze ktoś powie mu coś tak na odczepnego, to przestanie ręczyć za siebie. Dwadzieścia godzin! To ma być normalne? Niemożliwe! Katie, przychodząc na świat, nie wymagała od matki takiego poświęcenia!

– Ale możecie przecież dać jej jakiś środek przeciwbólowy! W tym momencie blada i wymęczona zona otworzyła oczy.

– Nie! To może zaszkodzić dziecku! – powiedziała nadspodziewanie mocnym głosem.

Zaraz potem wydała z siebie rozpaczliwy jęk i zaczęła rzucać głową na boki, jakby nie mogła już znieść tych męczarni. Jon był zrozpaczony swoją bezradnością. Gotów był zrobić dla Maryellen wszystko, a nawet nie chciała, żeby głaskał ją czy masował jej plecy. Pozwoliła mu tylko odliczać sekundy, a to było tyle, co nic.

Stacy sprawdziła rozwarcie.

– Świetnie! Świetnie! Wszystko przebiega prawidłowo.

Idę po doktora DeGroota. – Wybiegła z sali.

Jon nachylił się i pocałował żonę w rękę.

– Już niedługo, kochanie – szepnął. – Zaraz będzie po wszystkim.

Po twarzy Maryellen przemknął nikły uśmiech.

– Coś mi się wydaje, że naszemu dzidziusiowi nie śpieszy się na świat.

Jon położył jej na czole ręcznik zmoczony w zimnej wodzie. Pocałował żonę w skroń, wyszeptał kilka czułych słów.

– Jon, czy Joseph i Ellen są w szpitalu? – spytała Maryellen.

– Tak.

Wiedział, że wiadomość o Maryellen przekazała im Grace. Starsi państwo natychmiast przyjechali do szpitala. Jonowi nie bardzo to odpowiadało. Nie wyprosił ich stąd tylko dlatego, żeby nie robić przykrości żonie.

– Rozmawiałeś z nimi, Jon?

Wiedział, że będzie rozczarowana, ale trudno.

– Nie, ale powiedziałem pielęgniarce, żeby informowała ich na bieżąco.

Uśmiech znikł z twarzy Maryellen.

Po chwili znów jęknęła, zaciskając kurczowo palce na jego dłoni. Żeby pomóc jej choć odrobinę, zaczął odliczać sekundy. Ten atak bólu trwał dokładnie półtorej minuty, zaraz potem nastąpiły skurcze. Prawie bez przerwy, jeden po drugim. A potem z kącika oka Maryellen wypłynęła łza.

Zjawił się doktor DeGroot. Skinął głową Jonowi

na powitanie, błysnął dowcipem:

– Dziś bardzo dobry dzień, żeby się urodzić! Nie sądzi pan?

Zajął swoje miejsce przed rodzącą, kilka pielęgniarek ustawiło się wokół.

– Popatrzmy, jak to tam wygląda... – mruknął położnik. – Świetnie. Maryellen, przyj!

Karna jak żołnierz zacisnęła zęby i parła z całej siły.

Jęknęła, nabrała powietrza i znów parła.

– Świetnie! Znakomicie! – dopingował ją lekarz.

Jon, po raz drugi świadek cudu narodzin, patrzył jak

zahipnotyzowany. Był przecież przy narodzinach Katie.

Teraz ponownie na jego oczach z ciała zony wysunęło się jego dziecko. Prosto w ręce lekarza i tam wydało z siebie pierwszy, bardzo głośny krzyk.

Lekarz z uśmiechem spojrzał na Jona.

– Moje gratulacje! Ma pan syna!

Jon uśmiechnął się do Maryellen.

– Chłopiec! – oznajmił z dumą, jakby nie dosłyszała, co powiedział lekarz.

– Jak z nim? Wszystko w porządku? – spytała Maryellen z niepokojem.

– Idealnie – obwieścił Jon, choć przez łzy widział bardzo niewiele. – Witaj, mały Drake'u...

Drake. To imię najbardziej podobało się Maryellen, kiedy wertowali książkę z imionami, którą przyniosła im z biblioteki Grace. W końcu zdecydowali. Chłopiec będzie miał na imię Drake, a dziewczynka Emily.

– Nie mamy dla niego drugiego imienia – powiedziała Maryellen. Miał je samodzielnie wybrać Jon. – Może po prostu Drake Jonathon?

– Zastanowimy się jeszcze nad tym, kochanie.

Nachylił się i pocałował ją, delikatnie i z ogromną czułością. Kiedy wyprostował się, pielęgniarka podała mu dziecko. Malutkiego Drake'a, rozwrzeszczanego, jakby ten cały świat bardzo go zirytował. Jon pokołysał go, dziecko przycichło, wtedy złożył je w wyczekujących ramionach matki.

Maryellen zsunęła kocyk i przede wszystkim policzyła wszystkie paluszki u rączek i nóżek. Liczyła, a mały Drake patrzył na mamę i małe powieki zaczęły opadać. Tak jak ojciec, w ramionach Maryellen odnalazł spokój.

– Pora, by przekazać dziadkom radosną nowinę – powiedziała Stacy, krzając się przy położnicy.

Maryellen poderwała głowę.

– Jon, powiesz im?

Musiał podjąć decyzję. Najchętniej zignorowałby fakt, że ojciec i macocha są obecni w szpitalu, przecież przysiągł sobie, że ci ludzie, którzy tak go kiedyś skrzywdzili, nigdy nie będą uczestniczyć w jego życiu. Owszem, ostatnio coś w nim jakby drgnęło, ale to jeszcze o niczym nie świadczy...

– Jon...

Nie świadczy, ale... Kiedy patrzył na malutkiego śpiącego synka, a jego serce przepelnione było przeogromną czułością, po raz pierwszy dotarło do niego, co wtedy przeżywał jego ojciec. Musiał rozwiązać okrutny dylemat. Tak jak Jon teraz, Joseph miał dwoje dzieci. Dwóch synów. Od jego zeznań zależało, który z nich pójdzie do więzienia. Musiał podjąć decyzję. I podjął. Zeby chronić jednego, drugiego, niewinnego, posłał za kratki. Złamał prawo, postąpił wbrew wszelkim zasadom moralnym, ale

Jon wreszcie zaczynał rozumieć, skąd ta decyzja. Jim zawinił, ale był słaby i zagubiony, łatwo go było złamać. Dlatego ojciec – Bóg jeden wie, jakim kosztem – zdecydował, że lepiej, by do więzienia poszedł Jon. Silny, odporny, była więc nadzieja, że więzienie go nie złamie. W rezultacie Jim, mimo nieustannej pomocy ze strony ojca, sam się wykończył.

– Dobrze. Powiem im.

Maryellen ścisnęła lekko jego dłoń.

– Dzięki...

– Nie ma za co. W końcu siedzą tu już dwadzieścia godzin, prawda?

Kiedy wszedł do poczekalni, Ellen i Joseph natychmiast poderwali się z krzeseł. Wymęczeni, w pomiętych ubraniach, wyglądali załóżnie. Zwłaszcza ojciec. Przecież nie minęła jeszcze doba od nieszczęsnego wydarzenia, kiedy starszy człowiek o słabym sercu wyciągał wnuczkę z rwącej wody.

Jon nigdy nie zapomni widoku ojca o trupiobladej twarzy, z trudem łapiącego oddech. Siedział na przewalonym pniu, tuląc do siebie zapłakaną, ubłoconą Katie. Jon był pewien, że to również był cud. Ze woda nie porwała ich obojga.

– Syn – oznajmił Jon.

Ellen rozplakała się ze szczęścia, Joseph uśmiechnął się z wielką satysfakcją.

– Chłopak!

– Wszystko z nim w porządku – poinformował Jon.

– A jak Maryellen?

– Wykończona, ale sami wiecie, że wzięłam sobie za żonę kobietę nadzwyczajną.

– To prawda... A ile wazy maluszek? – spytała Ellen.
– Trzy sto. I długi, pięćdziesiąt trzy centymetry.
– Czyli po tobie będzie szczupły i wysoki – powiedział Joseph.

Ellen, biorąc go pod rękę, dodała:

– I jak dziadek! Czy wybraliście już imię?

– Tak. Ma na imię Drake.

– Drake. Drake Bowman – z aprobatą powtórzył Joseph. – Podoba mi się.

– Drake Joseph Bowman – uzupełnił Jon i spojrzał ojcu prosto w oczy.

Ojciec spojrzał na syna. Po policzku ojca spłynęła łza.

Po policzkach Ellen spłynęły dwa strumienie. Przygarnęła do siebie męża. Jon, po krótkiej chwili wahania, objął ich oboje. Macochę i ojca.

Do tej chwili nie był pewien, czy potrafi wybaczyć, teraz jednak zrozumiał. Kiedy życie podsuwa tyle miłości, co jemu i Maryellen, na nienawiść brak już miejsca.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Teri jeszcze raz zamieszała makaron i nabrała parę nitek na widelec. Do spróbowania, przecież zdarzało jej się rozgotować makaron, a tym razem byłaby to tragedia. Gotowała przecież nie tylko dla siebie. Także – i przede wszystkim – dla Bobby’ego.

Mimo że byli małż’ёнstwem od ponad dwóch tygodni, miał być to pierwszy posiłek przygotowany przez Teri dla męża. Bobby miał przylecieć z Rosji, gdzie rozgrywał ważny mecz. Po meczu nie zadzwonił, więc Teri uznała, że od razu wsiadł do samolotu. Według jej obliczeń powinien wylądować w Seattle około piątej. James, który podróżował ze swoim pracodawcą, przywiezie Bobby’ego do Cedar Cove.

Do ich domu. Bo mieli swój dom przy Seaside Avenue 74. Ten dom Teri kupiła w ciągu zaledwie kilku dni po powrocie z Las Vegas. Bobby nalegał, by zrobiła to jak najszybciej. Wypisał czek i w rezultacie Teri przeprowadziła się błyskawicznie. Przy okazji nauczyła się, że jak Bobby Polgar czegoś chce, to tak musi być.

Dał jej swoją kartę kredytową. Skorzystała z niej, kupując meble w bardzo znanym salonie meblowym w Seattle, między innymi skórzaną sofę – cena była po prostu szokująca – także stół i krzesła z solidnego drewna. Poza tym łózko...

Nie mogła się doczekać, kiedy to wszystko, dom i meble, pokaze mężowi. A na obiad postanowiła przygotować jedno ze swoich wystrzałowych dań – makaron z serem. Zawsze przynosiła to do salonu, kiedy z okazji świąt Bożego Narodzenia robiły sobie małą ucztę. Oczywiście, nie był to tylko makaron i ser. Teri wypracowała

już różne warianty. Czasami dodawała mięso taco, czyli hamburgera z przyprawami do taco. Czasami wrzucała kilka pokrojonych na drobno pomidorów.

Bardzo jej zależało, żeby Bobby'emu smakowało to, co ona ugotuje. Kiedy zabierał ją gdzieś na obiad albo – co zdarzało się częściej – zamawiali posiłek do pokoju, zawsze jedli coś bardzo wyszukanego. Homary i tak dalej. Pomyślała więc, że może Bobby'emu spodoba się, kiedy raz zje coś nie tak wykwintnego. Coś, co ona jadła na co dzień.

Teri bardzo stęskniła się za mężem. Niestety, z powodu ciągłych wyjazdów wsumie dłużej byli osobno niż razem, dlatego niecierpliwie odliczała minuty. Chciała bardzo, żeby był już tu, przy niej, chciała bardzo z nim spać. Naturalnie to przerośnia, bo żadne z nich snem nie przejawiało zbyt wielkiego zainteresowania.

Teri, mieszając makaron, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Bo wszystko wskazywało, że Bobby rozkoszami łóżka małżeńskiego po prostu się rozkoszuje. Co prawda, do tej pory łóżem tym było łóżko hotelowe, ale to naprawdę nie było istotne.

Kiedy po raz setny wyjrzała przez okno, limuzyna zajeżdżała przed dom. Teri natychmiast wybiegła na dwór. Bobby nie zdołał zrobić jeszcze dwóch kroków w jej stronę, a wpadała mu w ramiona, omal nie zwalając go z nóg. Chwyciła go mocno za szyję i obsypała pocałunkami całą jego twarz, przy okazji przekrzywiając mu okulary.

Była przeszczęśliwa, czujne oko zony szybko jednak zauważyło, że z Bobbym coś nie tak.

– Bobby, kochanie, co się stało?

Milczał, dlatego wyjaśnień udzielił przyciszonym głosem James:

– Nie słyszała pani? Bobby przegrał.

No cóż, takie rzeczy się zdarzają. Bobby nie może zawsze wygrywać. Wszachach jak w życiu, raz na wozie, raz pod wozem. Tylko że w przypadku Bobby’ego on prawie zawsze był na wozie. Po prostu był świetny w tym, co robił.

– On bardzo nie lubi przegrywać, pani Teri – dodał konspiracyjnym szeptem James.

– Nikt nie lubi przegrywać – oświadczyła ze stoickim spokojem Teri. – Czy to znaczy, że teraz, kiedy będę z mężem, wcale nie będzie miło?

– On rzadko przegrywa, pani Teri.

Bobby chyba w ogóle ich nie słyszał. Może to i lepiej.

James wyjął z bagażnika walizki szefa i wniósł do domu.

– Boję się, że bardzo przeżywa tę porażkę – rzucił w przelocie do Teri, kiedy wracał do limuzyny. – Ale pani na pewno go pocieszy. Przyjadę po niego za dwa dni.

– Dziękuję, James.

Teri wzięła męża za rękę i pociągnęła do środka. Bobby szedł posłusznie jak baranek.

– Kochanie – powiedziała miękko Teri – oprowadzę cię po naszym nowym domu. – Nadal milczał, jakby był w transie. – Bobby! Czy ty mnie słuchasz?

Pomachała ręką tuż przed jego oczami. Bez rezultatu, choć Bobby poruszył się. Podszedł do małego stolika z dębowego drewna ustawionego przed sofą. Na tym stoliku Teri rozłożyła szachownicę i ćwiczyła sobie.

Obecnie była na etapie nauki prawidłowego rozstawiania

pionków i figur.

Bobby, dalej nie odzywając się ani słowem, usiadł na sofie i zaczął przestawiać pionki. Teri zorientowała się, że w tym momencie nie należy mu zawracać głowy czymś tak pospolitym, jak normalne życie. Był skoncentrowany maksymalnie, pewnie nie docierało do niego, gdzie jest i z kim.

Dlatego Teri wcale nie poczuła się obrażona. Po prostu nałożyła na talerz trochę swego specjału, pokropiła keczupem i z talerzem w ręku usiadła na dywanie, niedaleko Bobby'ego. Jadła i czekała.

Dokładnie po godzinie Bobby poderwał głowę znad szachownicy. Widok Teri wyraźnie go zszokował.

– Teri?

– Tak, kochanie, to ja. Witaj w domu!

– Przegrałem, Teri.

Usiadła obok niego na sofie i pieszczotliwie szesała mu palcami włosy na bok.

– Słyszałam – powiedziała miękko. – Bardzo mi przykro, Bobby.

– Nie lubię przegrywać – oznajmił ze śmiertelną powagą.

– A doszedłeś już dlaczego? – spytała, spoglądając na szachownicę z porozstawianymi pionkami.

Bobby skinął głową.

– A nie jesteś głodny?

Bobby zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się, jak naprawdę z nim jest. Głodny, a może jednak nie?

– Przyniosę ci twój talerz.

– Może zjem później. – I spojrział na Teri.

Co prawda nie była mężatką z wieloletnim stazem, ale

tego rodzaju spojrzenie męża potrafiła już rozszyfrować.

– Oczywiście. Chcesz przedtem obejrzeć dom? Może zaczniemy od sypialni?

Po raz pierwszy na twarzy Bobby'ego pojawił się uśmiech. Wstał, Teri też i ramię w ramię pomaszerowali do sypialni. Bobby zamknął drzwi.

Dokładnie po godzinie Teri, leżąc razem z mężem w łóżku, aż wzdychała z zadowolenia. Bo wreszcie znajdowała się w ramionach Bobby'ego!

– A wiesz – mruknął Bobby – tę porażkę łatwiej znieść, kiedy tak sobie ciebie teraz trzymam...

– Naprawdę? Och, jak się cieszę!

– I jestem głodny – oznajmił, a jego brzuch, gorąco go popierając, nieelegancko zaburczał.

– Nie dziwię się – powiedziała Teri, całując męża w policzek. – Dałam ci niezły wycisk, co?

Bobby znów się uśmiechnął, a Teri pomyślała, że chyba tylko ona jedna na całym świecie wie, jaki jest naprawdę Bobby. Cudowny.

Wstała z łóżka i wkładając szlafrok, spytała męża trochę niepewnym głosem, jako że to ona sama podejmowała decyzję:

– Podoba ci się dom?

Bobby usiadł i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Podoba mi się. Zwłaszcza sypialnia.

Teri klepnęła go zartobliwie w gołe plecy.

– Wstawaj, mój mężu! Teraz sobie podjesz! Poznasz moje wystrzałowe danie! – Nie ruszył się jednak, tylko intensywnie wpatrywał się w Teri. – Bobby?

Potrząsnął głową, jakby budził się ze snu.

– Kocham cię, Teri. Naprawdę cię kocham.

Pocałowała go w usta.

– Ja też, mój kochany. Bardzo cię kocham.

Za mało byli z sobą, stanowczo za mało. Tym razem trzy noce i dwa pełne dni. Teri wieczorem zawsze gotowała coś dla Bobby'ego. Makaron z serem bardzo mu smakował, tak samo placek z chili, też jej wynalazek, także quiche z brokułów – ten przepis wycięła z „Chronicle”. Słuchali muzyki, Teri nauczyła męża grać w kości i rozbieranego pokera. Bobby zdecydowanie wolał pokera. W sobotę wzięła sobie wolne, mieli więc dla siebie cały weekend. I tylko siebie, bo reszta świata dla nich nie istniała. Żadnych przyjaciół, żadnych sąsiadów, Teri nawet nie odbierała telefonów.

Ich miesiąc miodowy trwał pięć dni, potem spotykali się sporadycznie, Teri nie miała więc właściwie wyobrażenia, jak wygląda codzienne życie z Bobbym. Teraz, kiedy byli u siebie, we własnym domu, udało jej się uzyskać pewne informacje. Przede wszystkim była zaskoczona, że Bobby sypia bardzo mało. Kiedyś już jej wspominał, że bardzo dużo rozmyśla. Nie było w tym żadnej przesady, sypiał najwyżej cztery godziny. Kiedy zdarzyło jej się obudzić w nocy, widziała, jak siedział skupiony nad szachownicą i obmyślał nowe ruchy. Czasami miała wrażenie, że Bobby potrafi całkowicie zapomnieć o jej obecności. Pogodziła się z tym, tym bardziej że kiedy był świadomy jej obecności, okazywał tyle miłości, ile tylko mogła sobie wymarzyć...

Pokochanie drugiego człowieka dla Bobby'ego Polgara było całkiem nowym doświadczeniem. Przerabiał to bardzo starannie, zależało mu, żeby Teri odczuwała siłę

jego uczucia. Teraz, kiedy byli razem, dostawała prezenty codziennie. Bobby zamawiał je przez telefon lub przez internet i nie było żadnych wątpliwości, że dopłacał za natychmiastowe doręczenie. Zadne drobiazgi. Pierwszego dnia Teri dostała piękną bransoletę z fasetowanymi diamentami, zwaną tenisową, w związku z czym Bobby kupił Teri jeszcze rakiętę. Teri w życiu nie grała w tenisa, ale zachowała to dla siebie, żeby Bobby'ego nie rozczarować. A następnego dnia do domu wniesiono olbrzymi telewizor z ekranem plazmowym i anteną satelitarną.

Trzeciego dnia, niestety, po Bobby'ego przyjechał James. Teri z wielkim trudem powstrzymała się od błagania męża, by jeszcze został choć na kilka dni.

– Kiedy się zobaczymy? – spytała, w pełni świadoma, że dla niej kilka godzin rozłąki to już stanowczo za długo. Bobby zaczął opisywać dokładnie trasę, wymieniać mecze. Mówił tak jakoś urzędowo, dlatego Teri spojrzała na Jamesa, a James wywody Bobby'ego zredukował do jednego słowa:

– Tydzień.

– Jakoś przetrwam siedem dni – szepnęła.

Bobby uśmiechnął się do niej bardzo ciepłutko i uściskał ją po raz ostatni.

– Uwazaj na niego, James! – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu męża.

– Tak jest, pani Teri.

James otworzył drzwi limuzyny. Bobby wsiadł bardzo nieśpiesznie, Teri, obejmując się ramionami, odsunęła się od krawężnika.

– Pani Teri – odezwał się cichutko James, kiedy mijał

ją, obchodząc samochód. – Pracuję u Bobby’ego ładnych parę lat. W tym czasie przegrał tylko raz, potem przez kilka miesięcy miał głęboką depresję.

– Teraz nie będzie miał – zapewniła go Teri.

James zasalutował, przytykając palce do daszka szoferskiego kaszketu.

– Pani jest dla niego nadzwyczajna, pani Teri.

A Bobby dla niej, ale z tego nie musiała się zwierzać Jamesowi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Linnette od dnia, w którym dowiedziała się o powrocie Cala z Wyomingu, czekała na telefon od niego. Czekala dzień po dniu, z twardym postanowieniem, że do niego nie zadzwoni. To on powinien zadzwonić i poprosić o spotkanie. Zadzwonił dopiero po tygodniu. Fakt, że zdobył się na to dopiero po siedmiu dniach, zdołował ją jeszcze bardziej. Ale w końcu zadzwonił, a Linnette, żeby ułatwić sytuację, zaproponowała spotkanie w miejscu neutralnym, to znaczy w parku na nabrzeżu, gdzie po południu, oprócz mew, niewiele było istot żywych. Włecie tłoczno tu było w czwartek wieczorem, kiedy odbywały się koncerty. Najrozmaitsze, można było posłuchać i kapeli rockowych, i muzyki folkowej, i swinga. Linnette jak dotąd nie zjawiała się jeszcze na żadnym koncercie, mimo że jej rodzice byli stałymi bywalcami. Ojciec co prawda za koncertami nie przepadał, ale chodził na nie ze względu na matkę. I wcale nie szli tam razem, tylko umawiali się w parku. To była taka ich randka, raz w tygodniu. Dla Linnette było to i zabawne, i trochę gorzkie, bo w rezultacie rodzice chodzili na randki częściej niż ona.

Kiedy siedziała na ławce, czekając na Cal, zastanawiała się, jak zareaguje, kiedy Cal powie jej wprost, że chce całkowicie zniknąć z jej życia. Musiała usłyszeć to z jego ust, choć sama nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że zrywanie przez telefon wydawało jej się niepoważne.

Widziała, jak pikap wjeżdża na parking koło parku. Kiedy Cal wysiadł z samochodu, jej serce natychmiast zabiło szybciej, w oczach zakręciły się łzy. Będzie płakać? O nie. Wzięła się w garść i wstała z ławki. Cal

podchodził już do niej. Wysoki, szczupły, opalony, chyba w tym Wyomingu jeszcze bardziej wyprzystojniał. Miał na sobie dzinsy, kraciastą koszulę jak z westernu, na głowie stetson nasunięty głęboko na czoło.

– Cześć! Witaj w domu! – powiedziała, starając się, by wypadło to jak najbardziej naturalnie.

– Cześć! – Zatrzymał się tuż przed nią, wsuwając kciuki do kieszeni dzinsów. Był wyraźnie skrepowany.

– Cieszę się, że wróciłem.

Nie zająknął się ani razu.

Linnette usiadła z powrotem na ławce, Cal też usiadł kawałek dalej. Przez kilka sekund milczeli. Linnette dlatego, że jej zdaniem rozmowę powinien zacząć Cal. I zaczął.

– Nie chcę cię ranić, Linnette.

Niestety, to już się stało. Czuła się zraniona do żywego, żeby nie zdradzić się z tym, toczyła z sobą prawdziwą walkę.

– Nie spodziewałem się, że zakocham się w Vicki.

– Jesteś pewien, że ją kochasz?

Wiadomo, było to pytanie podstawowe.

– Tak. Jestem pewien. Mamy z sobą wiele wspólnego. Powiedział to, żeby jej na duszy było lżej? Jeśli tak, to absolutnie mu się to nie udało. Nadal była kłębkim nerwów i choć Cal wyraźnie czekał, że teraz ona coś powie, nie była w stanie wydusić ani słowa. A przecież sama chciała z nim się spotkać. Kiedywkońcu zadzwonił, umówiła się z nim bez żadnej kwestii. Problem jednak w tym, że nie spodziewała się, ile to spotkanie będzie ją kosztować. Rozkleiła się zupełnie i szczerze mówiąc, najchętniej uciekłaby stąd, nie oglądając się za siebie.

– Masz zamiar zrobić mi awanturę? – spytał Cal.
Z wielkim trudem udało jej się uśmiechnąć, zaraz potem wbiła wzrok w swoje czyściusienkie, lśniące mokasyny.

– Moze i miałam... zaraz potem, jak mi to powiedziałeś. Ale myślę, że etap złości mam już za sobą. – Co tak do końca nie było prawdą. Nie zamierzała go jednak uświadamiać, że bardzo często ktoś, kogo porzucono, dochodzi do siebie dopiero po wielu latach. – Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z mężczyznami. – Ból, rozpacz, wszystko, co teraz przeżywała, było dla niej czymś zupełnie nowym, dotychczas nieznanym. Czymś bardzo gorzkim, czego absolutnie wolałaby już nigdy w życiu nie przeżywać.

– Wiem i...

– O ile wiem, Cal, masz tyle samo doświadczenia, co ja.

– Moze... Moim zdaniem, nam obojgu podobało się być zakochanym.

Co do tego nie była taka pewna, wolała jednak na ten temat nie dyskutować.

– Moze... – mruknęła bez większego przekonania.

Cal spojrział na zatokę.

– Domyślam się, że twoja rodzina jest na mnie wściekła. Szkoda, bo bardzo ich wszystkich polubiłem.

Linnette wzruszyła ramionami.

– Oni też... Moi rodzice uważają, że dwa najwspanialsze wynalazki ostatnich lat to szczepionka na grypę i ty!

Cal uśmiechnął się krzywo.

– Linnette, na pewno kiedyś spotkasz kogoś, kto pokocha ciebie bardziej niż ja.

Oczywiście miał to być komplement w stylu: „Jesteś

tego warta’’. Wypadło jednak banalnie i załośnie.

– Mam nadzieję – mruknęła pod nosem. – Mam nadzieję przede wszystkim na to, że nie będę kobietą nagminnie porzucaną.

– Co innego miałem na myśli, Linnette.

– Wiem.

Niestety, jedna łza popłynęła. Czuła zdradliwą wilgoć pod okiem. Otarła ją dyskretnie, przerażona, że czuje się właśnie tak. Jak zbity pies. Tego się nie spodziewała, choć jednocześnie starała się w jakiś sposób pomóc Calowi przebrnąć przez to wszystko. Może robiła głupio? Może mężczyzna wcale nie chce, żeby kobieta, którą kiedyś kochał – a przynajmniej tak mu się wydawało – była mu w czymkolwiek pomocna.

– Może porozmawiasz z Vicki, Linnette? Sama to zaproponowała, chociaż uważam, że to nie jest dobry pomysł.

– I masz rację. – Bo jaki byłby finał? Wydrapanie oczu drugiej kobiecie nie jest czynem szlachetnym, a co dopiero, jeśli tego czynu dokonuje osoba zatrudniona w ochronie zdrowia!

Linnette omal się nie uśmiechnęła.

– A ja też mam coś do zakomunikowania – powiedziała.

– Wyjeżdżam z Cedar Cove! – Starła się, żeby zabrzmiało to tak, jakby zapowiadało się coś wyjątkowego.

Zyciowa szansa. Oczywiście, było inaczej. Nie miała żadnych konkretnych planów. Po złożeniu wypowiedzenia, spakowaniu się i opuszczeniu wynajętego mieszkania miała zamiar pójść tam, dokąd oczy ją poniosą.

– Wyjeżdżasz?!

Dla Cala musiał to być szok, czym ona z kolei była bardzo zaskoczona. Czyżby spodziewał się, że ona po tym wszystkim zostanie w Cedar Cove?!

– Zawsze chciałam poznać inne stany.

– Rozumiem. A znalazłaś już jakąś nową pracę?

Nie, jeszcze nie, ale nie sądziła, żeby ze znalezieniem pracy w którymś z miasteczek rozsianych po centrum kraju był jakiś problem.

– A jak myślisz? Czy zdecydowałabym się na wyjazd, gdybym nie miała już czegoś na oku? – Przecież to chciał usłyszeć, prawda?

– Co na to twoi rodzice?

O niczym jeszcze nie wiedzieli, bo i skąd? Decyzję o wyjeździe podjęła przed dwoma minutami. I czuła, że jest jak najbardziej słuszna. Musiała wyjechać z Cedar Cove. Bardzo trudno uleczyć złamane serce, a w przypadku serca Linnette okaze się to niemożliwe, jeśli będzie spotykać na mieście czule objętych Calą i Vicki. Dlatego jedyne rozsądne rozwiązanie to spakować walizki.

– Przykro mi – powiedział Cal.

Zabrzmiało to trochę pokrętnie, ale intencje na pewno miał jak najlepsze. Chciał dać jej do zrozumienia, że gdyby mógł, zrobiłby wszystko, żeby przeszła przez to bezboleśnie.

– Och, nie martw się, Cal. Po prostu przezywam to, co większość dziewczyn przeżywa w szkole średniej. Niestety, ja zawsze, jak to się mówi dowcipnie, miałam spóźniony zapłon! – Wyszło trochę głupio. Nie szkodzi. A teraz najważniejsze, czyli jak najszybciej stąd zniknąć.

– Do widzenia, Cal.

Podniosła się. On też. Stał z opuszczoną głową, szurając

to jedną, to drugą nogą. Wiadomo, czuł się paskudnie.

– Dziękuję ci, Linnette. Dziękuję za wszystko.

On dziękuje. Bardzo miło z jego strony, szkoda tylko, że przestał ją kochać...

Bez słowa odwróciła się i zadowolona, że udało jej się powstrzymać od tego ostatniego spojrzenia przez ramię, wolnym krokiem poszła nabrzeżem do wynajętego mieszkania, które niedługo opuści na zawsze.

Ponieważ z natury była jednak tchórzem, sprawę zwolnienia postanowiła załatwić telefonicznie. Zadzwoiła do szefowej kadr i powiadomiła o swojej rezygnacji, informując, że oczywiście wyśle oficjalne podanie. Co postanowiła zrobić zaraz. Po odłożeniu słuchawki siadła do komputera, napisała pismo i wydrukowała. Gotowe, czyli można brać się do pakowania.

Nie minęła godzina, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Na jedną szaloną sekundę nadzieja ożyła. Linnette pomknęła do drzwi jak strzała, ale to nie był Cal, tylko doktor Chad Timmons.

– Co ja słyszę?! Złożyłaś wymówienie? – spytał od progu, bez zaproszenia wkraczając do środka. Był zirytowany i nadal ubrany w lekarską biel, czyli przyjechał tu prosto z ośrodka.

– Tak.

– Nie pozwolę na to!

– Bardzo mi przykro, Chad, ale już powiadomiłam kadrę. Rozmawiałam z Alną McDonald – poinformowała go bezbarwnym głosem. – Podanie już napisałam, wyśle pocztą. Przepraszam, a skąd u ciebie taka pewność, że jesteś w stanie zmienić moją decyzję?

– Bo powinnaś zmienić, absolutnie! To, że w twoim życiu osobistym coś nie wyszło, to jeszcze nie powód.

Każdemu to się zdarza prędzej czy później.

Ale jej zdarzyło się po raz pierwszy i nie ma najmniejszego zamiaru przeżywać koszmaru, kiedy przy różnych okazjach natykać się będzie na Cala pod rękę z Vicki. Inna kobieta, o silniejszej psychice, może dałaby sobie z tym radę, ale nie ona.

– Zawsze uciekasz, kiedy coś nie wyjdzie? Taka jest twoja recepta na życie? – perorował Chad. – Weź się w garść, dziewczyno! Jesteś już dorosła i postępuj jak człowiek dorosły.

A gadaj sobie zdrów... Decyzja była niezłomna. Wciągu niespełna roku Linnette McAfee w sprawach sercowych dwukrotnie poniosła porażkę. Wystarczy, prawda?

Może faktycznie zareagowała trochę jak dziecko, ale było jej wszystko jedno. Poza tym nie miała pojęcia, dlaczego Chad tak bardzo się nią przejmuje, skoro zainteresowany

jest Glorią, a już na pewno nie nią. Przerabiała to przecież, choć nie tak boleśnie, ponieważ w jej życiu pojawił się wtedy Cal.

A teraz Cal... No cóż, prawdopodobnie nie miała dobrej ręki do tak zwanych związków.

– Przykro mi – powiedziała, spoglądając mu prosto w oczy. – Zawiadomię cię, gdzie się zakotwiczylam.

– Czyli naprawdę wyjeżdżasz?

Skinęła głową. Oczywiście, choć wiedziało o tym jeszcze bardzo niewiele osób. Trzeba będzie powiedzieć o tym jeszcze rodzicom i Glorii. Ale ona i tak wyjedzie z Cedar Cove. To postanowione.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

– Allison! – Mocny głos ojca rozsadzał komórkę.
– Możesz przyjść do biura szeryfa?
– Teraz? – spytała, spoglądając z zaniem na dwie przyjaciółki. Były w drodze do Centrum Handlowego Silverdale, matka pozwoliła wziąć samochód. Allison bardzo się cieszyła na wspólne zakupy, przecież od ukończenia szkoły nic, tylko pracowała. Zadnego życia towarzyskiego. Umawianie się z kimkolwiek nie miało zadnego sensu, bo bez względu na to, jak skończy się historia z podpaleniem, i tak zawsze będzie kochać Ansona.

– Tak, teraz – powiedział ojciec. – To bardzo ważne.

– Czy to... czy to ma coś wspólnego z Ansonem?

Przyjaciółki, dotychczas zajęte ożywioną rozmową, nagle zamilkły.

– Tak.

Serce Allison natychmiast podskoczyło.

– Będę za dziesięć minut.

Wysadziła przyjaciółki na przystanku autobusowym i caławnerwach ruszyła z powrotem do Cedar Cove. Skoro ją wzywano, musiało się wydarzyć coś bardzo ważnego. Drzwi do pokoju szeryfa były zamknięte. Na krzesłach przed drzwiami siedzieli w rzędzie Seth i Justine Gundersonowie oraz Roy McAfee, prywatny detektyw, z którym Allison rozmawiała kiedyś w sprawie Ansona. Wszyscy się do niej przyjaźnie uśmiechnęli.

– Dzień dobry! – powiedziała grzecznie Allison.

– Dzień dobry! – odparła jakby w imieniu pozostałych Justine. – Myślę, że tak samo jak my musisz trochę poczekać.

Allison usiadła na kolejnym, czwartym krześle, z tych nerwów owijając pasek od torby wokół dłoni.

– Czy to mój ojciec rozmawia teraz z szeryfem?

– spytała.

Pan Gunderson pokiwał głową, chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie drzwi otworzyły się i na korytarz wyszedł Zach Cox. Na widok córki rozpromienił się.

– Tato, co się dzieje? – zawołała, zrywając się na równe nogi. – Mozesz mi powiedzieć?

– Naturalnie – odparł z uśmiechem. – A więc... prawdę mówiąc, to nie ja chciałem z tobą rozmawiać ani szeryf Davis. Tylko ktoś inny.

Otworzył z powrotem drzwi i szerokim gestem zaprosił Allison do środka.

Zastanawiając się w duchu, któż to taki chce z nią porozmawiać, weszła do niewielkiego pokoju. Szeryf tam był, ale nie sam. Obok niego stał jakiś żołnierz, wysoki, zgrabny, w mundurze. Allison spojrzała odruchowo na identyfikator przypięty do wojskowej kurtki. Przeczytała: Butler.

Butler?!

Jej spojrzenie natychmiast pomknęło w górę, ku twarzy żołnierza.

– Anson? – szepnęła, nie wierząc własnym oczom.

A on z uśmiechem rozpostarł ramiona. Ojciec patrzył na nich, szeryf też, ona jednak nie zawahała się ani na sekundę. Pomknęła tam, gdzie czekał na nią najmocniejszy, najcenniejszy uścisk ramion.

– Anson... – szepnęła, ze wzruszenia z trudem wydobywając z siebie głos. – Wstąpiłeś do wojska? To ty cały czas byłeś tam, w wojsku?

- Tak. Ktoś, kto chce uciec przed pewnymi komplikacjami, nie ma zbyt wielkiego wyboru.
- Ale kiedy? Jak? – pytała gorączkowo, jednocześnie wpatrując się w niego, zaskoczona zmianą w jego wyglądzie. Wyraźnie zmęźniał. I trzymał się tak prosto.
- Decyzję podjąłem już wcześniej, przed pozarem Latarni Morskiej. Gadałem kiedyś z jednym rekrutem i pomyślałem, że jest to dla mnie jakaś możliwość. Zaciągnąłem się w Silverdale. Co prawda byłem już wtedy osobą podejrzaną w związku z pozarem, ale o nic mnie nie oskarżono, dlatego mogłem przystąpić do testów. Przeszedłem wszystkie.
- Ale dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? Jak mogłaś?
- Najpierw chciałem zaliczyć pierwszy, podstawowy test. Przekonać się, czy w ogóle dam radę. Poza tym ta sprawa z pozarem. Musiałem się zastanowić, co robić dalej. Czy przyjechać do Cedar Cove...
- ...i odpowiedzieć na kilka pytań szeryfa – wtrącił sam szeryf Davis.
- Ale przecież to nie Anson podłożył ogień! – zawołała Allison, gotowa już do walki. – On...
- Spokojnie, Allison – przerwał ojciec. – Wszyscy już to wiemy.
- Mamy innego podejrzanego – wyjaśnił szeryf i zwrócił się do Ansona. – Dziękujemy ci, synu, za pomoc. Dzięki tobie jesteśmy prawie pewni, kto jest sprawcą. Ty, oczywiście, jesteś wolny. Szeryf i Anson podali sobie ręce.
- Dziękuję panu, szeryfie – powiedział Anson z szacunkiem i zwrócił się do Zacha. – Panie Cox, czy pozwoli

pan, zebym porozmawiał z Allison w cztery oczy?
Zachary Cox uśmiechnął się do córki.

– Gdybym spróbował nie pozwolić, rodzina mi się zbuntuje. A więc...

Allison szybko uściskała ojca, chwyciła Ansona za rękę i oboje wyszli z pokoju. Szeryf wychylił głowę i zaprosił do środka państwa Gundersonów, natomiast Allison i Anson pognali korytarzem.

Miała do niego tyle pytań, tylko od czego zacząć?

– Kto podpalił? – wyrzuciła z siebie. – Kto? Doszłście dzięki tej tablicy rejestracyjnej?

– W jakimś stopniu tak. Nie znałem jego nazwiska, ale przedtem widziałem go już w mieście. Podczas pożaru zauważył mnie, dlatego uciekłem. Nie czułem się bezpieczny. Wiedziałem, że z moją przeszłością od razu zwałą winę na mnie.

W tym czasie wyszli już z budynku policji, zanim jednak skierowali się na parking, Anson pociągnął Allison w ustronne miejsce pod schodami na zewnątrz budynku.

– Allison, może pomyślisz, że świruję. Jeszcze nie, ale tak się stanie, jeśli zaraz ciebie nie pocałuję.

– Zabawne... – szepnęła Allison. – Bo ja myślę dokładnie to samo.

Objął ją, ich usta przywarły do siebie. Na ten pocałunek czekała miesiącami, w tej sytuacji fakt, że w każdej chwili ktoś mógł ich zobaczyć, naprawdę nie miał żadnego znaczenia. Nic nie było w stanie zepsuć tej cudownej chwili.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – powiedziała cichutko, otoczona jego ramionami.

– Ja też. Tylko dzięki temu, że myślałem o tobie, udało

mi się przejść przez pierwszy trening. Nie było łatwo
– odparł równie cicho Anson, głaszcząc ją po plecach.
– Anson, ale powiedz wreszcie, kto to zrobił? Kto?
– Tak jak ci mówiłem, widziałem faceta przedtem
wmieście iw restauracji. Chyba ma firmę budowlaną. Nie
znałem jego nazwiska, ale w końcu doszedłem. To Warren
Saget.

– Warren Saget? Mój tata wypełniał jego zeznania
podatkowe.

– Tak. Twój ojciec mówił mi o tym.

– Ale jak doszedłeś, że to on?

– Jego zdjęcie było w gazecie. Shaw regularnie przysyłał
mi „Chronicle”, dzięki czemu wiedziałem na bieżąco,
co dzieje się u nas w mieście. Zdjęcie Sageta zamieszczone
było w reklamie jego firmy. Rozpoznałem go od
razu, no i poznałem nazwisko. Zadzwoiłem do szeryfa.
Sprawdzili numery rejestracyjne jego wozu. Trzy pierwsze
litery zgadzają się. S, U, L.

– Ansonie, ale jak szeryf udowodni, że sprawcą jest
Saget?

– Szeryf ma już świadka, czyli mnie. Zgodziłem się
zeznawać w sądzie. Poza tym szeryf i pan McAfee mają
pewien pomysł. Jaki dokładnie, tego mi nie powiedzieli,
wiem tylko, że włączona w to ma być pani Gunderson,
dlatego razem z mężem przyszła do szeryfa. Podejrzewam,
że chcą zorganizować coś w rodzaju konfrontacji.

– A skąd wziął się dziś u szeryfa mój ojciec?

Anson oparł się czołem o jej czoło.

– Zadzwoiłem do niego. To twój ojciec poradził mi,
zebym jak najszybciej zadzwonił do szeryfa.

- Dzwoniłeś do mojego taty? Kiedy?! – Coś takiego!
Ojciec nie pisał jej o tym ani słowa!
- W zeszły piątek. Kiedy zobaczyłem zdjęcie Sageta w gazecie, pomyślałem, że trzeba działać. Natychmiast, bo inaczej do końca życia będą uważać mnie za podpalacza. Zadzwoiłem do twojego ojca. To on zorganizował to dzisiejsze spotkanie u szeryfa. Wiesz, Allison, że do bardzo niewielu ludzi mam zaufanie. Do twojego ojca na pewno.
- A do mnie? – spytała rozzalonym głosem.
Zanim odpowiedział, najpierw ją pocałował.
- Do ciebie też, oczywiście, ale nie chciałem ciebie w to wszystko mieszać.
- Jak długo możesz tu zostać? – spytała, już nienawidząc dnia, w którym będzie musiał wyjechać.
- Tydzień. Potem zaczynam szkolenie drugiego stopnia, specjalistyczne. W wywiadzie, będę siedział przy komputerach. Przyda mi się to, nawet jeśli nie zostanę w wojsku.
- Dla mnie jesteś jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam!
- Dziękuję, Allison – odparł ciepło. – Jeszcze nikt mi czegoś takiego nie powiedział, ale wyobraź sobie, że wyniki moich testów potwierdzają, że nie jestem głupkiem. A nawet...
- Przecież ja to wiem!
- Kiedy wstąpiłem do wojska, miałem mnóstwo testów. Z języków obcych, znajomości komputera i tak dalej. Wyniki miałem, nie ukrywam, bardzo dobre, dlatego skierowali mnie na szkolenie do wywiadu.
- Jestem z ciebie taka dumna!

– To wszystko dzięki tobie, Allison. Ty jesteś moją siłą napędową!

Wyszli już ze swego ukrycia pod schodami i ruszyli na parking, do samochodu matki Allison.

– Dokąd najpierw chcesz jechać? – spytała.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, najpierw chciałbym zobaczyć się z matką. Chcę oddać jej pieniądze.

A potem wpadniemy do Shawa... – Anson uśmiechnął się.

– Jestem pewien, że mnie nie poznają. Ani Shaw, ani moja matka.

– Też w pierwszej chwili ciebie nie poznałam.

– Zauważyłam! Nigdy nie zapomnę twojej miny, kiedy zorientowałaś się, że ten ostrzyżony na łyso żołnierz to ja!

Allison też się zaśmiała.

– Głupio ci trochę, co?

– A gdzie tam! Uważam, że jestem największym szczęściarzem w Cedar Cove. Nie muszę już się ukrywać. Odzyskałem ciebie. Po raz pierwszy w życiu wydaje mi się, że przyszłość może być całkiem fajna. Nawet bardzo. To samo czuła Allison.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Zdaniem Rachel obiad z rodzicami Nate'a we wtorek nie mógł wypaść gorzej. Przez cały wieczór czuła się okropnie skrępowana, pojechali przecież do skandalicznie drogiej restauracji w Seattle, gdzie dla jednej osoby ustawiano na stole więcej naczyń, niż Rachel miała w domu. Już to wystarczyło, żeby poczuć się nijako. Poza tym cały ten obiad to był koszmar. Matka Nate'a wykorzystywała

każdą okazję, żeby dobić Rachel, robiąc to w wyjątkowo wredny, wyrafinowany sposób. Po prostu bez przerwy poruszała takie tematy, które wykluczały udział Rachel w rozmowie. A można ją było do rozmowy wciągnąć, udzielając kilku dodatkowych wyjaśnień. Kiedy Rachel w końcu odwagiła się zadać pytanie związane z osobą, o której właśnie była mowa, Patrice, owszem, poinformowała ją, że chodzi o córkę ambasadora w Anglii, zrobiła to jednak tak pogardliwym tonem i z taką miną, że Rachel odechciało się dalszych pytań.

Od samego początku było fatalnie. Od tej pierwszej chwili, kiedy w drzwiach jej mieszkania stanął Nate, za nim jego rodzice. Fakt, że akurat byli u niej Bruce i Jolene, jeszcze bardziej pogrzyżył Rachel w oczach Patrice. Na pewno była przekonana, że Rachel robi jej syna w tak zwanego konia.

Po obiedzie, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność, nadszedł wreszcie upragniony moment, kiedy wszyscy mówią sobie „do widzenia”. Nate życzył rodzicom szerokiej drogi, uśmiechał się, dowcipkował, wyraźnie bardzo zadowolony ze wspólnego wieczoru. Czyli do niego nie docierało, że jego matka za wszelką cenę chce

doprowadzić do ich zerwania.

– A mówiłem, że nie ma się czego bać! – powiedział Nate, kiedy wracali już do domu. Spojrzał przelotnie na Rachel i leciutko uściśnął jej dłoń, wciąż bardzo zadowolony. Rachel nadal czuła się dokładnie odwrotnie.

– Wiedziałem, że mama, jak się spotkacie, od razu ciebie pokocha – mówił dalej Nate rozradowanym głosem.

– Mama uważa, że jesteś fantastyczna.

– Ja? – Z tego zdenerwowania mówiła prawie szeptem.

– Przez cały dzisiejszy wieczór byłam jednym kłębkim nerwów!

– Nie mów! – Był wyraźnie zaskoczony.

A ona bliska łez.

– W takim razie... – Nate cofnął rękę – w takim razie potrafiłaś to doskonale ukryć. Jesteś babką z klasą. Moi rodzice też tak uważają, co mnie nie dziwi. Bo taka po prostu jesteś.

Czyli ślepy. Po prostu ślepy! Pewnie też nie zauważył, że tych superdrogich i superwyszukanych dań nawet nie tknęła.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

– Twoi rodzice bardzo cię kochają – powiedziała wreszcie Rachel, ot tak, żeby przegnać ciszę.

Nate wzruszył ramionami.

– Przez wiele lat nie dogadywałem się z ojcem. Wiesz, że wcale nie był zachwycony, kiedy wstąpiłem do marynarki. Miał wobec mnie inne plany. Starliśmy się bardzo ostro, miałem jednak wrażenie, że ojciec, choć się wścieka, jest ze mnie dumny. Po jakimś czasie zresztą przyznał otwarcie, że zaakceptował moją decyzję. Mama też. Jechali przez most Tacoma Narrows. Do Cedar Cove

jeszcze kawałek, a Rachel nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie będzie w domu. Głowę jej rozsadzało, policzki zdrętwiały od uprzejmych uśmiechów. Masakra, prawdziwa masakra ten cały obiad z mamusią i tatusiem. Chociaż z tatusiem był mniejszy problem, właściwie zaden. Nathaniel Olsen w stosunku do Rachel zachowywał się po prostu poprawnie, natomiast jego małżonka od samego początku dawała jej odczuć, że jest tu osobą całkowicie zbędną, czyli zachowywała się identycznie jak podczas pamiętnej rozmowy przez komórkę. Pani Olsen uważała, że Rachel Pendergast nie dorasta jej synkowi do pięt.

Kiedy zajechali przed dom, nie była jeszcze zdecydowana, czy chce zaprosić Nate'a do środka, czy też woli, by odjechał stąd jak najprędzej. Bo ona chce sama spokojnie to wszystko przetrwać. Nie ma przecież sensu informować Nate'a, jak ocenia postawę jego matki, ponieważ Nate i tak na pewno pomyśli, że ma przywidzenia, a tak w ogóle to jest okropnie dziecinna.

Nate zaparkował przy krawężniku i zwrócił ku Rachel uśmiechniętą twarz. Czyli wcale nie uważał, że wspólny wieczór dobiegł już końca.

– Może wejdiesz? Pogadamy sobie jeszcze trochę

– powiedziała odruchowo.

Nate oczywiście przystał na to ochoczo, dodając na koniec:

– Z przyjemnością napiłbym się kawy.

Pocałował ją leciutko, ale jego pocałunki i tak zawsze ją powalały. Kiedy pocałował ją po raz pierwszy, Rachel po raz pierwszy odczuła, co to jest prawdziwy zawrót głowy. W ciągu kolejnych miesięcy nic się nie zmieniło

– dalej zachwyty, z tą różnicą, że pociąg fizyczny z obu stron był coraz silniejszy. Jednocześnie Rachel coraz bardziej umacniała się w przekonaniu, że Bruce to nie Nate. Choć jednocześnie była na siebie zła, że do głowy jej przyszło ich porównywać, spojrzeć na Bruce'a jak na mężczyznę, a nie tylko jak na ojca małej Jolene.

Weszli do pogrążonego w kompletnych ciemnościach salonu. Rachel szybko zapaliła światło i poszła do kuchni zrobić kawę. Sama nie miała na nią ochoty, była jednak zadowolona, że musi poczęstować nią Nate'a, dzięki czemu miała chwilę na zebranie myśli.

Nate również wszedł do kuchni i rozsiadł się za stołem.

– Rachel, ktoś się nagrał. – Wskazał na telefon.

Gdy nacisnęła przycisk, usłyszeli słodki głosik małej Jolene:

– Cześć, Rachel. Szkoda, że nie ma cię w domu.

Myślałam, że pójdziemy do kina. Jest taki jeden film, tata mówi, że głupi, ale wiesz, jaki jest tata. Zadzwoń do mnie, dobrze? Pa!

Nate wyraźnie spochmurniał.

– Czy oni ciebie przypadkiem nie wykorzystują?

– Och, nie przesadzaj! – zachnęła się Rachel, nagle, nie wiadomo dlaczego, gotowa jak lwica bronić Bruce'a i Jolene.

Nie rozwijali tematu. Rachel zrobiła kawę, podała do stołu i wtedy Nate oznajmił:

– Mam dla ciebie ważną wiadomość!

– Mam nadzieję, że dobrą! – Usadowiła się na krześle.

– Rachel... – Nate przykrył dłonią jej dłoń. – „George Washington” został przeniesiony do San Diego.

Potrzebowała chwili, by to, co powiedział, do niej

dotarło.

– Czyli... czyli wyjeżdżasz z Cedar Cove?

– Tak. Chciałem powiedzieć ci o tym wcześniej, ale ta wizyta moich rodziców, poza tym ostatnio byłaś strasznie zajęta...

– Wcale nie tak strasznie! Tym bardziej że Teri wróciła do pracy! – zaprotestowała, choć doskonale wiedziała, co Nate ma na myśli. W zeszłym miesiącu, kiedy chciał się z nią spotkać, dwukrotnie odmówiła, ponieważ była umówiona z Jolene.

– Ale ty ciągle gdzieś chodzisz z tą dziewczynką.

– Ta dziewczynka ma imię. Jolene. Jest moją przyjaciółką.

– Przyjaciółką... – Nate wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy to ma sens, żebyś poświęcała jej tyle czasu. Rachel poczuła złość, zdołała się jednak opanować.

Nie pora na analizowanie jej relacji z Jolene, kiedy coś innego jest naprawdę ważne.

– Niezależnie od wszystkiego, powinieneś był powiedzieć mi o tym przeniesieniu wcześniej.

– Wiem... – Nate ujął jej dłoń. – I z tego powodu jestem na siebie wściekły. Tym bardziej że wyjeżdżam już niebawem.

– Kiedy?

– W przyszłym tygodniu.

– Och, nie!

– Niestety. Bardzo mi przykro.

– Ja... – Nieszczęścia chodzą parami, to fakt. Najpierw koszmarny rodzinny obiad, ale to już minęło, za to drugie nieszczęście... Nate'a przenoszą do San Diego. Ukochany mężczyzna na zawsze opuszcza Cedar Cove! – Nate... co będzie z nami?

Odetchnął głęboko, po czym powiedział:

– Rachel, musimy podjąć decyzję. Bardzo ważną decyzję. W tym momencie odczuła bardzo namacalnie, co to jest tak zwany ucisk w dołku. Jednocześnie serce zabiło tak mocno, że je usłyszała. Jakby to nie było serce, ale bęben!

– Rachel, wiesz, co do ciebie czuję...

– Wiem. – To samo czuła do niego. Mimo różnicy wieku i dzielącej ich przepaści społecznej, udało mu się skraść jej serce. Przez sześć miesięcy, kiedy był na morzu, pisywali do siebie sążniste listy, potem codziennie wysyłali mejle. Dzięki temu, mimo dzielącej ich odległości, zbliżyli się do siebie. Kiedy Rachel dowiedziała się o jego rodzinie, chciała z nim zerwać, ale do tego nie dopuścił. A teraz marynarka wojenna zabiera jej Nate'a.

– Aco z innymi? – Zaprzyjaźniła się z kilkoma zonami marynarzy, a najbardziej z Cecilią Randall, choć od kiedy na świecie pojawił się Aaron, widywały się rzadko. Młoda mama zajęta była maleństwem, do tego Randallowie instalowali się w nowym domu. Który będą musieli opuścić, jeśli też wyjeżdżają do San Diego...

Nate potwierdził jej przypuszczenia.

– Prawie wszyscy w taki czy inny sposób związani z „George'em Washingtonem” przeprowadzają się do San Diego.

– No tak... – Miała nadzieję, że zdąży pożegnać się z przyjaciółkami i wymienić adresami.

– Rachel, chcę, żebyś jechała ze mną.

Ona? Razem z nim? Chyba nie mówił serio. Spodziewa

się, że całe dotychczasowe życie zamknie na klucz i pojedzie za nim? Jak markietanka?

– Masz taki zawód, że wszędzie znajdziesz pracę, prawda?

– Owszem, Nate... Ale zaraz, czy dobrze ciebie zrozumiałam? Oczekujesz, że się stąd wyprowadzę?

– Tak. Z ważnego powodu muszę wiedzieć, czy byłabyś gotowa to zrobić.

– Alez Nate! Moje życie to Cedar Cove! Nie wyobrazam sobie, zebym mogła być gdzie indziej. Mam tu tyle bliskich osób. Teri, Jane...

– I Jolene?

– Tak! I Jolene. – Jeśli wyjedzie stąd, dziewczynka będzie zrozpaczona. Przed kilkoma laty straciła matkę, teraz straciłaby ją, a to byłoby zwykłe okrucieństwo. Nate uniósł jej dłoń do ust.

– Rachel, rozumiem, że potrzebujesz czasu na podjęcie decyzji. Proponuję trzy miesiące, zgoda?

– Dobrze. Trzy miesiące. – O Boże! Już za nim tęskniła! Dotarło do niej, że to będzie zupełnie inna sytuacja, niż kiedy Nate wypływa w morze.

– Dajemy sobie trzy miesiące, by się przekonać, czy potrafimy żyć z dala od siebie.

– Rozumiem. A jeśli okaże się, że nie potrafimy?

– Wtedy, mam nadzieję, przyjedziesz do mnie.

– Do ciebie?

Nate uśmiechnął się ciepło, ujmująco, tym uśmiechem przeznaczonym tylko dla Rachel.

– Do mnie, kochanie. Mam nadzieję, że zostaniesz moją żoną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Teri przełknęła trochę sałatki z sosem taco, stwierdzając ze zdumieniem, że tak naprawdę do tego się zmusza. Dobry apetyt, jej wierny przyjaciel, gdzieś się zawieruszył. Znikł – i to jest właśnie miłość. Kiedy wprowadził się do niej Ray, od razu straciła co najmniej pięć kilo. Oczywiście po pozbyciu się Raya natychmiast to nadrobiła, zresztą z dwukilowym naddatkiem. Ale to przeszłość, tym razem była z właściwym mężczyzną, po prostu szczęśliwa, co kiedyś wydawało jej się nieosiągalne. Okazuje się jednak, że jest to możliwe, jeśli pokocha się przyzwoitego człowieka, który miłość odwzajemnia z nawiązką. Dlatego codziennie dziękowała Panu Bogu za cudowny dar w postaci Bobby’ego Polgara.

– Robisz sobie przerwę na lunch? – spytała Rachel, wchodząc do pokoiku, w którym spędzało się przerwy.

Rachel była w nastroju bardzo kiepskim z powodu wczorajszych rewelacji. Włożyła do mikrofalówki potrawkę z kurczaka i nastawiła czasomierz na cztery minuty.

– Posiedzę tu chwilę, chociaż szczerze mówiąc, wcale mi się nie chce jeść.

– Tak jak ja! – pozaliła się Teri. – Powiedz, co z nami jest?!

Jane, która właśnie weszła do pokoiku, błyskawicznie zdiagnozowała problem:

– Faceci. To przez nich, wiadomo.

– Okropnie tęsknię za Bobbym – z uśmiechem przyznała Teri, choć tajemnicy nie wyjawiała, bo powtarzała to od samego rana. Bobby, aby utrzymać swoją pozycję, musiał wciąż uczestniczyć w turniejach rozgrywanych w różnych zakątkach świata. Teri pozostawała tylko

nadzieja, że za rok, dwa jej mąż trochę zwolni tempo.

– Gdzie jest teraz? – spytała Jane, ustawiając się w kolejce do mikrofalówki.

– W Nowym Jorku. W ten weekend chce się tam ze mną spotkać.

– I co? Jedziesz?

– A co mam robić? – Teri wzruszyła lekceważąco ramionami, choć umierała z tęsknoty, a także z ciekawości, chciała przecież wreszcie zobaczyć apartament Bobby’ego na Manhattanie, chciała też bardzo, by zabrał ją do teatru na Broadwayu. Choć nie bardzo wierzyła, że to się uda, skoro Bobby był w trakcie ważnego turnieju, skupiony całkowicie na szachach. Tak naprawdę oderwał się od nich tylko podczas miesiąca miodowego. Nie da się ukryć, że w Las Vegas skoncentrowani byli na czymś bardzo odległym od jakiegokolwiek gry...

– Teri, naprawdę kochasz tego dziwaka? – spytała Jane.

– Dziwaka?! Mój mąż jest geniuszem, moja droga. Prawdziwym geniuszem. I potrzebuje mnie, a ja jego. Kocham go bezgranicznie.

– Potrzebuje ciebie, bo smakuje mu makaron z serem!

– ze śmiechem skomentowała Rachel.

– Chichraj sobie, chichraj jak głupia do sera – odcięła się Teri. – Kiedyś też kogoś tak pokochasz, wtedy wszystko zrozumiesz.

– Chwileczkę! Przecież Rachel już jest zakochana!

– zaprotestowała Jane, wkładając do mikrofalę mrozonkę.

– Owszem – przyznała Rachel – ale nie spodziewałam się, że miłość to coś tak skomplikowanego.

– To znaczy? – zazaądała wyjaśnień Jane.

W pierwszej chwili wydawało się, że Rachel ma ochotę omówić ten temat dokładniej, jednak ograniczyła się do odpowiedzi bardzo enigmatycznej:

– Po prostu taka jest.

– Rachel, pojedziesz za Nate’em do San Diego?

– spytała zaniepokojona Teri. Get Nailed bez Rachel to już nie będzie to samo! Nie wiadomo zresztą, czy i nie bez Teri, bo coraz gorzej znosiła życie z dala od męża. On stale w rozjazdach, poza tym jego dom jest na wschodzie kraju, jej na zachodzie. W końcu miejsce zony jest przy mężu, są sobie nawzajem potrzebni. Teri do dziś niezmiennie zadziwiał fakt, że potrzebuje kogoś. Przez długie lata to ona była komuś potrzebna, a sama pozostawała wolna jak ptak i samowystarczalna. A tu okazuje się, że jest inaczej. Jednocześnie jednak wcale nie miała ochoty wyjeżdżać z Cedar Cove, w sumie więc nie bardzo wiedziała, jak uda jej się to wszystko ze sobą pogodzić.

– Sama nie wiem – wyznała Rachel.

– Coś ci powiem – odezwała się Jane. – Jeśli wyjdiesz za Nate’a, oznaczać to będzie, że bierzesz też ślub z Marynarką Wojenną Stanów Zjednoczonych. Zawsze pojedziesz tam, dokąd oni chcą i kiedy chcą. Rozkaz to rozkaz!

– Tak jest, panie kapitanie! – Rachel dziarsko zasautowała, po czym wbiła widelec w parujący ryz z kurczakiem.

– Coś wam powiem, dziewczyny. Z marynarką wojenną to ja sobie poradzę, gorzej będzie z matką Nate’a...

– Teri! – W drzwiach pojawiła się recepcjonistka Denise. – Przyszedł ktoś do ciebie.

– Do mnie? Niemożliwe – wymamrotała Teri z ustami pełnymi sałatki. – Teraz nie mam żadnej klientki.

– Ale to nie klientka, tylko ten chudy kierowca. Teri natychmiast przełknęła sałatkę.

– James?! – Mógł pojawić się w Cedar Cove tylko z jednego powodu. Przywiózł Bobby’ego.

– On nie jest sam – poinformowała Denise. – Jest z nim jakiś facet, okropny, taki mięśniak, rozumiecie.

– A Bobby? – Zaniepokojona Teri zerwała się natychmiast z krzesła.

– Nic nie wiem – powiedziała Denise. – W każdym razie nie ma go z nimi.

Teri wybiegła z pokoiku. Koło drzwi wejściowych rzeczywiście czekał James. I nie sam, był z nim zwałisty facet w czarnym garniturze z bicepsami jak zapaśnik.

– Pani Teri, bardzo proszę, niech pani idzie z nami – powiedział James.

– Przywiozłeś Bobby’ego? – spytała Teri.

– Jest w samochodzie – poinformował ją krótko facet w czerni.

Mówił z obcym akcentem, jednak Teri nie potrafiła określić, jaki mógłby być jego język ojczysty.

– Więc jest. To dobrze. – Wyszła szybko z salonu, obaj mężczyźni za nią. Podeszła do parkingu, rozejrzała się. Ani śladu limuzyny.

– Proszę tam, pani Teri! – powiedział James.

Nieznajomy mężczyzna ruszył pierwszy, Teri i James za nim w kierunku białego vana, w którym siedział nieznajomy mężczyzna. Czyli coś tu nie gra.

Teri zatrzymała się.

– James! Co się dzieje?

– Pani Teri, niech pani zrobi to, co on mówi – powiedział półgłosem.

Jednak Teri miała inną koncepcję. Wcale jej się nie uśmiechało iść potulnie jak baranek za tym gangsterem. Chyba ze... chyba ze będzie to konieczne.

– James! Pytam jeszcze raz. Co się dzieje?

W tym momencie odezwała się komórka Jamesa. Teri zauważyła, że spojrział pytająco na zapaśnika w garniturze, zapaśnik skinął głową i James dopiero wtedy otworzył komórkę.

– Jest ze mną – powiedział nienaturalnie piskliwym głosem. – Nie, nic nam się nie stało.

– Czy to Bobby? – spytała Teri. Kątem oka zauważyła, że zapaśnik odchodzi.

James skinął głową. Teri wyjęła mu z ręki komórkę.

– Bobby? To ty, Bobby?

– Teri? Nic ci się nie stało?

– Mnie? Zartujesz, Bobby! Powiedz, co się dzieje?

Grozili ci?! – Czują, jak budzi się w niej bojowy duch.

Gotowa była biec za tą górą mięsa i dać koleśowi porządnego kopniaka. Jak on śmiał tak wystraszyć Bobby’ego!

– O nic się nie martw. Potrafię zadbać o siebie, przysięgam!

Bobby milczał, wreszcie poprosił:

– Daj mi Jamesa.

Rozmowa trwała dosłownie dwie minuty. James zamknął komórkę i uśmiechnął się do Teri. Był to bardzo nikły uśmiech.

– James, czy te goryle groziły Bobby’emu?

– Nie. – Otarł pot z czoła. – Oni grozili pani.

– Mnie?! Nie wierzę. Ale niech no tylko spróbują! Już

ja im pokazę!

– Daj Panie Boze, zeby nic się juz nie działo, daj Panie Boze... – Głos Jamesa drżał.

Teri głos nie. Ona nie bała się, była przede wszystkim oburzona.

– A kim oni są? – W pierwszym odruchu chciała jechać do szeryfa. Ma zaareztować tych drani za... No właśnie, za co? Tego nie wiedziała, ale nie szkodzi. Dowiemy się. Za grozenie komuś albo za szantaz. Tych dwóch typków z białego vana na pewno ma coś na sumieniu.

– Nie wiem dokładnie, kim oni są – powiedział James słabym głosem, jakby był bliski omdlenia.

Teri wzięła go stanowczo pod rękę i wprowadziła do Get Nailed. Jane i Rachel spojrzały na nią pytającym wzrokiem, ale nie udzieliła im zadnych wyjaśnień.

Wprowadziła Jamesa do pokoiku, w którym nie było juz nikogo, usadziła go na krześle i rozpoczęła przesłuchanie:

– James, mów, co się dzieje!

– Oni chcieli, zeby Bobby wiedział, ze w kazdej chwili mogą się do pani, przepraszam za wyrażenie, dobrać.

Jeśli jednocześnie chcieli ją nastraszyć, to im się nie udało. Bo Teri, choć wcale nie uważała się za osobę nadzwyczajną, pod tym względem była siebie pewna. Naprawdę potrafi zadbać o siebie, Bobby nie musi się o nią martwić. Ma i tak wystarczająco duzo na głowie.

Nalała wody do szklanki. James pił i pił, omal się nie zachłysnął.

– Chcą pieniędzy? – spytała. – Ile?

- Oni nie chcą pieniędzy, pani Teri. Chcą, żeby Bobby nie wygrał tego meczu. Rozumie pani? Ma zrobić tak, żeby...
- Rozumiem, rozumiem. – Teri wybuchnęła śmiechem.
- No to się gorzko rozczarują! Czy oni nie wiedzą, że mój mąż bardzo nie lubi przegrywać?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Justine umówiła się na spotkanie z Warrenem Sagetem w D.D.'s On The Cove. Szokującą wiadomość przekazano jej kilka dni temu, do dziś jednak trudno jej było uwierzyć, że to Warren podpalił restaurację. Bolało, kiedy pomyślała, że ten właśnie człowiek, kiedyś bardzo jej bliski, zdolny jest do takiej podłości.

To nie ona wymyśliła to spotkanie z Warrenem, jedynie wyraziła zgodę. Jednak ani szeryf Davis, ani jej mąż, ani ona, po prostu nikt nie zdawał sobie sprawy, ile ją to będzie kosztować.

Warren siedział przy stoliku. Na jej widok rozpromienił się.

– Justine! Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, kiedy do mnie zadzwoniłaś!

Usiadła i starając się ukryć zdenerwowanie, zajęła się serwetką. Rozłożyła kawałek płótna na kolanach i starannie wygładziła.

– Dziękuję, Warrenie, że zgodziłeś się zjeść ze mną lunch, zaproponowałam ci to przecież dosłownie w ostatniej chwili.

– Czy mógłbym ci czegokolwiek odmówić? Dobrze wiesz, że marzę tylko o tym, by zostać twoim rycerzem w lśniącej zbroi!

– Wiem, wiem – przytaknęła Justine, dochodząc już do pierwszego wniosku. Kto wie, czy właśnie nie to marzenie skłoniło Warrena do zrobienia tego, co zrobił...

– Czego więc oczekujesz ode mnie, Justine? – spytał Warren.

– Niedawno rozmawiałam z architektem o budynku, w którym ma się mieścić Herbaciarnia Wiktorianańska.

- Świetnie. Chcesz, zebym przejrzał projekt i zastanowił się nad budową?
- Tak. Byłabym zachwycona... – Justine wzięła kartę dań. – A tak przy okazji... Seth spotkał się z człowiekiem z towarzystwa ubezpieczeniowego. Podobno w sprawie tego pożaru odkryli jakieś rewelacje.
- Naprawdę?
- Jak należało się spodziewać, Warren natychmiast stał się czujny.
- Ale to wszystko jest takie skomplikowane – mruknęła, zabierając się do studiowania karty.
- Skomplikowane? To znaczy?
- Och, dajmy temu spokój. – Wzruszyła ramionami.
- Nie chcę rozmawiać o pożarze, bo zaraz się zdenerwuję. Nadalwglowie mi się nie mieści, że ktoś mógł coś takiego zrobić, celowo podłożyć ogień.
- Niestety, życie to nie bajka – sentencjonalnie podsumował Warren.
- Jednak nie. Z logicznego punktu widzenia jest tylko jedno wytłumaczenie. Ktoś po prostu zapragnął zrobić nam coś bardzo złego. Ale dlaczego? Bo nie dla korzyści finansowych, to jasne.
- Sądysz, że ten człowiek mógł działać wyłącznie z pobudek osobistych?
- A co innego mam myśleć? Ten, kto to zrobił, musi mnie nienawidzić, to logiczne. Chciał skrzywdzić mnie i moich najbliższych.
- Może ciebie nie, Justine – mruknął Warren, zaraz się spłoszył i z wielką uwagą zaczął studiować kartę.
- Sądysz, że chodziło mu o Seta?
- Bo ja wiem... Chociaz w końcu to Seth wyrzucił

z pracy tego chłopaka, który pracował przy zlewozmywaku. Justine odłożyła kartę na bok. Oparła się łokciami o stół i nachyliła ku Warrenowi.

– A wiesz, że ten chłopak jest niewinny? Wszyscy podejrzewali, że to on, Anson Butler, a tymczasem okazuje się, że nie. Są podobno na to dowody.

Warren wyraźnie sposepniał.

– A ja chyba gdzieś czytałem, że znaleźli w zgliszcach jego krzyz.

– Owszem, znaleźli jakiś krzyz. Ale to nie znaczy, że jego.

– Nie wiem, może się mylę, ale chyba gdzieś słyszałem, że to jednak jego krzyz.

– Może i słyszałeś... – rzuciła Justine obojętnym głosem, ponownie zagłębiając się w kartę. – Ale, jak mówię, podobno znaleziono jakiś nowy dowód. Dlatego szeryf skontaktował się z Sethem.

– A jaki niby dowód? – spytał Warren ostrym głosem.

Justine, trzymając się ściśle scenariusza, najpierw westchnęła.

– Niestety, nie jestem upowazniona do ujawniania szczegółów. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest to dowód bardzo obciążający.

Konsekwentnie, krok po kroku, podprowadzała go. Do przyznania się do winy.

Warren, teraz już bardzo czujny, nachylił się ku niej i znizył głos.

– Mnie możesz to powiedzieć, Justine. Możesz mi zaufać.

– Naprawdę, Warrenie?

Nie spodziewała się, że to wszystko okaże się takie przykre, tak bolesne. Przypomniała sobie, ile zyczliwości

okazał jej Warren, kiedy miała atak panicznego strachu. A jednocześnie ten sam Warren wniósł do jej życia tyle smutku, tyle zła...

– Poproszę placuszki z krabami – powiedziała, odkładając na bok kartę.

Warren skinął głową. I wyraźnie nie miał zamiaru odstępować od tematu.

– Justine, naprawdę nie możesz mi powiedzieć, czego dowiedział się szeryf? Zawsze tyle mi opowiadałaś, nie miałaś żadnych oporów.

– Naprawdę chcesz to usłyszeć?

– Oczywiście. A dlaczego nie?

– Dlatego, że ten dowód, Warrenie, świadczy przeciwko tobie.

Warren zaśmiał się chrapliwie. I zbladł.

– Przeciwko mnie? To jakiś żart?

– Życzyłabym sobie z całego serca, Warrenie, żeby tak było. Tylko żart.

W oczach Warrena pojawił się strach. Nagle odsunął się z krzesłem, prawie z niego poderwał, jakby chciał rzucić się do ucieczki.

– Warrenie... – szepnęła Justine. – Dlaczego? Dlaczego nagle zapragnęłaś zniszczyć naszą restaurację?

Warren z powrotem opadł na krzesło. Wzrok wbił w blat stołu.

– Było mi tak ciężko, Justine, kiedy widziałem ciebie razem z Sethem. Wybrałaś jego, nie mnie. A dla mnie byłaś jedyną kobietą, która mnie rozumiała, jedyną. Dlatego zawsze chciałem ciebie odzyskać. Az przyszedł ten dzień... jakieś pół roku temu, kiedy zaszedłem do waszej restauracji na lunch. Udało mi się wtedy namówić cię,

zebyś wypila ze mną kieliszek wina. Pamiętasz?

Justine zaczęła gorączkowo szukać w pamięci. Tak, to było tamtego dnia, kiedy David Rhodes przyszedł na lunch z babką Justine, Charlotte, od której próbował wyłudzić pieniądze. To był koszmarne dzień.

– Wyglądałaś na przegraną, Justine. Piliśmy to wino, wtedy przyszedł Seth. Zobaczył nas razem...

I był wściekły. Justine pamiętała to doskonale, jakby wydarzyło się wczoraj. Między Sethem a Warrenem doszło do dość gwałtownej wymiany zdań.

– Powiedział, z tym swoim uśmieszkiem, że to, że cię kochałem, nie ma żadnego znaczenia. Teraz należysz do niego i zawsze tak będzie. Wtedy zdecydowałem, że muszę coś zrobić.

– Ale dlaczego właśnie to? Dlaczego spaliłeś naszą restaurację?

– Nie chciałem cię skrzywdzić, Justine, tylko Seta

– powiedział nagle Warren głosem skruszonego dziecka.

– Ciebie nigdy bym nie skrzywdził.

– Ale skrzywdziłeś. Mojego męża i mnie.

Warren zwiesił głowę.

– Wiem...Teraz. Bo wtedy myślałem tylko o tym, że potem to ja odbuduję restaurację. Będzie o wiele większa, piękniejsza niż tamta. Będzie to twoja wymarzona restauracja, wtedy zrozumiesz, jak bardzo cię kocham.

– Warrenie, nigdy nie udowodnisz swej miłości, robiąc jednocześnie komuś innemu krzywdę!

– Ja... przepraszam...

Koło stolika nagle pojawił się szeryf, obok Seth.

Warren poderwał głowę.

– Rozmawiał pan już z tym chłopakiem, co pracował

w tej restauracji? – spytał spokojnym głosem, bez zadnych oznak zdenerwowania. – On tam był, tamtej nocy.

Próbował ugasić pożar.

– Już to wiemy... – Szeryf odpiął od paska kajdanki.

– Warrenie Saget, ma pan prawo milczeć...

– Znam tę waszą formułkę! – warknął Warren. Ale wstał bez żadnego ociągania i podając szeryfowi rękę, spojrzał ze złością na Seta. – Nigdy nie będziesz jej kochał tak jak ja!

Justine też wstała. Seth objął żonę ramieniem.

– Nikt nie potrafi kochać mojej żony bardziej niż ja, Warrenie – powiedział. – Przykro mi, że wciąż tego nie rozumiesz.

– Zaprzeczę wszystkiemu! – warknął znowu Warren.

– Mam świętego prawnika!

– Ale my, niestety, mamy nagrane wszystko, co powiedziałeś!

– Justine uniosła brzeg bluzki, pokazując mu przewód przyklejony taśmą pod zębami. – Przyznałeś się do winy, Warrenie. Zrobiłeś to z własnej nieprzymuszonej woli i w miejscu publicznym.

Szeryf Davis zapiął kajdanki i wyprowadził Warrena z restauracji.

Po chwili Seth wyprowadził stamtąd Justine.

– Już po wszystkim.

W głosie Seta słychać było wielką ulgę.

Justine jęknęła.

– Tak... Ale... ale to było straszne, Seth. Bałam się, że nie dam rady. Chociaż wiedziałam, że to on, wcale nie łatwo było mi go oszukiwać.

– Justine! – Seth położył ręce na jej ramionach i obrócił ją twarzą ku sobie. – Udało ci się wydobyć z niego tyle

właśnie, ile trzeba. Przyznał się, to najważniejsze.

– Tak, ale...

Oczywiście, że do Warrena nie żywiła już żadnych cieplejszych uczuć. Ale było go jej żal, po prostu żal. Tylko to, i prawdopodobnie tak będzie już zawsze.

– Szkoda mi go – powiedziała, kiedy Seth otwierał przed nią drzwi samochodu. Seth nie odezwał się. Podczas jazdy oboje milczeli, dopiero kiedy podjeżdżali już pod dom, Justine bąknęła: – To wszystko razem jest takie smutne, takie przykre...

– Przestań już, Justine! Bo pomyślę, że naprawdę ci żal tego chuderlaka.

– W pewnym sensie tak – przyznała szczerze.

Wysiedli z samochodu, podeszli do drzwi.

– A wiesz, Justine, że mi też go w pewnym sensie żal

– powiedział Seth. Uśmiechnęli się do siebie bardzo niewesoło i weszli do środka. – Pusto – stwierdził Seth.

– A my mamy całe popołudnie dla siebie.

Nikt się nie spodziewał, że aresztowanie Warrena przebiegnie tak gładko.

– Leifa trzeba odebrać za dwie godziny. A więc...

– Justine znów się uśmiechnęła, teraz już bardzo pogodnie, i objęła męża za szyję. – Jak spędzimy te dwie godziny, mój mężu? Masz jakiś pomysł?

– Daj mi chwilę... Niech się zastanowię... – Udał głęboki namysł. – Już wiem! – Chwycił ją na ręce i zaczął nieść do sypialni.

– Alez panie Gunderson! – zaprotestowała Justine z przesadnym południowym akcentem. – Ku czemu pan zmierza? Och!

Seth złożył ją na łóżku i szukając już ustami jej ust,

wyjaśnił:

– Zastanawiam się, pani Gunderson, czy to aby nie dobry moment, żeby postarać się o powiększenie naszej rodziny.

Pani Gunderson, trzepocząc efektownie rzęsami, przyznała, że i owszem, ten pomysł warto by wcielić w czyn...

Bobby Polgar nie odrywał wzroku od kartki, którą trzymał w ręku. Bobby był mężczyzną nieznającym uczucia strachu. Jak dotąd – bo teraz się bał. Teraz, kiedy jego żonie groziło wielkie niebezpieczeństwo. Teri i James mieli już okazję spotkać tych drani, a przesłanie było jednoznaczne. Mogą porwać Teri w każdej chwili, Bobby nie będzie w stanie temu zapobiec.

Na białej kartce było napisane, co ma teraz zrobić. Ma wrócić na Seaside Avenue 74 i tam czekać na dalsze instrukcje.